tygodnikprzeglad.pl
Przegląd
Nr 47 (1350)
17-23.11.2025
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

PROF. HENRYK SKARŻYŃSKI
HEARBOX – APLIKACJA, KTÓRĄ ZBADASZ SŁUCH

DAWTONA
OD PUSZKI DO IMPERIUM

DYPLOM LEKARZA
U O. RYDZYKA

MARTA KORZENIAK
O FERMACH FUTERKOWYCH

TVP WIELKIE ROZCZAROWANIE

PREZES Z BAGAŻNIKA



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509-3115
47
9 771509 311508

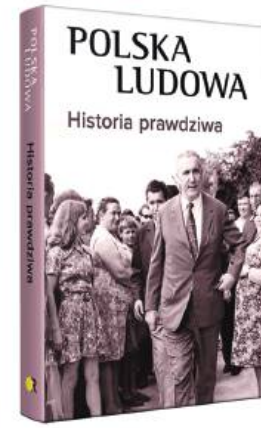
PRZEGLĄD na XXXIII Targach Książki Historycznej

27-30 listopada 2025 r., **stoisko nr 12**
Arkady Kubickiego
Zamku Królewskiego w Warszawie

Zapraszamy po dedykacje i książki w promocyjnych cenach!







Spotkaj się z naszymi autorami:

czwartek, 27 listopada

- godz. 14.00-15.00 – **Paweł Dybicz**, „Życie pełne historii”
- godz. 15.00-16.00 – **Paweł Dybicz**, „Zakłamana historia powstania” t. I-II

piątek, 28 listopada

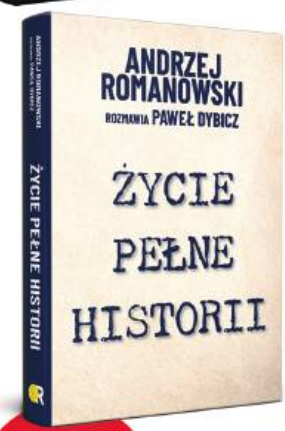
- godz. 12.00-13.00 – **Robert Walenciak**, „Modzelewski. Buntownik”

sobota, 29 listopada

- godz. 14.00-15.00 – **Piotr Ciszewski**, „Robotnicza Warszawa 1918-1939”
- godz. 16.00-17.00 – **Tomasz Turowski**, „Wzrok Cerbera”, „Chichot hieny”

niedziela, 30 listopada

- godz. 12.00-13.00 – **Jerzy Domański**, tygodnik „Przegląd”





Bądź z nami!

STOISKO 12

Wstęp na targi jest bezpłatny

Zapraszamy do zakupu książek PRZEGLĄDU

Zamów też na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

eprasa.pl 75f64d8cea



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Media publiczne jako łup

Media publiczne. Dwa ważne słowa. I idea, do której w Polsce ciągle bardzo daleko. A jeśli coś się zmienia, to na gorsze. Przybywa rozczarowań kolejnymi ekipami polityków, którzy przed wyborami obiecują radykalne zmiany i budowę mediów publicznych. A po wyborach? Wchodzą w stare buty, które, choć wydeptane, są wygodne, bo można korzystać z tych mediów według własnych potrzeb.

Z telewizją publiczną wszyscy mamy kłopot. Z wyjątkiem tych, którzy ją rozwalili. Na długiej liście są politycy każdej opcji rządzącej Polską po 1989 r. Wszyscy traktowali media publiczne jako łup. I jak skalp, który, choć nie powiewa nad siedzibami partii, to i tak sygnalizuje, gdzie jest faktyczne szefostwo.

Metody sterowania były oczywiście różne. Bywało, że robiono to w jedwabnych rękawiczkach. Aż przyszło PiS i pokazało, po co są pałki i kastety. W gangsterski sposób zmieniono prawo, a media obsadzano posłusznymi wykonawcami woli partii.

Politycy bezwstydnie hulają po TVP, Polskim Radiu i PAP. Robią to, co jest w ich interesie. Nijak to się ma do mediów publicznych i tego, jakie powinny być. Są przecież wzorce w wielu krajach europejskich. U nas zresztą na papierze wszystko jest pięknie zapisane. Mamy kodeksy, statuty i rady. Dlaczego więc efekty są takie żałosne?

Przyczyn jest oczywiście wiele, ale dwie są najważniejsze. Pierwsza to samo środowisko dziennikarskie. Rozbite, skłócone, podzielone. Spauperyzowane jak żadna inna grupa zawodowa w Polsce. Nie ma drugiej profesji, która po 1989 r. przeżyła tyle fal zwolnień, upadków tytułów. I równie wielkiego udziału kapitału zagranicznego – to drugi powód. Nikt z zagranicy nie przywiózł do Polski pieniędzy po to, by zbudować merytoryczne, silne i niezależne media. Wszyscy traktują nasz kraj jako pole do robienia interesów. I dobrego zarobku. Zarabiają więc. Dywidendy płyną do właścicieli. W Polsce ma być wszystko robione jak najtaniej i na tyle głupio, by spreparowaną papkę można było wepchnąć klientom. Polski biznes traktuje zresztą media identycznie.

A media publiczne? To nie jest i nigdy nie będzie biznes. Taki na krótką metę i szybki zarobek. Media publiczne to jeden z fundamentów państw demokratycznych. Strażnik praw i wolności obywatelskich. Władza, która utrzymuje dystans do świata polityki – patrzy politykom na ręce.

Wiecie więc, dlaczego politycy wszystkich barw nie chcą do tego dopuścić.

Skoro nie potrafią tego zrobić sami dziennikarze, a politycy nie chcą, to zostają obywatele. Gdyby setki tysięcy ludzi potraktowały media publiczne jako ważną dla kraju misję – mogłoby wreszcie się udać.

BĄKOWSKI



eprasa.pl 75f64d8cea

W NUMERZE

MEDIA
8 **TVP - wielkie rozczarowanie**
Nie publiczna, lecz partyjna

KRAJ
13 **Big Brother Obajtek**
Kolekcja prokuratorskich zarzutów
15 **Koncentrat, keczup i miliony Dawtony**
W 30 lat wyrósł rodzinny koncern
18 **Czy Ziobro mógł nie wiedzieć?**
O przekręty pytał go Kornel Morawiecki
20 **Każdy może być lekarzem**
Zarabianie na kierunkach medycznych
22 **Układ się sypie**
Pierwsze wyroki w aferze Funduszu Sprawiedliwości
26 **Skończmy z tym**
– rozmowa z Martą Korzeniak
44 **Lokalna społeczność jest siłą**
Krakowskie Podgórze ma potencjał

ZDROWIE
30 **Cztery testy i wiesz**
Nowatorska aplikacja do badania słuchu

OPINIE
32 **Paweł Siergiejczyk**
Kościół, prawica, władza

ZAGRANICA
36 **Sudan – pierwsza wojna przyszłości**
Gigantyczna skala tragedii
40 **Rozpętało się piekło**
Tu rozgrywają się losy świata

SPORT
48 **Szaleństwo króla Krystiana**
Zmierzchanie piłkarskich bogów

KULTURA
50 **Wspólnota daje ratunek**
– rozmowa z Piotrem Domalewskim
53 **Qulturalia**
54 **Koronkowa biżuteria miejska**
NeSpoon i jej murale
66 **Opowiem Wam o półsnach**
Portret młodego pokolenia artystów

EKOLOGIA
56 **Zielona strona mocy**
Czym jest dobre życie w mieście

OBSERWACJE
60 **Wojny Trumpa z makaronem**
Uderzenie we włoską dumę

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Media publiczne jako łup
29 **Jan Widacki**
Ziobro bez immunitetu
39 **Roman Kurkiewicz**
Jeden naród? Ja chcę Polski słabej
43 **Tomasz Jastrun**
Ukryty dramat
59 **Wojciech Kuczok**
Marsz na wschód



44
KRAJ

LOKALNA SPOŁECZNOŚĆ JEST SIŁĄ
Krakowskie Podgórze ma potencjał

54
KULTURA

KORONKOWA BIŻUTERIA MIEJSKA
NeSpoon i jej murale





56
EKOLOGIA

ZIELONA STRONA MOCY
Czym jest dobre życie w mieście



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. WOJCIECH STROŻYK/REPORTER, SHUTTERSTOCK, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 75f64d8cea

Lustratorzy i lustrowani


Lustratorzy i lustrowani

Artykuł w „Przeglądzie” wywołał u mnie bolesną refleksję. Chodzi o dekomunizację, o resorty mundurowe: policję, wojsko. Degradacje i pozbawienie środków do życia! Osobiste tragedie i pytanie, kto za tym stał i czy poniósł jakąkolwiek odpowiedzialność. Przykładem jest mój śp. brat Tadeusz. Zmarł na raka w 2023 r. Wykształcony, poliglota, oficer Wojska Polskiego. Naukowiec w randze majora. Odmówiono asysty wojskowej na pogrzebie, bo był komuchem! Pustawy kościół Marynarki Wojennej. Cios dla najbliższych. A mnie to zabolało, bo był moim bratem. W tamtym czasie prowadzono współpracę z oficerami z ZSRR, brat jeździł na poligony do sąsiadów. Piszę, bo ta głęboka zadra dotyczy wielu Polaków, którzy byli prawi, zdolni, a zostali zepchnięci do niższej warstwy. Jesteście odważni i spróbujcie te rany zagoić. Bo słowo „przepraszam” to zbyt mało.

Małgorzata (nazwisko do wiadomości redakcji)



Oskarżony Zbigniew Z.

Za czasów tego zera dwa lata trzymano w areszcie wydobywczym 80-letnią kobietę, która była chora na raka. Trzeba jeszcze przypomnieć, co wyprawiano z Wojciechem Kwaśniakiem czy z lekarzami opiniującymi sprawę ojca Ziobry. Wieczna hańba ludziom, którzy się tego dopuścili. *Andrzej Boruczak*

Oddajcie 100 milionów!


Oddajcie 100 milionów!

IPN to dziecko PO-PiS. Krzywdy rodzicom nie zrobi, a że kosztuje coraz więcej, to normalne – apetyt rośnie w miarę jedzenia. ROBIĆ, NIE GADAĆ! Uważam, że IPN jest szkodliwy dla Polski i należy go zlikwidować. Ale kto ma to zrobić? Gdyby rządowi Donalda Tuska zależało na społeczeństwie obywatelskim i prawdzie historycznej, to wpłynąłby na swoich posłów w sejmowej Komisji Finansów Publicznych i zmniejszył budżet IPN – na początek o 100 mln. Ale na wstępie artykułu Roberta Walenciaka jest jasny sygnał posłanki Krystyny Skowrońskiej (KO), że temat można zagadać i ucichnie. „Czy to się uda?”, pyta wiceprzewodnicząca sejmowej komisji. Ja odpowiedziałbym pani, że jak się chce, to się uda! *Józef Brzozowski*

Zmarnowana szansa


Zmarnowana szansa

Tworzenie nowego przedmiotu o nazwie edukacja zdrowotna było niepotrzebne. Treści tego przedmiotu można było umieścić w biologii, chemii. Pomysł minister Nowackiej, a w zasadzie Koalicji Obywatelskiej, okazał się słaby. Pozostał duży niesmak, który nie świadczy dobrze o Ministerstwie Edukacji Narodowej. *Damian Paweł Strączyk*

•

Potrzebny przedmiot został wprowadzony jako nieobowiązkowy, do tego na pierwszej lub ostatniej lekcji. Wielkie zdziwienie, że frekwencja taka, a nie inna. A pani minister udowadnia, że ten resort jest przydzielany na odczepnego miernym politykom. *Dominika Śmigiel*

ZDJĘCIE TYGODNIA



Naomi Campbell i argentyński reżyser Fernando Sulichin na spotkaniu z Leonem XIV podczas cotygodniowej audiencji generalnej na placu św. Piotra. Watykan, 12 listopada 2025 r.

FOT. YARA NARDI/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 75f64d8cea

Polacy mają na lokatach i rachunkach 1,34 bln zł, w gotówce prawie 400 mld zł, a w funduszach i obligacjach ponad 350 mld zł. **Łącznie oszczędności finansowe Polaków to prawie 2,5 bln zł**, czyli trzyletni budżet państwa.

•

Do uczestników Marszu Niepodległości przytulili się przestępcy. Policja zatrzymała 40 osób, głównie za posiadanie narkotyków, ale 10 osób było poszukiwanych do odbycia kary aresztu, a za jedną wystawiono list gończy. 91 osób, w tym Sławomir Mentzen, posiadało materiały pirotechniczne. Najlepiej w tym towarzystwie czuli się prezydent Nawrocki i konfederaci.

•

Prezydent Nawrocki, kontrolowany przez delegowanych do kancelarii polityków PiS, zajmuje się prawie wyłącznie wojną z koalicją rządzącą. Wetuje kolejne ustawy, odmówił nominacji na pierwszy stopień oficerom służb specjalnych i awansu do orzekania w sądach wyższych instancji 46 sędziom. Czym mu zawinili? W 2021 r. byli wśród 3,8 tys. sędziów, którzy podpisali apel wzywający rząd PiS do wykonania orzeczeń Trybunału Sprawiedliwości UE.

•

Ponad 9 mln Polaków ma dziś więcej niż 60 lat, to prawie jedna trzecia naszego społeczeństwa.

•

75% Polaków sięga po suplementy diety i wydaje na nie średnio 200 zł rocznie. Produkuje je już ponad 1,5 tys. firm.

•

Kolejna afera korupcyjna w Ukrainie, tym razem w energetyce. Główny podejrzany zbiegł, zawieszono ministra sprawiedliwości. Ukradziono ponad 100 mln dol.

•

Od początku roku na granicy polsko-białoruskiej doszło do 27,5 tys. incydentów.

•

W Polsce studiuje ok. 1,2 mln studentów. Do dyspozycji mają 434 akademiki publiczne ze 112 tys. łóżek i 64 prywatne domy studenckie z 18,9 tys. miejsc noclegowych **(„Rzeczpospolita”)**.

•

Z ankiety przeprowadzonej przez CBOS wynika, że 76% pytanych popiera przywrócenie prac domowych w szkołach podstawowych.

•

Kto w polskim sporcie popiera politykę Radosława Piesiewicza? Mieczysław Nowicki, prezes Towarzystwa Olimpijczyków Polskich, Teresa Sukniewicz-Kleiber, Tomasz Adamek, Marek Citko, Andrzej Supron, Tadeusz Mytnik, Ewa Kłobukowska, Janusz Pyciak-Peciak, Urszula Kielan i Wojciech Bartnik.

•

W tegorocznym rankingu Henley Passport Index na szczycie podium znalazł się Singapur (jego mieszkańcy nie potrzebują wiz do 193 z 227 miejsc na świecie), który wyprzedził Koreę Południową i Japonię. Polska jest siódma, a USA – 12.

•

Fundacja Instytut na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris w 2024 r. zebrała 11,97 mln zł od 21 615 darczyńców. Z tego budżetu finansowano kampanie prawne i medialne, raporty, pozwy, konferencje i własne wynagrodzenia.

•

Największe spożycie wina jest w Portugalii: 61,1 litra na mieszkańca.

PRZEBŁYSKI



Joanna Szczepkowska o „Marszu wartości pogan”

Z Facebooka aktorki: „To miał być wpis radosny, na jaki zasługuje święto naszej ojczyzny. Trudno mi jednak to pisać, kiedy za oknem, niedaleko swojego mieszkania, słyszę pijane krzyki niedobitków z marszu. Wrzeszczą i klną. Wystarczy wyjrzeć przez okno, żeby zobaczyć, jak sikając na trawniki, podpierają się polską flagą. Dlaczego zresztą mają nie wrzeszczeć, jeżeli wrzeszczy »ich prezydent«?

(...) Karol Nawrocki czuje się w tym środowisku jak u swoich. Bo jest u swoich. Wrzask i race. Ludzi ok. 100 tys., czyli wcale nie tak wielu, gdyby porównać z marszem miliona serc.

Ten dzisiejszy marsz, okraszony czerwonym dymem, był w tym roku czymś więcej niż pochodem narodowców. Miał być pokazem siły, przeciw państwu. I właśnie w takim pokazie siły przeciw państwu brał udział ten ktoś, kto uznaje siebie za prezydenta państwa.

Ten wasz marsz, panie Nawrocki, to marsz wartości pogan, a nie świata wartości chrześcijańskich. I ty ze swoim dzikim wrzaskiem możesz się powoływać najwyżej na Swarożyca, a nie na to, co ukształtowało Europę, czyli na myśl chrześcijańską, myśl zachodniej Europy. Nie możecie się obyć bez ognia. Jak to poganie”.



Morawiecki dawał Mistewiczowi. I nie zawiódł się

Proste jak umysł kibola są pomysły Mateusza Morawieckiego na relacje z mediami. A konkretnie z częścią mediów. Najpierw jako wszechwładny premier zadbał, by do Fundacji Instytut Nowych Mediów trafiło 6,5 mln zł ze spółek skarbu państwa i 3,5 mln z Kancelarii Premiera. Prezesem fundacji i beneficjentem tej kasy jest Eryk Mistewicz. W młodości pacyfista i ekolog z „Na Przełaj”. Mistewicz jest także wydawcą portalu Wszystko Co Najważniejsze, na którym regularnie pokazuje się Morawiecki. Prawdziwy patriota, wojownik szykujący się na wojnę. Nikt by mu tego bredzenia nie wydrukował. Ale Mistewicz pamięta o 10 bańkach, które mu wpadły za rządów Morawieckiego. Więc musi. I podobno robi to bez obrzydzenia.



Matysiak w pułapce Horały

Do polityki wjechała pod hasłem walki z wykluczeniem komunikacyjnym, na które skazane są liczne wioski i miasteczka. Paulina Matysiak trochę jeszcze o tym gada, ale dawnego żaru już nie ma. Kontakty z chytrym pisowcem Marcinem Horałą tak jej zaszkodziły, że porzuciła tę biedną Polskę, gdzie nic nie dojeżdża i skąd nic nie wyjeżdża. Teraz z Horałą pod rękę Matysiak walczy o koleje wielkich prędkości. U nich wszystko musi być wielkie. A największy jest pociąg, ale nie ten na torach. Ich pociąg do kariery. A że we dwójkę raźniej, to Zandberg nie miał wyboru. Musiał Matysiak pogonić, bo jego partia robiła wszystko inaczej niż Paulina M. I oczywiście Horała, który w sprawie sprzedaży działki w okolicy CPK jest równie czysty jak kominiarz na koniec dniówki. Jaki z tego morał? Drzemki Zandberga szkodzą Razem. Polityka brudzi. A w wydaniu Horały szczególnie.

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS, FACEBOOK

eprasa.pl 75f64d8cea

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI



mleczko.pl
sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Skąd w świecie tyle hejtu i hejterów?

PROF. JANUSZ ADAMOWSKI,
były dziekan Wydziału Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii UW

Internet miał być demokratyczną agorą komunikacji, ale ten ideał szybko się rozmył. Wielu użytkowników uwierzyło, że sieć gwarantuje pełną swobodę i anonimowość, co, jak wiemy, nie jest prawdą, choć świadomość tego wciąż bywa ograniczona. Ta iluzja ośmieliła także osoby sfrustrowane czy niezrównoważone, które traktują internet jako przestrzeń do wyładowywania złości i nienawiści. W efekcie sieć staje się miejscem zalanym hejtem, wzmacnianym przez doświadczenia ostatnich lat, choćby pandemię. Sprzyja temu również logika klikalności. Patostreamerzy przyciągają odbiorców, podczas gdy spokojne, niesensacyjne materiały giną w tle.

DR ALINA LANDOWSKA,
kulturoznawczyni, Uniwersytet SWPS

Ekspresja nienawiści – rasizm, seksizm, uprzedzenia religijne, ksenofobia i inne formy – jest jednym z największych problemów mediów społecznościowych. Tradycyjne perspektywy koncentrują się na cechach osobowości nadawców, pomijając społeczny charakter sieci. Nowe badania wskazują na silny wpływ czynników społecznych działających między agresorami – to ich interakcje mogą napędzać nienawiść. Hejt to efekt splotu czynników społecznych, technologicznych i psychologicznych. Nierówności, zagrożenie tożsamości i polaryzacja polityczna sprzyjają wrogości. Internet ułatwia pozostawanie anonimowym i natychmiastową reakcję, algorytmy zaś wzmacniają spiralę nienawiści. Powtarzany kontakt z mową nienawiści prowadzi do jej normalizacji. Algorytmy promują skrajne treści, przesuwając granice dopuszczalności.

PROF. MICHAŁ BILEWICZ,
psycholog społeczny i polityczny, Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW

Mowa nienawiści w polskim internecie jest bardzo powszechna. Pierwszą przyczyną jest brak regulacji, które np. w Niemczech doprowadziły do ograniczenia skali hejtu poprzez uczynienie dostawców (portali, mediów społecznościowych) odpowiedzialnymi za umieszczane treści łamiące prawo. Wpłynęło to znacząco na zachowania – w zeszłym roku na łamach „Social Psychology" pokazaliśmy, że Niemcy znacznie rzadziej niż Polacy stosują np. antysemicką mowę nienawiści. Wynika to z absolutyzowania wartości wolności słowa, co w jej opacznym rozumieniu prowadzi do tolerowania języka krzywdzącego innych. Drugi ważny powód to brutalność języka polskiej polityki. Gdy ludzie słyszą hejt z ust polityków, sami zaczynają się posługiwać takim językiem. Im więcej hejterów w naszym otoczeniu, tym większe zagrożenie, że sami staniemy się hejterami. Ten epidemiczny proces obserwujemy od dawna. Należy liczyć na to, że regulacje z poziomu prawa UE (np. Akt usług cyfrowych) ułatwią wyrównanie ochrony obywateli państw członkowskich i ustanowienie standardów tam, gdzie ich brakuje.

Rozmawiała Weronika Mikusek

eprasa.pl 75f64d8cea

TVP
WIELKIE ROZCZAROWANIE
Prezes Tomasz Sygut z bagażnika

Robert Walenciak

Tomasz Sygut w 2015 r. był szefem TVP Info. Szeroko wtedy komentowany był jego pomysł, żeby za Bronisławem Komorowskim stale jeździła kamera. To miało pomóc prezydentowi. Jak wiemy, Komorowski wybory przegrał.

W sierpniu 2015 r. Sygut został dyrektorem Telewizyjnej Agencji Informacyjnej. W październiku odbyły się wybory parlamentarne. TVP wspierała Platformę, ale Platforma wybory przegrała.

Wtedy Sygut odszedł z TVP. Wrócił do niej w grudniu 2023 r., już jako prezes, a chwilę potem dyrektor generalny. W maju wybieraliśmy prezydenta. TVP w tych wyborach stawała na głowie, by pomóc Rafałowi Trzaskowskiemu, ale – jak wiemy – Trzaskowski też przegrał.

Jak państwo myślicie, jaki wynik osiągnie Koalicja Obywatelska w najbliższych wyborach?

Daleki jestem od wiązania wyniku wyborczego z tym, kto kieruje TVP. Choć koincydencja jest uderzająca. Ciekawszy od osoby kierującego jest mechanizm. Ten, który pokazuje, jakie Platforma ma pojęcie o mediach, jak je sobie wyobraża, na jakich ludzi stawia i jakie to przynosi efekty. Samej Platformie (dziś Koalicji Obywatelskiej) i TVP.

Dwa lata za chwilę miną, więc…

Zacznijmy od ludzi

Jest opowieść Janusza Daszczyńskiego, który został prezesem TVP w 2015 r., zastąpił Juliusza Brauna na przełomie lipca i sierpnia. To już był czas kampanii wyborczej, więc Daszczyńskiego ciągle atakowali ludzie ze sztabu PO, Marcin Kierwiński i Cezary Tomczyk, ciągle czegoś od niego chcieli, zawracali mu głowę.



Tomasz Sygut wrócił do telewizji w grudniu 2023 r., już jako prezes, a chwilę potem dyrektor generalny.

eprasa.pl 75f64d8cea

Daszczyński miał tego dość i powiedział, żeby do niego nie dzwonili, a jeżeli już mają coś ważnego, niech dzwonią do szefa TAI, Syguta. Dał im jego numer, więc zaczęli dzwonić do niego. A Sygut jakby złapał Pana Boga za nogi. Oni znaleźli swojego dziennikarza, a on swoich patronów.

Nie zawiódł się. Po odejściu z TVP Sygut organizował stację Nowa TV, której żywot skończył się smutną klapą. Wtedy Marcin Kierwiński, sekretarz generalny PO i szef mazowieckich struktur, ulokował go w Miejskich Zakładach Autobusowych w Warszawie, na stanowisku trzeciego zastępcy prezesa. To pokazuje kolejną patologię: jak w Warszawie Platforma robi, co chce, i jak aparatczycy tej partii żyją z miasta. Ale to inna sprawa.

Oto mamy człowieka, który żyje na garnuszku partii politycznej, partia więc stawia go na czele kluczowej dla życia publicznego instytucji – i jest cisza. Autorytety zamilkły. W dawnych czasach mówiono o takich zawodnikach, że są przynoszeni w teczce. Tu mieliśmy inną sytuację. Ponieważ telewizja PiS spodziewała się wejścia ludzi PO, bramy obsadzono strażą przemysłową. Syguta wwiózł więc na teren TVP jeden z dyrektorów, w bagażniku swojego samochodu. I mamy dyrektora z bagażnika.

Telewizja publiczna traci pozycję. Ale każdy, kto powie, że coś tu nie gra, spychany jest do roli pisowca.

Mijają właśnie dwa lata tego eksperymentu i telewizja publiczna systematycznie traci pozycję. Nikt nie powie, że w tym czasie odniosła sukces misyjny, biznesowy czy dziennikarski. Ale każdy, kto powie, że coś tu nie gra, jest spychany do roli pisowca.

Wszystko więc zmierza do wiadomego końca.

To po prostu usycha

Te dane nie są przyjemne. Jak piszą branżowe portale, na czele rynku telewizyjnego w Polsce umacniają się Polsat i TVN, a TVP traci. W październiku liderem był Polsat, który zanotował 7,58% udziału w rynku. W porównaniu z październikiem 2024 r. stacja poprawiła wynik o 4,69%. Na drugiej pozycji znalazła się TVN z udziałem 6,56%, również ze wzrostem rok do roku (z 6,33% w październiku 2024 r.).

Trzecie miejsce zajęła TVP 1 – jej udział w rynku wyniósł 6,41%, notując spadek aż o 10,34%. Na czwartym miejscu jest TVP 2, która zanotowała 6,03% udziału, rosnąc z 5,95%. Ale goni ją Republika z 5,58% udziału.

Jeszcze gorzej dla TVP wyglądają dane dotyczące oglądalności w grupie tzw. komercyjnej, czyli widzów w wieku 16-59 lat. To istotna grupa, bo ona interesuje reklamodawców. Tu liderem pod względem udziału w rynku była TVN (7,5%). Drugi był Polsat (7,4%), TVP 1 miała udziały na poziomie 4,8%. TVP 2 na czwartej pozycji – 4,4%.

Efekt tego jest oczywisty – jeśli chodzi o emisję spotów reklamowych, ich liczba w TVP w okresie od stycznia do września 2025 r. znacząco zmalała. W TVN wyemitowano 332 662 spoty, o 16 288 więcej niż w tym samym okresie 2024 r. Natomiast w TVP 1 – 182 668 reklam, o 6413 mniej niż przed rokiem.

Te dane pokazują, że ostatnie 12 miesięcy, jeśli chodzi o rynkową rywalizację TVP, było czasem przegranym. I nie ma co zwalać na telewizję Kurskiego, na trudy przejęcia, bo to już odległa historia. Dane dowodzą też, że TVP staje się telewizją dla emerytów i tak naprawdę utrzymuje się na powierzchni dzięki starym, zasłużonym produkcjom – mającemu 25 lat serialowi „M jak miłość" i paru innym oraz teleturniejom, takim jak „Familiada" czy „Jeden z dziesięciu".

TVP nic nowego na rynek nie wrzuca, a jeśli już, są to porażki. Seriale, które mało kto ogląda, czy programy szybko przesuwane na gorsze godziny.

Wielkim rozczarowaniem jest TVP Info. Na dobrą sprawę przejęcie telewizji było właśnie po to, by przejąć Info, bo przecież nie po to, by zarządzać serialami. Jedynka, Dwójka i inne kanały były do tej zdobyczy tylko dodatkiem. Tu chodziło o zatrzymanie rzeki hejtu lejącej się z pisowskiej TVP. Po przejęciu telewizji, jak pięknie zapewniał Marek Czyż, Info miało być czystą wodą. I co?

Jest mechanizm, który pokazuje, jakie Platforma ma pojęcie o mediach, na jakich ludzi stawia i jakie efekty to przynosi.

Wiesław Gałązka, ekspert i doradca wizerunkowy, prowadzący zajęcia w Dolnośląskiej Szkole Wyższej i na Uniwersytecie Wrocławskim, poproszony o charakterystykę TVP Info najpierw się zafrasował, a potem odpowiedział, że to program, który lekarz powinien przepisywać chorym na serce – bo na pewno podczas oglądania ciśnienie im nie skoczy.

Coś w tym jest, bo wprawdzie szef TAI Grzegorz Sajór regularnie zapowiada, że TVP Info za chwilę ruszy w górę, ale nic takiego się nie dzieje. Info powoli usycha. Jego dzienna widownia wynosi ok. 80-85 tys. widzów, a w kategorii 16-59 lat potrafi ona zejść do 18-19 tys. To szczególnie boli, gdy spojrzymy na widownię TV Republika (ok. 270-290 tys.) czy TVN 24 (240-260 tys.). Info jest już gonione przez Polsat News, a także stację wPolityce.

Końskie – z kim zgubić, z kim znaleźć

Ale tego bezruchu nie wytłumaczymy tylko tym, że Info jest nudne, usługowe, napchane konferencjami ważnych polityków i tak sformatowane, żeby im się spodobać. To za mało. Dzieje się tak również dlatego, że telewizja publiczna została zaszufladkowana jako rządowa, partyjna. Cierpią na tym dziennikarze. Wielu

eprasa.pl 75f64d8cea

na taką łatkę nie zasługuje. Niestety, choćby nie wiem co robili, z nią właśnie wychodzą na scenę.

TVP sobie na to zapracowała. Najbardziej podczas kampanii prezydenckiej. Apogeum była debata w Końskich. Przypomnijmy: 9 kwietnia Rafał Trzaskowski wezwał Karola Nawrockiego do debaty jeden na jeden. Natychmiast podchwyciła to telewizja publiczna, ogłaszając, że 11 kwietnia odbędzie się w Końskich „debata przedwyborcza". Bingo? Jak dla kogo. Do 11 kwietnia Rafał Trzaskowski był zdecydowanym faworytem wyborów, wyprzedzającym kontrkandydatów o kilka długości. Końskie odwróciło ten trend. Nie tylko dlatego, że Trzaskowski słabo tam wypadł. To nie miało wielkiego znaczenia, przecież w debacie nie uczestniczył Sławomir Mentzen, a uzyskał trzeci wynik. Otóż ten zwrot dotyczył czegoś innego – nastroju społecznego.

Bo oto pozostali kandydaci zorientowali się, że sztab Trzaskowskiego ramię w ramię z TVP ustawia sobie kampanię. Pierwszy zareagował Szymon Hołownia, pisząc na platformie X: „Nie pozwolę wykluczyć połowy Polski z wyborów. O ich wyniku mają rozstrzygać ludzie, nie kandydaci z TV na telefon. Telewizja publiczna ma obowiązek bronić zasad wolnych i uczciwych wyborów. Jadę dziś do Końskich brać udział w debacie".

Za Hołownią poszli inni. Wybuchł skandal. Atmosfera zgęstniała od podejrzeń o oszustwo. Nagle ten Trzaskowski zmalał i zbrzydł. I od Końskich rozpoczął się jego zjazd.

Telewizja Polska do dziś nie wytłumaczyła się z debaty. Nie wiadomo wciąż, kto ją organizował – TVP czy sztab Trzaskowskiego. Poniewczasie TVP zorientowała się, że nie ma prawa w to się angażować, bo musi traktować wszystkich kandydatów równo. Pytania, kto zapłacił dziennikarce TVP Joannie Dunikowskiej-Paź za prowadzenie debaty, kto organizował scenografię itd., wiszą zatem w próżni.

Przestrzegamy: dalsze zaniechania sprawią, że obecnie rządzący staną się grabarzami mediów publicznych.

Być może poznamy kiedyś szczegóły tego samobójczego przedsięwzięcia. Jedno jest pewne – gdyby pomysłu ochoczo i bezmyślnie nie podchwyciła TVP, afery by nie było. Gdyby telewizją kierował ktoś autonomiczny w decyzjach, mający wiedzę i wyobraźnię, pułapki Końskich udałoby się uniknąć.

Zresztą dane dotyczące kampanii pokazują, jak bardzo TVP chciała być użyteczna. W czasie kampanii, w samym Info Trzaskowski otrzymał 46 godzin i 11 minut, a Nawrocki – 11 godzin i 44 minuty. Ale równie ważne jest to, w jakim świetle kogoś się przedstawia. I tu nie ma wątpliwości – analiza flagowego programu TVP „19.30" przynosi stertę materiałów mówiących, jakim to fajnym politykiem jest Rafał Trzaskowski, a jakim niefajnym i podejrzanym Karol Nawrocki.

Efekt tego był oczywisty. Telewizja publiczna, sprowadzając się do roli przybudówki sztabu Trzaskowskiego, w niczym w kampanii się nie przysłużyła. Trudno przypuszczać, by zwolennicy Nawrockiego szukali wskazówek na jej antenie. TVP stała więc z boku jako stacja bez znaczenia. Najważniejszą debatę wyborczą w TVP prowadził dziennikarz z zewnątrz, największą widownię miały rozmowy u Stanowskiego.

Czy to znaczy, że szefowie TVP powinni za tę kampanię mieć do siebie pretensje? Ależ skąd! Z ich punktu widzenia wszystko poszło jak najlepiej. Oni w sztabie, jako ci oddani, zapunktowali.



Szef TAI Grzegorz Sajór regularnie zapowiada, że TVP Info za chwilę ruszy w górę.

Duch Jacka Kurskiego

Inne są nastroje wśród pracowników. Telewizją co chwila wstrząsają pogłoski o redukcjach i zmianach. A ponieważ media publiczne są formalnie w stanie likwidacji, czyli prawa pracownicze wyglądają inaczej niż w normalnej firmie, ludzie po prostu zaczynają się bać.

Odbiciem tych obaw był niedawny list 564 pracowników rozgłośni regionalnych Polskiego Radia, w którym zaapelowali do premiera Donalda Tuska o zniesienie likwidacji mediów publicznych. „Nie możemy wziąć kredytu w banku, a często nawet przedłużyć umowy o kartę kredytową. W wielu spółkach często pojawiała się informacja o możliwej niewypłacalności w kolejnych miesiącach", piszą autorzy listu, dodając, że w tej sytuacji stali się „obywatelami drugiej kategorii".

Do tego pisma odniosło się Stowarzyszenie Ludzi Mediów Woronicza 17, jeden ze związków działających w TVP.

eprasa.pl 75f64d8cea



Stowarzyszenie Ludzi Mediów Woronicza 17, do którego należy szefowa Rady Programowej TVP Barbara Bilińska, alarmuje w sprawie sytuacji mediów publicznych.

Jego szefem jest Jacek Snopkiewicz, a w zarządzie znaleźli się m.in. przewodnicząca Rady Programowej TVP Barbara Bilińska i były poseł Nowoczesnej i Koalicji Obywatelskiej Grzegorz Furgo.

„Popieramy list do przedstawiciela władzy, która nie dotrzymuje obietnic, lekceważy opinie społeczne, nie rozumie znaczenia obiektywnych, niezależnych mediów publicznych. Po wyborach liczyliśmy nie tylko na rozliczenie draństw w telewizji Kurskiego, namiestnika PiS, ale też na przywrócenie godności pracownikom. Tak się nie stało", piszą członkowie stowarzyszenia. I dodają: „Likwidacja, która z założenia miała być jedynie prawnym sposobem na przywrócenie mediom ich publicznego charakteru, stanem przejściowym, staje się tym, czym jest z definicji – rzeczywistą likwidacją. Przecież nie o to chodziło przed dwoma laty! Nie tak miało być, panie Premierze! (…) De facto duch namiestnika Kurskiego krąży nadal po korytarzach Woronicza. W rankingu Reporterów bez Granic w gorszej od polskich mediów publicznych sytuacji są tylko media na Węgrzech i na Malcie. (…) Pogrzebanie publicznych mediów działających w interesie obywateli jest działaniem antydemokratycznym, zamachem na naszą wolność, otwiera drogę populistom i ekstremizmom. Dlatego mówimy razem z ludźmi Radia STOP! Dosyć pozorowanych ruchów. Przestrzegamy: dalsze zaniechania sprawią, że obecnie rządzący staną się grabarzami mediów publicznych".

Talent mistrza, talent zbójecki

To fakt, telewizja żegluje w kierunku samolikwidacji. Przykładem są kanały tematyczne – dziś zapychane coraz bardziej przypadkowymi materiałami. Na TVP Kultura można trafić na Jamesa Bonda albo na Jacka Stronga. TVP Historia emituje seriale „Gruby", „Dom" i western „Napad na pocztyliona". Seriale „Ojciec Mateusz" i „Ranczo" możemy obejrzeć tego samego dnia i na TVP Seriale, i na TVP HD, i na TVP Kobieta…

Niechęć kierownictwa TVP do kanałów tematycznych jest oczywista. Sami potwierdzają, że tak się dzieje, bo telewizja w likwidacji dostaje za mało pieniędzy, więc nie ma za co produkować nowych programów. Innymi słowy, wszystko zwalają na ministrę kultury Martę Cienkowską, że nie daje. Bo jakby dała, to…

Nie pozwólmy się wkręcić. TVP dostaje 1,6-1,8 mld zł rocznie z Ministerstwa Kultury, ma też kilkaset milionów z abonamentu, plus pieniądze z reklam. W sumie zbiera ponad 3 mld zł. Że to wciąż jest za mało, w dużym stopniu wynika z tego, że pieniądze rozchodzą się w różne dziwne miejsca. W ciemno można zakładać, że średnio sprawny menedżer poradziłby sobie z tym lepiej niż amatorzy.

Są jeszcze dwa elementy nieodzowne w prowadzeniu takiego medium jak telewizja – talent i wiedza. Nina Terentiew, Edward Miszczak… W mediach jest tak, że są one odbiciem ich szefów, odbiciem ich duszy. Ich umiejętności kreowania, wyciągania z ludzi tego, co najlepsze. I charakteru – bo trudno mi sobie wyobrazić, by Terentiew, Miszczaka czy wspomnianego Daszczyńskiego ustawiali chłopcy ze sztabu.

Gdy tego wszystkiego brakuje, jest żenada. Podczas niedawnego posiedzenia sejmowej Komisji Kultury poświęconego TVP Tomasz Sygut wyświetlał slajdy i mówił, że jest dumny z tego, że prezentuje Teatr Telewizji. Polsat gra disco polo, a on sztukę wysoką. W tej wypowiedzi dostrzegam pewien zamiar. U Kurskiego była propaganda plus disco polo, a teraz – propaganda plus Teatr Telewizji. Minus paski grozy.

Media są odbiciem umiejętności i charakteru ich szefów – bo trudno sobie wyobrazić, by Terentiew, Miszczaka czy Daszczyńskiego ustawiali chłopcy ze sztabu.

Ładnie to wygląda, można takie rzeczy opowiadać posłom, sęk w tym, że to nie może się udać. Nie dlatego, że Teatr Telewizji mniej pasuje do propagandy niż disco polo. Po prostu ekipa rządząca telewizją nie ma tego zbójeckiego talentu Jacka Kurskiego. Zawsze będzie nudna i nijaka. Ktoś w to wątpi? Postawcie Syguta obok Kurskiego, niech debatują, zobaczycie różnicę. Kurski nawet Danusię Holecką, grzeczną dziewczynkę, przymilającą się do kolejnych ekip rządzących, potrafił

eprasa.pl 75f64d8cea

Krzysztof Luft jest przedstawicielem Klubu KO w Radzie Programowej TVP, a jednocześnie konsultantem dyrektora Syguta. Mamy więc konflikt interesów.



przerobić na Ri Chun Hi, słynną północnokoreańską spikerkę. No, może nie całkiem, ale w tym kierunku to zmierzało.

Tymczasem kogo wylansowała nowa, odbita PiS telewizja? Kto przyciąga uwagę? Głośno było o Joannie Dunikowskiej-Paź, ale dlatego, że była niesłusznie atakowana. Głośno było o Dorocie Wysockiej-Schnepf, ale dlatego, że obrażał ją Krzysztof Stanowski.

Ostatnie 12 miesięcy, jeśli chodzi o rynkową rywalizację TVP, to czas przegrany.

Teraz uwagę przyciąga Karolina Opolska – bo internauci wytykają, że w bibliografii książki, którą napisała, są nieistniejące, pozmyślane tytuły. Mówiono więc o nich, bo była awantura, a nie dlatego, że ich programy przykuwały widownię i wywoływały dyskusje.

Przenieśmy te wątpliwości na jeszcze inny poziom – otóż obecny eksperyment nie może się udać także dlatego, że jest zasadnicza różnica między telewizją publiczną a partyjną. Telewizja publiczna zajmuje się szeroko życiem społeczeństwa, sprawy polityki to dla niej fragment rzeczy ważnych. Patrzy na nie z lotu ptaka. Dla telewizji partyjnej to główna sprawa. I patrzy na nią jak żołnierz z okopu. Szef telewizji publicznej czuje, że odpowiada przed Bogiem, historią i widownią. Szef telewizji partyjnej – przed szefem partii lub wyznaczonym przez niego funkcjonariuszem. Inną więc prowadzi grę.

A nie brakuje sygnałów, że program nie jest dla tej ekipy najważniejszy. Wiele szumu było, gdy TVP zrezygnowała z prezentacji jesiennej ramówki. Czyli z tradycyjnego show, na które zapraszano gwiazdy oraz media, by opowiadać, co będzie i dlaczego będzie to takie fantastyczne. Promować nowy sezon.

TVP tłumaczyła się, że robi to w imię oszczędności. Minęło kilka tygodni i usłyszeliśmy, że organizuje imprezę halloweenową w klubie Sen dla dziennikarzy spoza TVP, z telewizją współpracujących. Innymi słowy, na promocję programu pieniędzy nie ma, na promocję zarządu – pieniądze są.

Metoda na trwanie

Proroctwo listu stowarzyszenia Woronicza 17 może się spełnić także dlatego, że nic w telewizji się nie zmieni. W tym kierunku wieją wiatry, tak mówią też politycy Koalicji Obywatelskiej – że Tusk nie chce żadnych zmian. Bo wojna z PiS, bo rozliczenia itd.

Że to jest sposób na trwanie – pod taką falę się podłączyć – przekonał mnie Krzysztof Luft, przedstawiciel Klubu Koalicji Obywatelskiej w Radzie Programowej TVP, a jednocześnie konsultant dyrektora Syguta. Nawiasem mówiąc, mamy do czynienia z patologiczną sytuacją i oczywistym konfliktem interesów. Luft jest pracownikiem Syguta, bierze od niego pieniądze. Potem zjeżdża windą na posiedzenie Rady Programowej i tam ocenia program, który Sygut firmuje. A potem, ponieważ Rada Programowa ma inne zdanie niż on, wjeżdża do swojego gabinetu i pisze oświadczenie TVP, że Rada Programowa i jej przewodnicząca są złe.

Ale w tym szaleństwie był też pożyteczny. Bardzo mi pomógł zrozumieć wspomniany mechanizm. Otóż 9 lipca, dzień przed pierwszym posiedzeniem Rady Programowej, zadzwonił do mnie i powiedział:

– Słuchaj, jest decyzja, że wybierzemy na przewodniczącego rady Krzysztofa Króla. Poprzesz?

– A czyja to decyzja? – zapytałem.

– Nie mogę ci powiedzieć.

– A dlaczego mamy wybrać Krzysztofa Króla?

– Bo on się będzie dobrze napieprzał z PiS.

Wtedy uznałem to za aberrację, zastanawiałem się, dlaczego Rada Programowa, która ma oceniać program TVP oraz jej plany, ma być miejscem bójek z PiS i to jest najważniejsze. Dziś spadły mi łuski z oczu. To jest metoda. Wszczynania awantur, konfliktów, opowiadania, że wszyscy wokół czyhają na biedną TVP i spiskują z PiS. I gdyby nie czujność jej szefów, wróg byłby górą.

Wielkim rozczarowaniem jest TVP Info. Jego dzienna widownia to ok. 80-85 tys. widzów.

Politycy w Polsce działają jak pies Pawłowa – jak atakuje wróg, to swoich bronią. Można więc ich ulepić. Przedstawić im piękną, batalistyczną opowieść. Że ich ludzie walczą. I trwać. I co miesiąc do kasy.

Do zobaczenia po wyborach!

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Autor jest członkiem Rady Programowej TVP

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS (2), JACEK SŁOMION/REPORTER, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 75f64d8cea

Big Brother Obajtek

Ulubieniec prezesa PiS ma szansę pobić rekord w liczbie zarzutów prokuratorskich

Andrzej Sikorski

W środę 12 listopada były prezes Orlenu stawił się w Prokuraturze Regionalnej w Warszawie, gdzie usłyszał zarzut nadużycia uprawnień i wyrządzenia w nadzorowanej przez siebie spółce szkody majątkowej na prawie 400 tys. zł. Europosłowi PiS towarzyszył tłum fanów z biało-czerwonymi flagami i transparentami „Murem za Obajtkiem", przybyły na wezwanie Jarosława Kaczyńskiego.

„Każdy patriota w tym kraju musi ponieść konsekwencje robienia dobrych uczynków. Jestem przygotowany do tego emocjonalnie i duchowo i wy dajecie mi dużo siły, by być do tego przygotowanym. Ja osobiście się nie boję i poradzę sobie z tym. Poradziłem sobie z wieloma rzeczami, łącznie z chorobą, poradzę sobie z tą zarazą i wam też radzę być czujnym w tym wszystkim", mówił do zgromadzonych Daniel Obajtek.

Pod czujnym okiem

400 tys. zł, za które ciąga go prokuratura, nie zostało przeznaczone na wsparcie domu dziecka, samotnych matek, bezdomnych ani nawet na kupno wozu transmisyjnego dla Telewizji Trwam. Za te pieniądze Obajtek wynajął prywatnego detektywa, a ten inwigilował polityków Platformy Obywatelskiej i ich bliskich: Bartłomieja Sienkiewicza, Marcina Kierwińskiego, Roberta Kropiwnickiego, Jana Grabca, Marka Sowę i Pawła Poncyljusza. Detektywem zaprzęgniętym do niewdzięcznej roboty był Wojciech Koszczyński, prezes firmy InvestProtect z Gdańska.

Prezes Koszczyński tak przedstawia się na stronie internetowej: „Były funkcjonariusz Centralnego Biura Śledczego oraz Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Wysokiej klasy specjalista w zakresie bezpieczeństwa korporacyjnego oraz wywiadu gospodarczego. Zdobył doświadczenie, świadcząc usługi m.in. dla międzynarodowych korporacji z sektora energetycznego, firm produkcyjnych, branży logistycznej i wielu innych. (…) Specjalizuje się w prowadzeniu dochodzeń gospodarczych w Polsce,



Daniel Obajtek w drodze na przesłuchanie w Prokuraturze Regionalnej w Warszawie, 12 listopada 2025 r.

Unii Europejskiej i poza nią, działając dyskretnie i skutecznie. (…) Ma duszę sportowca, nie poddaje się łatwo i zawsze walczy do końca. Pasjonat strzelectwa oraz górskich wypraw".

Koszczyński śledził posłów opozycji w 2021 r. Był to gorący okres. „Gazeta Wyborcza" ujawniła tzw. taśmy Obajtka potwierdzające, że ówczesny prezes Orlenu jeszcze jako wójt Pcimia wbrew prawu zarządzał z tylnego siedzenia prywatną spółką TT Plast. Obajtek wydawał polecenia, zlecał rozmowy z klientami, a nawet decydował o urlopach. A robił to w mało wyszukany sposób, używając języka typowego dla kryminalistów, a nie biznesmenów. Taśmy były bardzo niewygodne dla obozu władzy i Obajtka nie tylko dlatego, że ten dopuścił się przestępstwa, zawiadując jako wójt spółką, ale też dlatego, że zeznając w sądzie jako świadek, zaprzeczył, że był cichym wspólnikiem TT Plast. A za fałszywe zeznania grozi odpowiedzialność karna.

Później pojawiły się kolejne artykuły. Dziennikarze opisywali powiązania rodzinne i towarzyskie Obajtka, a także jego związki ze środowiskiem przestępczym. Podawano w wątpliwość legalność pochodzenia jego majątku, opisywano nieformalne układy z deweloperami, których sponsorował Orlen.

Wszystko to wywołało polityczną burzę. Posłowie PO organizowali konferencje prasowe, pisali zawiadomienia do prokuratury i CBA. Według moich informacji Obajtek postanowił wziąć odwet. Wytypował najaktywniejszych polityków, a potem zlecił ich

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/ REPORTER

eprasa.pl 75f64d8cea

inwigilację Koszczyńskiemu – zebrane przez detektywa kompromaty miały zostać przekazane propisowskim mediom, by te zrobiły z nich użytek. Politycy opozycji byli śledzeni, filmowani ukrytymi kamerami i fotografowani. Sprawdzano ich stan majątkowy, powiązania rodzinne i towarzyskie. Szukano na nich czegokolwiek, co można by wykorzystać: kochanek, nieobyczajnych zachowań, nadużywania alkoholu, narkotyków, uzależnień od hazardu itp.

Daniel Obajtek zdawał sobie sprawę, że działania detektywa są nielegalne, i próbował się zabezpieczyć na ewentualność wpadki, zlecając podpisanie umów z Koszczyńskim Zbigniewowi Laskowi, dyrektorowi Biura Kontroli i Bezpieczeństwa w Orlenie. Lasek to były funkcjonariusz CBA z czasów Mariusza Kamińskiego i współzałożyciel Grom Group, która odpowiada za bezpieczeństwo prezesa PiS. Lasek podpisał z detektywem dwie umowy (na łączną kwotę 393,6 tys. zł), a jako zakres działań InvestProtect zapisano „identyfikację i udokumentowanie działań nieuczciwej konkurencji wobec spółki Orlen", co było tylko przykrywką. Zdaniem prokuratury „umowy te służyły realizacji prywatnych interesów Daniela Obajtka i nie miały znaczenia ekonomicznego ani związku z bezpieczeństwem fizycznym czy gospodarczym spółki".

Worek dobrych uczynków

Wbrew zaklęciom Obajtka trudno tu mówić o „dobrych uczynkach", chyba że w mniemaniu Dyzmy z Pcimia inwigilacja i zbieranie haków na parlamentarzystów to działalność chwalebna. Według prokuratury ówczesny prezes Orlenu miał „świadomość, że będzie to stanowiło nadużycie uprawnień w zakresie zarządzania mieniem spółki, a charakter zleconych usług detektywistycznych będzie niezgodny z celem i zakresem umów z uwagi na zamierzony od samego początku zamiar gromadzenia informacji na temat stanu majątkowego, danych osobowych, życia prywatnego polityków opozycji parlamentarnej, jak również ich spotkań z wyborcami lub sympatykami".

Inwigilacja posłów PO to niejedyne kłopoty Daniela Obajtka. Wkrótce usłyszy kolejne zarzuty: za składanie fałszywych zeznań przed sądem oraz za cenzorskie zapędy, czyli wycofanie ze stacji Orlenu numeru tygodnika „Nie", bo nie spodobała mu się okładka pisma.

Jednak te sprawy to drobnostki w porównaniu z tym, co czeka europosła PiS w dalszej przyszłości.

Prokuratura Regionalna w Warszawie prowadzi śledztwo w sprawie wyprowadzenia z Orlenu ok. 1,5 mld zł. Przekręt polegał na tym, że Orlen zarejestrował w Szwajcarii spółkę Orlen Trading Switzerland (OTS), która miała się zajmować handlem paliwami. Na czele OTS stanął Samer A., Libańczyk z polskim paszportem, powiązany z organizacją terrorystyczną Hezbollah. Jego zastępca Marcin O. też nie był kryształowy – podejrzewano go o udział w aferach korupcyjnych i piramidach finansowych. Samer A. i Marcin O. zapłacili pośrednikom 378 mln dol. zaliczki za dostawy ropy z Wenezueli. Część pieniędzy trafiła do 25-letniego Chińczyka z Dubaju. Orlen jednak ropy nie dostał ani nie odzyskał pieniędzy, kontrahenci zapadli się pod ziemię. Co ciekawe, Obajtek wiedział o szemranej przeszłości menedżerów i o tym, że OTS to przekręt służący do okradzenia Orlenu, bo był o tym informowany przez służby bezpieczeństwa spółki.

Prokuratura Regionalna w Warszawie prowadzi śledztwo w sprawie wyprowadzenia z Orlenu ok. 1,5 mld zł.

Już się nie wywinie

Były wójt Pcimia nie wywinie się od zarzutów działania na szkodę Orlenu i zaniżania cen paliw, aby zapewnić w 2023 r. zwycięstwo wyborcze PiS. Przypomnijmy, że na polecenie Obajtka tak bardzo obniżono ceny paliw, że importerom nie opłacało się sprowadzać ropy do Polski. Wybuchła panika, a ludzie zaczęli szturmować stacje, kupując benzynę i olej napędowy na zapas, do beczek i kanistrów. Szybko zabrakło paliwa, a na stacjach Orlenu pojawiły się słynne kartki o awarii dystrybutorów, co oczywiście było kłamstwem. Według szacunków analityków na zaniżeniu cen paliw Orlen mógł stracić kilka miliardów złotych.

Co najmniej 5 mld zł skarb państwa stracił na fuzji Orlenu z Lotosem. Zdaniem Najwyżej Izby Kontroli wyprzedanie poniżej faktycznej wartości majątku Lotosu zagranicznym spółkom powiązanym z Rosją i połączenie obu firm nie tylko nie miało uzasadnienia ekonomicznego, ale dodatkowo naraziło skarb państwa na straty gospodarcze i zagroziło bezpieczeństwu paliwowemu Polski.

Nawet kilkanaście miliardów złotych Orlen mógł stracić na nietrafionej inwestycji Olefiny III. Obajtek wpadł na pomysł, że wybuduje instalacje do przerobu ropy na tworzywa sztuczne, potrzebne m.in. do produkcji środków czystości, artykułów higienicznych, medycznych, włókien syntetycznych, części samochodowych, sprzętu AGD i elektroniki. Tyle że były wójt Pcimia nie potrafił skalkulować rzeczywistych kosztów, które wzrosły z 8,3 mld zł, jak pierwotnie zakładano, do ponad 50 mld zł, co sprawiało, że inwestycja była nieopłacalna i mogła doprowadzić Orlen do bankructwa. Nowy zarząd koncernu musiał ją wstrzymać. Ponieważ prace były już zaawansowane, a na budowę wydano prawie 13 mld zł, podjęto decyzję, że na bazie Olefin III powstanie nowy projekt, który będzie miał uzasadnienie ekonomiczne.

Ale to nie koniec. Prokuratury prowadzą kilka innych śledztw dotyczących nadużyć i niegospodarności w Orlenie za czasów ulubieńca prezesa PiS. Niedawno w Sądzie Okręgowym w Łodzi rozpoczął się bezprecedensowy proces. Władze Orlenu zażądały, aby Obajtek zwrócił pieniądze, ok. 160 tys. zł, które wydał na cele prywatne, m.in. na zabiegi kosmetyczne i stomatologiczne czy wakacje w luksusowym hotelu.

Andrzej Sikorski

eprasa.pl 75f64d8cea

Koncentrat, keczup i miliony Dawtony

Andrzej Wielgomas na pomidorach zbudował fortunę, córka reprezentowała Polskę w konkursie Eurowizji, a syn został bohaterem skandalu politycznego

Marek Czarkowski



Wizyta ministra rolnictwa w Dawtonie. Nz. Piotr Wielgomas, Paweł Wielgomas, Robert Telus i Andrzej Wielgomas. Błonie, 17 sierpnia 2023 r.

W naszych domach niektóre marki obecne są od lat, lecz ich twórców nie znamy i nic o nich nie wiemy. Na przykład Dawtona, rodzimy producent keczupu i koncentratu pomidorowego. Ostatnio ogromną darmową reklamę zapewniła firmie wieść, że pod koniec 2023 r., krótko przed zmianą władzy w Polsce, Piotr Wielgomas, syn Andrzeja, założyciela spółki, jako osoba prywatna prowadząca gospodarstwo rolne nabył od KOWR za 22,8 mln zł 160-hektarową działkę w miejscowości Zabłotnia pod Grodziskiem Mazowieckim.

Transakcja wzbudziła emocje, ponieważ teren uznawany jest za strategiczny dla budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego – ma tamtędy przebiegać linia kolei dużej prędkości. Pojawiły się supozycje, że sprzedaż miała charakter spekulacyjny i była zwieńczeniem dobrych układów głowy rodziny z Robertem Telusem, ministrem rolnictwa w rządzie Mateusza Morawieckiego.

Niektórzy politycy koalicji rządzącej sugerowali, że jeśli CPK chciałby odkupić od Piotra Wielgomasa grunt, musiałby zapłacić ok. 400 mln zł. A to byłoby bardzo solidne przebicie. Sprawą zainteresowała się prokuratura. Byłego ministra Telusa Prawo i Sprawiedliwość zawiesiło w prawach członka do czasu wyjaśnienia afery.

Dla właścicieli Dawtony była to nowa sytuacja. Przez lata unikali rozgłosu medialnego, gdyż – jak sądzę – nigdy nie zależało im na sławie. Wiadomo, że 75-letni dziś Andrzej Wielgomas, głowa rodu, z żoną Danutą uruchomili w 1991 r. w Błoniu pod Warszawą niewielki zakład przetwórstwa pomidorów. Głównymi produktami były keczup i koncentrat pomidorowy. Szybszy rozwój Dawtony nastąpił w pierwszej dekadzie XXI w., gdy nabyła ona (choć można też trafić na informację, że wydzierżawiła) część Zakładu Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego w Milejowie. Początkowo przerabiano tam skromne 8 tys. ton pomidorów rocznie i zatrudniano 17 osób. Dzięki inwestycjom milejowski zakład systematycznie zwiększał produkcję, a Dawtona zdobywała rynek, oferując produkty za rozsądną cenę. Obok keczupu i koncentratu pomidorowego pojawiły się pikle, ogórki kiszone i konserwowe, fasola, kukurydza, groszek oraz pomidory w puszkach, passaty, dania gotowe, soki... W 2018 r. spółka wprowadziła na rynek saszetki z musem owocowym, a cztery lata później musy z jogurtem.

W ramach Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój spółka otrzymała kilkumilionową dotację na „opracowanie innowacji w postaci przekąski na bazie musu owocowego i/lub owocowo-warzywnego oraz jogurtu, o istotnie podniesionych właściwościach odżywczych i prozdrowotnych, o wydłużonym terminie przydatności do spożycia bez konieczności zapewnienia warunków chłodniczych”. Potem kolejną,

eprasa.pl 75f64d8cea

ok. 10 mln zł, na „opracowanie nowej, innowacyjnej technologii produkcji keczupu o znacznie poprawionych walorach odżywczych". Na ile się orientuję, pierwsza dotacja została już zakończona i rozliczona.

Po 30 latach rodzinny koncern tworzą: Dawtona Holding, Dawtona Frozen, Dawtona Farming, Dawtona Milejów i Dawtona sp. z o.o. Całość wyceniana jest na 900 mln zł.

Od puszki do imperium

Władysław Reymont w „Ziemi obiecanej" opisał łódzkich fabrykantów, którzy zbili fortuny na bawełnie. Gdyby żył dzisiaj, być może opisałby przedsiębiorcę z Błonia, który zamiast na przędzalnie postawił na pomidory. I równie dobrze na tym wyszedł. Andrzej Wielgomas jest przy tym romantykiem – w nazwie Dawtona ukrył imię żony Danuty. Na początku lat 90. XX w. państwo Wielgomasowie nie mogli przypuszczać, że ich marka stanie się równie rozpoznawalna nad Wisłą jak Winiary czy Wedel, a ich produkty będą się znajdowały w niemal każdej kuchni.

W jaki sposób Wielgomasowie to osiągnęli? Przede wszystkim wyeliminowali pośredników. Koncern zatrudnia ok. 1,2 tys. osób, posiada ponad 4,5 tys. ha ziemi (choć moim zdaniem znacznie więcej) i współpracuje z prawie 2 tys. rolników. Sposób działania firmy przypomina wielokrotnie opisywany na łamach „Przeglądu" duński model rolnictwa – prawie wszystko dzieje się w obrębie jednego organizmu gospodarczego.

Dawtona ma swoje pola, nasiona, rolników, własne zakłady przetwórcze, magazyny i transport. Nie musi sprowadzać pomidorów z Chin, a papryki z Węgier czy Hiszpanii. Żadnych zaskoczeń w stylu „w Chinach była powódź, a w Hiszpanii papryka nie obrodziła, bo była susza". Wszystko rośnie na miejscu, na miejscu jest zbierane, przetwarzane i sprzedawane.

Firma dysponuje jednym z najszybszych na świecie systemów pakowania próżniowego kukurydzy. Przetwarza 60% kukurydzy produkowanej w ramach koncernu. Bo nie jest to już mały zakład na obrzeżach Błonia, lecz sprawnie zarządzany i dobrze funkcjonujący koncern.

W 2021 r. Andrzej Wielgomas podjął decyzję o przekazaniu sterów firmy rodzinie. Obowiązki przejęli żona i trzej synowie: Paweł, Tomasz i Piotr. Prezesem został najstarszy z braci, Paweł. W firmie każdy ma swoje zadania. Paweł odpowiada za strategię i rozwój. Piotr – za majątek i zarządzanie (plus za własne gospodarstwo rolne). Tomasz – za aktywne zarządzanie rodzinnym biznesem. Danuta zaś, jak się wydaje, choć mało o tym mówi, jest najważniejszą osobą w tym układzie.

Można by rzec, że w Dawtonie zrealizowany został klasyczny scenariusz firmy rodzinnej: ojciec ją założył i ze wsparciem żony rozwinął, a synowie biznes przejęli – i wszyscy są szczęśliwi i bogaci. Z tego modelu wyłamała się córka – urodzona 28 sierpnia 1999 r., najmłodsza latorośl Andrzeja i Danuty, Aleksandra Katarzyna Wielgomas, która wybrała drogę artystyczną.

Rodzinny koncern tworzą: Dawtona Holding, Dawtona Frozen, Dawtona Farming, Dawtona Milejów i Dawtona sp. z o.o. Całość wyceniana jest na 900 mln zł.

Ukończyła szkołę muzyczną w klasie skrzypiec, w wieku 11 lat śpiewała w chórze Artos działającym przy Teatrze Wielkim. W 2018 r. rozpoczęła karierę jako Ola Wielgomas. Dwa lata później wybrała pseudonim Luna i zamiast zarządzać fabryką pomidorów, zaczęła występować jako piosenkarka reprezentująca alternatywną scenę muzyczną. Jej pseudonim nie jest przypadkowy, Aleksandra Wielgomas fascynuje się astrologią, a Księżyc (czyli Luna) symbolizuje jej artystyczną duszę.

Rodzina początkowo nie była tym zachwycona. Jednak sukces, jaki w 2020 r. odniósł jej singiel „Zgaś", i fakt, że w 2024 r. z utworem „The Tower" reprezentowała Polskę na 68. Konkursie Piosenki Eurowizji w Malmö, przekonały rodzinę, że jej wybór był słuszny.

Luna przez lata skrywała, że pochodzi z rodziny milionerów. Zależało jej, żeby odbierano ją jako artystkę, a nie „córkę bogacza". W jednym z wywiadów przyznała: „Tak. Jestem tą Luną. Ale jestem też osobą dorosłą, niezależną, samodzielną i myślę, że nie ma to większego znaczenia, kto jest moim rodzicem, bratem czy chłopakiem".

Podkreślała, że od 17. roku życia utrzymuje się z muzyki i fakt, że jej rodzina związana jest z biznesem, nie jest takie istotne. Rodzice są z niej dumni, choć pewnie woleliby, żeby wspólnie z braćmi zajęła się przetwórstwem warzyw i owoców.

Nowe czasy

Dziś produkty Dawtony są obecne niemal na całym świecie. Główne kierunki eksportu to Wielka Brytania, państwa Unii Europejskiej, Kanada i Stany Zjednoczone. Firma aktywnie promuje polskie produkty w tych krajach, uczestniczy w międzynarodowych targach i kongresach eksporterów.

W 2024 r. Dawtona po raz pierwszy w historii zmieniła logo. Pojawiła się postać kobiety jako symbol polskiej tradycji i rodzimego rzemiosła. Firma nie udaje, że stała się międzynarodowym koncernem. Wręcz przeciwnie – podkreśla, że nadal jest rodzinną spółką znad Wisły z 30-letnią historią, którą tworzą ludzie z pasją, dbający o wysoką jakość produktów.

Jednak wejście Dawtony do grona dużych polskich firm ma swoją cenę. Dziś 36 ze 100 największych polskich spółek to firmy rodzinne. Na czele jest zbudowany przez Zygmunta Solorza Cyfrowy Polsat, którego wartość szacuje się na 15 mld zł. Drugie miejsce zajmuje sieć ponad 2 tys. lokalnych supermarketów Dino stworzona przez Tomasza Biernackiego. Trzecia spółka to LPP, do której należą popularne marki modowe Reserved, House, Cropp, Mohito i Sinsay. Zatrudnia ok. 25 tys. osób, a założył ją Marek Piechocki.

eprasa.pl 75f64d8cea



Robert Telus z Andrzejem Wielgomasem podczas wizyty w Dawtonie. Błonie, 17 sierpnia 2023 r.

Rodzinnymi markami są też dr Irena Eris, Komputronik, Grycan, Tarczyński czy Boryszew.

Siłą rzeczy ci, którzy mają duże pieniądze, przyciągają uwagę polityków. W przypadku Dawtony polityka dała o sobie znać w związku z zakupem przez Piotra Wielgomasa 160 ha w Zabłotni pod Grodziskiem Mazowieckim od Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa.

Wielgomas dzierżawił ten teren od 2008 r., płacąc rocznie 580 tys. zł. W 2018 r. złożył wniosek o wykup tej ziemi, korzystając z prawa pierwokupu przysługującego wieloletniemu dzierżawcy. 1 grudnia 2023 r. transakcję zatwierdziło Ministerstwo Rolnictwa.

Gdy kilka tygodni temu sprawa ujrzała światło dzienne, w mediach zawrzało. Tytuły krzyczały: „Milioner blokuje budowę CPK!". W tle jest układ z politykami PiS, obecnie osłaniany przez układ z politykami Koalicji Obywatelskiej. Badano, z kim spotykała się głowa rodziny. Okazało się, że Andrzej Wielgomas znał ministra rolnictwa Roberta Telusa, wiceministra Rafała Romanowskiego oraz dyrektora KOWR za rządów PiS – Waldemara Humięckiego.

W 2025 r. rodzina Wielgomasów wpłaciła łącznie 130 tys. zł na fundusz wyborczy Rafała Trzaskowskiego, a Dawtona była jednym ze sponsorów wydarzenia Campus Polska Przyszłości, organizowanego przez KO.

Gdy opada kurz

W praktyce niewiele to znaczyło. Brakuje dowodów, że spółka osiągnęła nadzwyczajne korzyści, utrzymując kontakty z politykami. Wręcz przeciwnie, zakup ziemi przez Piotra Wielgomasa stał się raczej szramą na wizerunku Dawtony, choć nie miała ona nic wspólnego z tą transakcją.

W listopadzie br. Piotr Wielgomas zwrócił działkę skarbowi państwa za cenę pierwotnego zakupu, rezygnując z wszelkich roszczeń. Wydaje się, że sprawa ucichła. To kolejny przykład, że można wpaść w kłopoty, nawet jeśli postępuje się zgodnie z prawem.

To nic nowego. W przeszłości przedsiębiorcy niejednokrotnie żalili się na składane im przez polityków „propozycje nie do odrzucenia". I nie zawsze w grę wchodziły pieniądze. PiS oczekiwało, że należący do Zygmunta Solorza Polsat nie będzie tak krytyczny wobec kolejnych rządów „dobrej zmiany" jak TVN czy „Gazeta Wyborcza". I programy publicystyczne Polsatu z pewnością stały się bardziej wyważone.

Jeśli kampanię wyborczą Rafała Trzaskowskiego wspierali właściciele i członkowie zarządów takich prywatnych firm jak CD Projekt (Adam Kiciński i Karolina Kicińska oraz Marcin Iwiński i Renata Iwińska – łącznie ich wpłaty na PO przekroczyły 420 tys. zł), Aflofarm (Andrzej Furman – 69,9 tys. zł), Monnari Trade (Mirosław Misztal – 69,9 tys. zł), Boryszew (Roman Karkosik – 52 tys. zł) czy Inter Cars (Krzysztof Oleksowicz z żoną Wandą – łącznie ponad 100 tys. zł), to kampanię „kandydata obywatelskiego" Karola Nawrockiego wsparli głównie prezesi zarządów spółek z udziałem skarbu państwa, z prezesem Orlenu Danielem Obajtkiem na czele. Byli wśród nich prezes Zakładów Azotowych Puławy Marcin Kowalczyk, prezes PZU Beata Kozłowska-Chyła i prezes PGE Wojciech Dąbrowski. Oczywiście wszystko odbyło się zgodnie z prawem.

Gdy opadnie kurz po aferze związanej z zakupem gruntów przez Piotra Wielgomasa, Dawtona wróci do tego, na czym zna się najlepiej – wyrobu keczupów, koncentratu pomidorowego i innych produktów rolno-spożywczych.

W jej historii nie ma oszustw, skandali ani przekrętów. Jest za to codzienna praca, konsekwencja w działaniu i wysiłek, by zbudować coś trwałego. Oraz rzadko spotykany w Polsce model biznesowy, w którym wszystko, poczynając od uprawy na polach, przez przetwórstwo, po magazynowanie i logistykę, jest pod jednym dachem. Spółkę z Błonia wyróżnia też patriarchalny styl zarządzania. Andrzej Wielgomas, mimo że nie pełni dziś żadnej odpowiedzialnej funkcji, nadal dzierży realną władzę. Synowie są ważni, lecz ważniejsza od nich jest matka. Luna zajmuje się muzyką. Robi to, co kocha, i stara się udowodnić, że sama może rozwijać swoją karierę.

Produkty Dawtony nadal będą stały w milionach polskich kuchni – od koncentratu, przez keczup, po mrożonki. Za każdą puszką będzie się kryła historia. Pasja, trud, marzenia. I pomidory. Bardzo dużo polskich pomidorów.

Marek Czarkowski

FOT. MRIRW

eprasa.pl 75f64d8cea

Czy Ziobro mógł nie wiedzieć?

Już w 2019 r. minister był informowany o przekrętach w Funduszu Sprawiedliwości

Mateusz Cieślak

Gdy wreszcie Zbigniew Ziobro stanie przed sądem, trudno będzie mu się tłumaczyć, że nic nie wiedział o machlojkach w Funduszu Sprawiedliwości, i zwalić wszystko na współpracowników i podwładnych. Istnieją raczej mocne dowody na to, że o przekrętach wiedział. Jednym z nich, być może niepodważalnym, jest interpelacja sejmowa złożona przez Kornela Morawieckiego, adresowana bezpośrednio do ministra sprawiedliwości, z datą 12 czerwca 2019 r.

Zgodnie z prawem Ziobro miał miesiąc na odpowiedź. Kornel Morawiecki zmarł we wrześniu. Na stronach Sejmu widnieje informacja, że odpowiedź od Ziobry nie wpłynęła w regulaminowym terminie. Gdy służby Sejmu zamieszczały tę informację, opóźnienie w stosunku do regulaminowego terminu wynosiło już 117 dni.

Wcześniej Morawiecki skierował do prokuratury zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa. W lutym 2019 r. znalazło się ono w biurze podawczym Prokuratury Okręgowej w Warszawie. Na datowniku widnieje 18 lutego 2019 r. jako dzień przyjęcia pisma.

Śledczy wracają do sprawy

Byłem ciekaw, co się działo z tą sprawą. Zapytałem o to rzecznika warszawskiej prokuratury okręgowej. Otóż po zawiadomieniu Morawieckiego wszczęto śledztwo o sygnaturze akt PO I Ds 38.2019. Dość szybko zostało umorzone decyzją z 21 maja 2019 r. Przywołano art. 17 par. 1 pkt 2 kpk: „Czyn nie zawiera znamion czynu zabronionego albo ustawa stanowi, że sprawca nie popełnia przestępstwa".

Po zmianie władzy sprawa jednak znów zainteresowała śledczych. Z Prokuratury Okręgowej w Warszawie przesłano ją do Prokuratury Krajowej. Dziś stanowi część większego śledztwa o sygnaturze 1001-22. Ds.1.2024. Dotyczy ono przekroczenia uprawnień przez ministra sprawiedliwości podczas przyznawania dotacji celowych z Funduszu Sprawiedliwości.

Znajomi Kornela Morawieckiego prowadzili fundację. Działała nieprzerwanie od 2010 r. W 2017 r., czyli po dwóch latach od zdobycia władzy przez „dobrą zmianę", fundacja wygrała konkurs organizowany przez Ministerstwo Sprawiedliwości.

Podpisano umowy wielkiej wartości z organizacjami, które dopiero powstały i nie miały doświadczenia w pomocy pokrzywdzonym.

Już dwa miesiące później na karku miała kontrolę. Wśród kontrolujących była pani Karolina K., wiceszefowa departamentu Ministerstwa Sprawiedliwości, zatrzymana, a następnie aresztowana w marcu 2024 r. Postawione jej zarzuty dotyczyły właśnie nieprawidłowości w wydawaniu środków z Funduszu Sprawiedliwości.

Cała ta kontrola była bardzo interesująca i śledczy też mogliby się jej przyjrzeć. Wszczęto ją dwa miesiące od wygrania konkursu, choć całe zadanie miało trwać rok. Wyglądało to tak, jakby ktoś chciał unieważnić już podpisaną umowę, i przyczepiono się do nieprawidłowego wydania 50 tys. zł. Chodziło o to, że fundacja nie zorganizowała przetargu na zakup bonów na żywność, które miały dostawać ofiary przestępstw. To wątek poboczny, więc nie będziemy go rozwijać, w każdym razie później ministerstwo wycofało się z tego zarzutu i rozliczyło projekt co do złotówki.

Na bezczela

W tamtym czasie był to jedyny projekt tej fundacji realizowany za pieniądze z Funduszu Sprawiedliwości. Jakież więc było zdziwienie jej kierownictwa, gdy się okazało, że ponownie widnieje ona na liście współpracowników Ministerstwa Sprawiedliwości – podmiotów otrzymujących pieniądze z osławionego funduszu. Z rejestru umów zawartych przez ministerstwo z podmiotami zewnętrznymi wynikało, że fundacja za obsługę spotkań miała otrzymać od resortu 115 tys. zł. Tylko że tym razem nie była to prawda.

Fundacja zawiadomiła CBA. Ściślej biorąc, zawiadomienie zostało skierowane bezpośrednio do Mariusza Kamińskiego, wówczas koordynatora służb specjalnych w randze ministra. W piśmie do Kamińskiego czytamy: „Fundacja (...) ani żaden związany z nią podmiot nigdy nie zawarł tej lub nawet podobnej umowy z Ministerstwem Sprawiedliwości. Istnieje podejrzenie, że umowa taka została zawarta przez osoby podszywające się pod Fundację lub w inny nieznany nam sposób, a środki na realizację tej umowy zostały bezprawnie wyprowadzone z Ministerstwa Sprawiedliwości".

eprasa.pl 75f64d8cea

CBA przesłało to zawiadomienie do prokuratury, a ta na policję. Ostatecznie sprawę wyjaśniał Wydział do Walki z Przestępczością Gospodarczą Komendy Rejonowej Policji Warszawa I. Wyjaśnianie polegało na tym, że policja przesłała do Ministerstwa Sprawiedliwości pismo z prośbą o informację. I w 2019 r. otrzymała od zastępcy dyrektora biura ministra taką: „Po przeprowadzeniu analizy umów zawartych w 2017 r., w odniesieniu do wskazanego w piśmie wykonawcy, jak i przedmiotu umowy, nie stwierdzono, aby Skarb Państwa – Ministerstwo Sprawiedliwości był stroną takiej umowy".

Warto byłoby i ten wątek zbadać. Policja bowiem żadnych innych czynności nie podjęła. Uwierzyła ministerstwu, że takiej umowy nie było, chociaż ta widniała w oficjalnym rejestrze.

Zawiadomienie i interpelacja, pod którymi podpisał się Kornel Morawiecki, dotyczyły jeszcze innych kwestii. Chodziło o zawarcie umów wielkiej wartości z organizacjami, które dopiero co powstały i nie miały doświadczenia w pomocy osobom pokrzywdzonym. Mimo to wygrywały z tymi, którzy takie doświadczenie mieli.

Chodziło o stowarzyszenie zarejestrowane w Warszawie przy ulicy Szaserów, które dostało ponad 456 tys. zł. Z kolei fundacja działająca przy Jana Kochanowskiego w Warszawie miała otrzymać 330,8 tys. zł. Stowarzyszenie zarejestrowano pół roku wcześniej. Fundacja natomiast dwa dni przed przyznaniem środków zmieniła statut tak, aby pasował do przedmiotu konkursu. Rok później obie te organizacje znowu wygrały konkursy, do których przystąpiły. Obie deklarowały, że mają odpowiednie „zaplecze kadrowe". Jedna już po wygraniu konkursu zamieściła ogłoszenie o poszukiwaniu prawników i psychologów. A taką właśnie pomoc zgodnie z warunkami konkursu miała świadczyć.

Ziobrowe Ministerstwo Sprawiedliwości od tych, którzy przystępowali do konkursu, żądało podania adresów, pod którymi świadczone będą porady prawne. Ani jedna, ani druga organizacja tego warunku nie spełniła. Stowarzyszenie podało mniej adresów, niż powinno. Fundacja nie podała żadnego.



Kornel Morawiecki w adresowanej bezpośrednio do ministra sprawiedliwości interpelacji sejmowej, z datą 12 czerwca 2019 r., informował Ziobrę o możliwych przekrętach.

Cuda w całym kraju

To wynikało z zawiadomienia, które Morawiecki przesłał do prokuratury. W interpelacji do ministra zaś informował również o nieprawidłowościach poza Warszawą. W Kielcach np. Caritas Diecezji Kieleckiej przegrała z fundacją zarejestrowaną kilka miesięcy przed ogłoszeniem konkursu. Jeszcze ciekawiej było w Lesznie. Tam ministerstwo wybrało fundację, która została wpisana do KRS kilka dni przed ogłoszeniem konkursu. Siedziba fundacji znajdowała się pod adresem, który jako swój wskazywało wiele innych podmiotów (być może było to biuro wirtualne). Wygrała z czterema doświadczonymi organizacjami społecznymi.

Z kolei w Skierniewicach wybór resortu sprawiedliwości padł na fundację zajmującą się „promocją wartości, które stanowią fundament instytucji rodzinnej". A chodziło o świadczenie porad prawnych i psychologicznych. Prorodzinną fundację uznano za właściwszą niż cztery konkurujące z nią organizacje społeczne specjalizujące się w pomocy psychologicznej, mediacjach i poradnictwie prawnym.

W interpelacji do Ziobry Kornel Morawiecki pytał: „Ile punktów w ocenie merytorycznej uzyskała organizacja, która wygrała konkurs na ośrodek Leszno, a która widnieje w Krajowym Rejestrze Sądowym od 31 stycznia 2019 r.? Oznacza to, że organizacja nie ma żadnego doświadczenia w realizacji jakichkolwiek projektów. Dlaczego Caritas Diecezji Kieleckiej jako instytucja od lat pomagająca tysiącom osób została bez jakiegokolwiek wsparcia ze strony Funduszu Sprawiedliwości? Czy dostrzega Pan dysonans pomiędzy działaniami prowadzonymi przez grupę społeczników na rzecz rodzin a udzielaniem profesjonalnego wsparcia prawnego i psychologicznego tak jak w przypadku Fundacji (...), której powierzono ośrodek w Skierniewicach?".

Zgodnie z prawem Ziobro miał odpowiedzieć na te pytania w ciągu 30 dni. Ale to nie wszystko. Dysponujemy bowiem tym samym rejestrem umów, który miał Kornel Morawiecki, kiedy zadawał Ziobrze pytania. Są tam przedziwne umowy, sprzeczne z ideą, dla której tworzono Fundusz Sprawiedliwości (pomoc ofiarom przestępstw). Mamy np. obsługę administracyjną i techniczną egzaminów na aplikację komorniczą w Gdańsku, Katowicach, Krakowie, Łodzi, Poznaniu, Warszawie i we Wrocławiu. Mamy także druk i doręczenie materiałów na egzaminy: radcowski czy adwokacki. A poza tym sporo honorariów za pisanie artykułów o ochronie danych osobowych czy o kontrakcie… zawodowego piłkarza.

Za pieniądze z funduszu zakupiono i zamontowano chodniki w pewnym kompleksie biurowym, położono tam wykładziny i wyremontowano tarasy oraz elewację. A były to milionowe kwoty.

Czy Zbigniew Ziobro mógł o tym wszystkim nie wiedzieć? Bardzo jestem ciekaw, jak będzie się tłumaczył. ■

FOT. ANNA ABAKO/EAST NEWS

eprasa.pl 75f64d8cea

Każdy może być lekarzem

Chcesz skończyć medycynę? Wystarczy mieć ćwierć miliona złotych

Kornel Wawrzyniak

Ten tekst to prawdopodobnie moje pożegnanie z czytelnikami i czytelniczkami „Przeglądu". Już w przyszłym roku zacznę studia medyczne w Akademii Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu. Zdziwieni? Wytłumaczę Wam, jak łatwo zostać dziś lekarzem.

252 tys. powodów do studiowania

Jeszcze na początku października uczelnia prowadzona przez Fundację Lux Veritatis związaną z Tadeuszem Rydzykiem rekrutowała studentów. Na jej stronie można było znaleźć reklamę: „Kierunek lekarski – jeszcze 20 dodatkowych miejsc". Żart polega na tym, że nie było żadnych dodatkowych miejsc. Zgodnie z rozporządzeniem ministra zdrowia limit przyjęć na kierunek lekarski na AKSiM to 60 osób, czyli chętnych do studiowania było tylko 40. W roku akademickim 2024/2025 przyjęto podobną liczbę osób – 45. Co innego na renomowanych uczelniach – na Warszawskim Uniwersytecie Medycznym w roku akademickim 2025/2026 zgłosiło się 3401 kandydatów na 550 miejsc. To daje 6,18 kandydata na miejsce.

Jak dostać się na studia medyczne na uczelni niemedycznej? Stara zasada mówi, by iść tropem pieniędzy. Uczelnia związana z Rydzykiem ma aż 21 tys. powodów na semestr, żeby poszukiwać studentów. Konkretniej – 21 tys. zł. W ciągu sześciu lat studiów zarobi na jednym studencie ponad ćwierć miliona złotych. Zakładając, że wszystkich 45 studentów z poprzedniej rekrutacji przetrwało pierwszy rok, można przyjąć, że z samego czesnego na kierunkach medycznych AKSiM zarobiła ponad 1,8 mln zł.



Z samego czesnego na kierunkach medycznych AKSiM mogła w zeszłym roku zarobić ponad 1,8 mln zł. Nz. założyciel akademii o. Tadeusz Rydzyk podczas sympozjum „Oblicza pandemii". Toruń, 29 stycznia 2022 r.

Wróćmy jednak do rekrutacji. Trzeba dostarczyć wyniki z trzech przedmiotów maturalnych. Czasem z dwóch. Zazwyczaj chodzi o biologię, matematykę lub fizykę i chemię. Gdy ktoś stara się o miejsce na renomowanej uczelni, liczy się każdy procent na świadectwie maturalnym, za to na uczelnie niemedyczne, gdzie chętnych nie ma tak wielu, dostanie się właściwie każdy.

Nieoficjalnie dowiedzieliśmy się, że w zeszłym roku akademickim odnotowano przypadki przyjmowania osób, które zdały maturę z biologii poniżej 30%, czyli poniżej ówczesnego progu zdawalności.

Podbijmy jednak stawkę, bo rządzący są konsekwentni w bezsensie. 11 stycznia 2025 r. weszła w życie nowelizacja ustawy o systemie oświaty, która zniosła próg zdawalności matur rozszerzonych. Wystarczy przyjść na egzamin. Mój przepis na zostanie lekarzem jest więc prosty. Potrzebna jest konkretna kasa i obecność na maturze rozszerzonej z wybranych przedmiotów. Kto będzie patrzył na procenty, skoro są jeszcze miejsca, prawda? Jeżeli wybraliście uczelnię ojca dyrektora, potrzebujecie też zaświadczenia od proboszcza. Ale ten zapis opatrzono na stronie akademii gwiazdką. Może uczelni wystarczy tylko chrzest. Wiadomo, że ćwierć miliona piechotą nie chodzi, to i na brak bierzmowania można pewnie przymknąć oko.

Student musi być oszczędny

Jeśli wydaje się Wam, drodzy czytelnicy i czytelniczki, że uczelnię

eprasa.pl 75f64d8cea

Rydzyka wybrałem z potrzeby serca lub z powodu zgodności światopoglądowej, to grubo się mylicie. Kierunek lekarski na AKSiM w Toruniu jest po prostu jednym z najtańszych. W porównaniu z konkurencją naprawdę można zaoszczędzić. Semestr na Uczelni Łazarskiego w Warszawie kosztuje 36 tys. zł. W Społecznej Akademii Nauk w Łodzi zapłacimy 28 tys. zł. Na Uniwersytecie Andrzeja Frycza Modrzewskiego semestr to koszt 30 tys. zł, a na Akademii WSB w Dąbrowie Górniczej „zaledwie" 23,5 tys. zł.

Mimo okazyjnej na tle konkurencji ceny uczelnia Rydzyka zapełniła w tym roku około dwóch trzecich miejsc. Porozumienie Rezydentów zwraca uwagę na ciekawy aspekt: niezależnie od tego, ilu studentów przyjmują uczelnie niemedyczne, ważny jest też zauważalny odpływ studentów z tych uczelni. Część po maksymalnie trzech semestrach przenosi się na renomowane kierunki medyczne. Inni rezygnują ze względu na braki organizacyjne lub związane z jakością kształcenia. Przypomnijmy, że statystyczny student kierunku lekarskiego na uczelni niemedycznej musi się najeździć. Przecież w części placówek brakuje prosektoriów. Z tego powodu odbywają się turnusy autokarowe (nawet kilkaset kilometrów) do zaprzyjaźnionych uczelni.

A skoro bawimy się już w tzw. Januszów medycyny, to wiadomo, że liczy się stosunek ceny do jakości. O tę ostatnią na niemedycznych uczelniach raczej trudno. Pokazały to kontrole Polskiej Komisji Akredytacyjnej w ostatnich latach. Nie ma więc sensu przepłacać. Opisywaliśmy już w „Przeglądzie" (7 października 2024 r.) rażące braki na tych uczelniach: problem z prosektoriami, a poza tym braki w niezbędnej literaturze, w sprzęcie czy wreszcie kadrowe. Legendarna jest opowieść o tym, że na kierunku lekarskim otwieranym na Politechnice Bydgoskiej miał uczyć martwy wykładowca. W 2024 r. ówczesny szef resortu szkolnictwa wyższego Dariusz Wieczorek, pogroził palcem uczelniom niemedycznym i nakazał poprawę tych „drobnych" niedociągnięć, bo inaczej zawiesi możliwość przyjmowania na studia. Podobno część uczelni się wywiązała i zaczęła na powrót rekrutować studentów.

Nasze źródła w resorcie szkolnictwa wyższego wskazują jednak, że to wszystko działania pokazowe. Efektowne ruchy, które przykrywają smutną prawdę, że nie zmieniło się nic albo zmieniło się pozornie. To jak z badaniem poziomu czytelnictwa nad Wisłą – Biblioteka Narodowa pyta co roku: „Czy w ciągu ostatnich 12 miesięcy czytał(a) Pan(i), w całości lub fragmencie, albo przeglądał(a) Pan(i) jakieś książki?". Wystarczy książkę przejrzeć, aby być czytelnikiem.

Przez sześć lat studiów uczelnia Rydzyka zarobi na jednym studencie ponad ćwierć miliona złotych.

Rozgłos medialny wokół uczelni niemedycznych ucichł, więc można sobie odpuścić konkrety. Tymczasem Akademia Nauk Stosowanych (ANS) w Nowym Sączu i ANS w Nowym Targu otrzymały po 30 miejsc na kierunku lekarskim mimo negatywnej oceny Polskiej Komisji Akredytacyjnej. Resort nauki uzasadnił swoją decyzję „poczynionymi przez uczelnie inwestycjami i poniesionymi nakładami finansowymi".

„Przypominamy, że negatywna ocena PKA oznacza brak możliwości osiągnięcia efektów uczenia się na danym kierunku – mówiąc wprost, studenci tych kierunków nie będą w stanie nauczyć się umiejętności niezbędnych do pełnienia zawodu lekarza. W dodatku dla tych kierunków jest to druga negatywna ocena PKA, a przed otwarciem otrzymały jeszcze negatywną opinię – wskazuje Władysław Krajewski z Porozumienia Rezydentów w komunikacie dla mediów i dodaje: – Jest to świadome skazanie pacjentów na kontakt z lekarzami niemającymi odpowiedniego wykształcenia i uzasadnione jedynie kosztami poniesionymi przez uczelnię. Ciężko nie odnieść wrażenia, że dla Pani Minister (Marii Mrówczyńskiej – przyp. red.) ważniejsze są finanse uczelni niż jakość kształcenia przyszłych kadr medycznych".

Kolejny rok bez zmian

Zamiast ukrócić patologię, rządzący po raz kolejny przymykają oko na błędy w kształceniu lekarzy. I właściwie nie wiadomo dlaczego. Sebastian Goncerz z Porozumienia Rezydentów wskazywał na naszych łamach (27 maja 2024 r.): „Chciałbym zobaczyć jakąś prognozę, analizę tego, ilu lekarzy musimy obecnie kształcić i czy jesteśmy w stanie zapewnić im pracę po ukończeniu studiów. Lekarzy pracujących z pacjentem w Polsce mamy 3,6 na 1 tys. mieszkańców, a średnia europejska wynosi 4,1 na 1 tys. mieszkańców. Są braki, ale nie tak duże, by usprawiedliwić takie tempo otwierania kierunków lekarskich i taką degradację jakości kształcenia. Dziś działania wokół kształcenia lekarzy wydają się kompletnie nieprzemyślane i nieuregulowane. Według raportu Najwyższej Izby Kontroli z 17 sierpnia 2023 r. Ministerstwo Zdrowia dokonało zwiększenia liczebności studentów, nie posiadając żadnych analiz ani prognoz, które byłyby uzasadnieniem dla podjętych działań".

O sprawie kierunków lekarskich pisaliśmy na łamach „Przeglądu" w ostatnich latach kilkukrotnie. Zmieniła się władza, zmienili się przez ostatnie dwa lata rządów Koalicji 15 Października zarówno ministrowie szkolnictwa wyższego, jak i zdrowia. Mimo obietnic składanych m.in. przedstawicielom Porozumienia Rezydentów i środowisk medycznych zmian nie ma. To, co jeszcze rok temu można było uznać za nieudolność Dariusza Wieczorka, dzisiaj możemy już nazwać świadomym i systemowym działaniem rządzących na szkodę pacjentów. Sparafrazuję w tej sytuacji stary żart: już za parę lat, trafiając do szpitala na operację, pacjenci będą nerwowo pytać, czy anestezjolog nie jest przypadkiem po niemedycznej uczelni. Dlaczego? Nikt nie chciałby być usypiany do zabiegu kołysanką, prawda?

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

FOT.PAP/TYTUS ŻMIJEWSKI

eprasa.pl 75f64d8cea

Układ się sypie

Podejrzani, oskarżeni, uciekinierzy i skazani – Fundusz Sprawiedliwości jeszcze długo nie da o sobie zapomnieć

Andrzej Sikorski

Dla tych, którzy bacznie śledzą jedną z największych afer III RP, wniosek o uchylenie immunitetu Zbigniewowi Ziobrze jest wisienką na torcie. Założyciel i mózg przestępczego układu w obawie przed aresztowaniem czmychnął na Węgry. Już od grudnia 2024 r. pod skrzydłami Viktora Orbána ukrywa się przed wymiarem sprawiedliwości Marcin Romanowski. Zastępcy Ziobry w Ministerstwie Sprawiedliwości prokuratura chce postawić 11 zarzutów – w tym udziału w zorganizowanej grupie przestępczej, przywłaszczenia ponad 107 mln zł i usiłowania przywłaszczenia ponad 58 mln zł.

Przypomnijmy, że proceder przestępczy, w którym Ziobro i Romanowski grali pierwsze skrzypce, polegał na tym, że politycy Solidarnej/Suwerennej Polski z Funduszu Sprawiedliwości mającego pomagać ofiarom przestępstw zrobili maszynkę do wyprowadzania pieniędzy. Setki milionów złotych płynęły szerokim strumieniem na finansowanie kampanii wyborczych, do zaprzyjaźnionych organizacji i mediów, a nawet na zakup oprogramowania szpiegowskiego Pegasus, wykorzystywanego do inwigilacji i zwalczania przeciwników politycznych PiS.

Powołany w styczniu 2024 r. przez Adama Bodnara w Prokuraturze Krajowej Zespół Śledczy nr 2 prowadzi wielowątkowe śledztwo w sprawie rozkradania Funduszu Sprawiedliwości. Choć Ziobro i Romanowski na razie robią skuteczne uniki, by nie stanąć przed obliczem prokuratora, to w innych sprawach do sądów skierowano akty oskarżenia, a nawet zapadły pierwsze prawomocne wyroki skazujące.



Zbigniew Ziobro poszedł w ślady Marcina Romanowskiego.

Egzorcysta w opałach

W lutym 2025 r. do Sądu Okręgowego w Warszawie wpłynął akt oskarżenia przeciwko ks. Michałowi Olszewskiemu i pięciu innym osobom. Chodzi o wyprowadzenie z Funduszu Sprawiedliwości do kościelnej Fundacji Profeto ponad 66 mln zł na budowę ośrodka Archipelag dla ofiar przestępstw. W rzeczywistości w potężnym gmachu, kryjącym w sobie m.in. salę widowiskową na 350 osób, sale konferencyjne i studia nagraniowe, miało powstać profesjonalne centrum multimedialne Solidarnej Polski.

Ks. Olszewski został oskarżony o popełnienie czterech przestępstw, w tym udział w zorganizowanej grupie przestępczej i pranie pieniędzy, za co grozi mu nawet 25 lat więzienia. Politycy PiS twierdzą, że zarzuty wobec duchownego są przejawem walki rządu Donalda Tuska z Kościołem katolickim. Problem w tym, że jeden ze współoskarżonych, Piotr W., poszedł na układ z prokuraturą, przyznał się do udziału w przekręcie i opowiedział o przestępczej działalności ks. Olszewskiego. Dzięki temu skorzystał z instytucji dobrowolnego poddania się karze, ustalonej z prokuraturą. 24 września br. Sąd Okręgowy w Warszawie skazał mężczyznę na rok więzienia w zawieszeniu na pięć lat.

Piotr W. to przedsiębiorca budowlany, którego firma TISO oficjalnie była wykonawcą robót przy budowie kościelnego ośrodka. Dlaczego oficjalnie? Bo w rzeczywistości

eprasa.pl 75f64d8cea

PRENUMERATA POCZTOWA PRZEGLĄDU 2026

Jeden egzemplarz w prenumeracie 9 zł

117,00 zł – I KWARTAŁ
234,00 zł – I PÓŁROCZE
477,00 zł – CAŁY ROK



Zamówienia można składać do 25 listopada 2025 r.

We wszystkich placówkach pocztowych lub u listonoszy albo drogą elektroniczną pod adresem: **sklep.poczta-polska.pl**

Archipelag budowała firma Jana Olszewskiego – ojca księdza. Piotr W. znał się z Janem Olszewskim od 20 lat, panowie współpracowali na różnych budowach. Jan Olszewski był winien Piotrowi W. 350 tys. zł. Wiedział o ustawionym konkursie na dotację dla fundacji swojego syna i zaproponował Piotrowi W. udział w przekręcie, dzięki któremu spłaciłby dług i jeszcze zarobił na pracach budowlanych. TISO jako papierowy wykonawca wystawiała faktury, a od każdej dostawała działkę w wysokości 3%.

Piotr W. opowiedział też prokuratorom, jak pomógł ks. Olszewskiemu wyprać przywłaszczone pieniądze z Funduszu Sprawiedliwości. Otóż duchowny nakazał mu podpisać z zakonem sercanów fikcyjną umowę najmu części gruntu, na którym prowadzono budowę. Właścicielem drugiej części była Fundacja Profeto. TISO przelała więc prawie 3,7 mln zł „czynszu" za użytkowanie gruntu na konto zakonu sercanów, ks. Olszewski zaś, który miał dostęp do konta zgromadzenia, przetransferował na swój prywatny rachunek 135 tys. zł, a resztę „czynszu" – ok. 3,5 mln zł – przekazał Fundacji Profeto.

Prawomocny wyrok dla Piotra W. stawia ks. Olszewskiego w bardzo trudnej sytuacji i raczej jest mało prawdopodobne, że duchowny uniknie kary.

Matecki i 16 mln zł

Czarne chmury zbierają się nad posłem Dariuszem Mateckim. W październiku br. do Sądu Okręgowego w Szczecinie wpłynął akt oskarżenia przeciwko współpracownikowi Zbigniewa Ziobry i jego siedmiu wspólnikom w przestępczym procederze. Owi wspólnicy to prezes Stowarzyszenia Fidei Defensor Adam S. i jego kochanka Nina W., prezes Stowarzyszenia Przyjaciół Zdrowia i były wicewojewoda zachodniopomorski Mateusz W., księgowa biura poselskiego Dariusza Mateckiego Patrycja S., współpracowniczka Mateckiego Dorota W., kolega Mateckiego Grzegorz W. i pracownik Stowarzyszenia Przyjaciół Zdrowia Mikołaj W.

Sprawa dotyczy trzech ustawionych konkursów. W wyniku matactw i zmowy 16,5 mln zł trafiło do powiązanych z Mateckim stowarzyszeń, Fidei Defensor oraz Przyjaciół Zdrowia.

Ks. Olszewski został oskarżony o udział w zorganizowanej grupie przestępczej i pranie pieniędzy, za co grozi mu nawet 25 lat więzienia.

Kulisy wyprowadzania państwowego majątku do prywatnych kieszeni wyglądały tak, że Matecki ustalał szczegóły z Ziobrą, a ten informował o wszystkim Marcina Romanowskiego i Tomasza Mraza, dyrektora Funduszu Sprawiedliwości.

Pieniądze z Funduszu Sprawiedliwości zostały wykorzystane na kampanie polityczno-ideologiczne wymierzone w przeciwników PiS i na utworzenie portali wspierających partię Zbigniewa Ziobry. Matecki i spółka część pieniędzy najzwyczajniej w świecie rozkradali. Robiono to na tzw. słupy, czyli osoby, które wystawiały fikcyjne lub zawyżone faktury na różnego rodzaju usługi, np. konferencje, szkolenia i kampanie reklamowe. Jedną z konferencji Fidei Defensor miała organizować firma kuzyna działacza stowarzyszenia, zajmująca się… handlem paszami dla zwierząt hodowlanych, innym razem spółka z branży budowlanej. Słupy dostawały 10% wartości podpisanych umów.

Mikołaj W., jeden z pracowników Stowarzyszenia Przyjaciół Zdrowia, w ramach fikcyjnych wynagrodzeń przywłaszczył prawie 200 tys. zł. Księgowa Patrycja S. „miała uczestniczyć w procesie księgowania i rozliczania fikcyjnych faktur oraz wypłat, które tworzyły pozory legalnych kosztów". Grzegorz W. wystawił fikcyjne i zawyżone faktury na łączną kwotę ok. 760 tys. zł za rzekome usługi promocyjne i reklamowe.

Szefowie stowarzyszeń Adam S. i Mateusz W. zostali oskarżeni o popełnienie czterech przestępstw, m.in. o współdziałanie z Marcinem Romanowskim, Tomaszem Mrazem i Dariuszem Mateckim w ustawieniu trzech konkursów i przywłaszczenie 16,5 mln zł oraz pranie pieniędzy w kwocie ok. 3,6 mln zł. Pranie to polegało na wypłacaniu wynagrodzeń sześciu osobom (w łącznych kwotach od 147 tys. do 337 tys. zł na osobę) z tytułu fikcyjnego zatrudnienia oraz dokonywaniu płatności za nierzetelne faktury – na kwoty wielokrotnie zawyżone lub za usługi, które nie zostały wykonane.

Pieniądze trafiały też bezpośrednio do Mateckiego. Zdaniem prokuratury poseł PiS ukradł, a potem próbował wyprać, czyli

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS, FOT. DAMIAN KLAMKA/EAST NEWS

eprasa.pl 75f64d8cea



W lutym 2025 r. do Sądu Okręgowego w Warszawie wpłynął akt oskarżenia przeciwko ks. Michałowi Olszewskiemu.

zalegalizować, ok. 450 tys. zł. Kradzież polegała na tym, że Matecki „przyjął środki płatnicze pochodzące z pieniędzy z wynagrodzeń z tytułu fikcyjnego zatrudnienia oraz nienależnie uzyskiwanych dochodów od ustalonych osób, a następnie używał ich, przeznaczając na prywatne cele". Te „nienależnie uzyskiwane dochody" to były koperty (z 10-15 tys. zł), zwane darkowym, z rekompensatą za działalność medialną na rzecz Fidei Defensor.

Koledzy się rozpruli

Matecki i jego wspólnicy, obawiając się zatrzymania przez Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego, zacierali ślady działalności przestępczej, ustalali taktykę oraz linię obrony na wypadek spotkania z prokuratorem. Mieli jednak pecha. Dwóch uczestników niecnego procederu, Adrian K. i Piotr S., którzy zajmowali się praniem pieniędzy, poszło na współpracę z prokuraturą. Nie tylko opowiedzieli o swojej roli, ale także ujawnili informacje dotyczące innych osób biorących udział w popełnianiu przestępstw oraz okoliczności ich popełnienia. 7 i 8 października br. Sąd Okręgowy w Szczecinie skazał obu mężczyzn na kary więzienia w zawieszeniu.

Adrian K. przyjął od Stowarzyszenia Fidei Defensor oraz Stowarzyszenia Przyjaciół Zdrowia kwotę co najmniej 246 tys. zł „jako rzekomą płatność za wystawione przez siebie nierzetelne faktury za organizację konferencji, wydarzeń oraz promocji i kampanii reklamowych w internecie, które faktycznie nie miały miejsca". Pozyskane w ten sposób pieniądze przekazywał w gotówce prezesowi Fidei Defensor Adamowi S. – po odliczeniu podatków od fikcyjnych usług i swojej prowizji za udział w przestępstwie.

Natomiast Piotr S. przyjął od Stowarzyszenia Przyjaciół Zdrowia 240 tys. zł jako zapłatę za fikcyjny wynajem lokalu w Szczecinie. Z kolei od Stowarzyszenia Fidei Defensor przyjął ponad 337 tys. zł w ramach wynagrodzenia za pozorną pracę na podstawie umowy-zlecenia. I w tym przypadku wypłacone przez Fidei Defensor pieniądze, po odliczeniu kosztów i prowizji, przekazywał w gotówce prezesowi stowarzyszenia Adamowi S.

Prawomocne wyroki dla Adriana K. i Piotra S. oznaczają, że Matecki i jego wspólnicy mają nikłe szanse na uniewinnienie.

To niejedyne dobre wiadomości. W październiku br. prokuratura przesłała do Sądu Okręgowego w Warszawie akt oskarżenia przeciwko Michałowi Wosiowi, który jako wiceminister sprawiedliwości bezprawnie przekazał CBA 25 mln zł na zakup Pegasusa. Woś nie tylko przywłaszczył publiczne środki, ale zdaniem prokuratury zrobił to z niskich pobudek, „w celu osiągnięcia korzyści osobistych i politycznych dla siebie", za co grozi mu nawet 10 lat więzienia. Trzeba pamiętać o tym, że gdy Woś został w 2017 r. po raz pierwszy wiceministrem sprawiedliwości, miał zaledwie 26 lat i był politycznym szczylem bez jakichkolwiek kompetencji do zajmowania tak odpowiedzialnego stanowiska. Woś nigdzie wcześniej nie pracował, nie miał żadnego doświadczenia zawodowego, ledwo co skończył studia. Aby robić karierę na szczytach władzy i umacniać swoje wpływy, młody działacz Solidarnej Polski musiał wykonywać posłusznie polecenia Ziobry, a protektor w zamian wynagradzał go kolejnymi stanowiskami. Po przekazaniu CBA pieniędzy na zakup cyberbroni Woś został kolejno: członkiem zarządu województwa śląskiego (z pensją wyższą od wiceministerialnej), ministrem w KPRM, ministrem środowiska i sekretarzem stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości.

Wbrew temu, co twierdzą Jarosław Kaczyński i Zbigniew Ziobro, „żurkowa" prokuratura wcale nie jest mściwa i bezduszna. Nadzwyczaj łagodne kary więzienia w zawieszeniu dla wspólnika ks. Michała Olszewskiego i wspólników Dariusza Mateckiego to jasny sygnał dla innych osób biorących udział w przekrętach: nie ma co iść w zaparte, zgrywać bohaterów i ofiary represji politycznych. Przyznanie się do popełnionych przestępstw i zeznawanie przeciwko politykom PiS jest najrozsądniejszym wyjściem.

Andrzej Sikorski

eprasa.pl 75f64d8cea

Zapomniałeś recepty? mObywatel pamięta za Ciebie

Zamiast nerwów – spokój. Zamiast kartek i kodów – aplikacja. Dzięki usłudze Recepty w mObywatelu wszystkie Twoje e-recepty są zawsze dostępne w telefonie – bez szukania i bez stresu.

Technologia, która naprawdę pomaga

Kiedy pani Maria po raz kolejny zapomniała papierowej recepty, już podchodząc do okienka w aptece wiedziała, że czeka ją powrót do domu. – Z wiekiem człowiek coraz więcej notuje, ale i tak nie zawsze pamięta – mówi z uśmiechem. Tym razem jednak farmaceutka zapytała:
– Ma pani aplikację mObywatel?
– Mam.
– To wystarczy.
Po chwili pani Maria otworzyła zakładkę Recepty, a na ekranie pojawił się kod QR. Leki wydano od ręki. Bez stresu, bez telefonów do przychodni, bez karteczek w portfelu.

Czasem wystarczy kilka kliknięć, aby odetchnąć z ulgą

Zapominasz recepty? Już nie musisz się martwić. Usługa Recepty w aplikacji mObywatel pozwala mieć wszystkie e-recepty zawsze pod ręką – bez kartek i stresu.
Wystarczy telefon, kilka kliknięć i spokój wraca.

Wszystkie recepty w jednym miejscu

Usługa Recepty w aplikacji mObywatel to prosty sposób, by mieć dostęp do wszystkich e-recept w jednym miejscu. Wystarczy zalogować się do aplikacji, a system automatycznie pokaże aktualne recepty wystawione przez lekarza – z nazwą leku, datą wystawienia i statusem realizacji. Nie musisz już podawać swojego numeru PESEL przy ladzie – wszystko odbywa się bezpiecznie, bez słów i bez stresu.
To rozwiązanie szczególnie przydatne, gdy ktoś realizuje recepty w imieniu bliskiej osoby – np. rodzica lub dziecka. W aplikacji można bezpiecznie dodać uprawnienia do przeglądania recept członków rodziny, co ułatwia codzienne zakupy w aptece.

Bezpieczeństwo i zaufanie

Dzięki integracji z rejestrami publicznymi dane w usłudze są zawsze aktualne i chronione. mObywatel działa w oparciu o wysokie standardy bezpieczeństwa, dlatego użytkownik ma pewność, że informacje o jego zdrowiu są przechowywane zgodnie z przepisami. Jeśli potrzebujesz więcej informacji, to z aplikacji mObywatel możesz łatwo przejść do aplikacji mojeIKP.

Cyfrowe wsparcie w codziennych sprawach

– Czuję się pewniej, nawet jeśli zapomnę portfela, mogę wykupić lekarstwa. Wystarczy, że mam przy sobie telefon – dodaje pani Maria. To właśnie siła prostych rozwiązań, które oszczędzają czas, nerwy i pomagają w codziennych sytuacjach.
Dzięki usłudze Recepty codzienne sprawy stają się prostsze. To kolejny krok w stronę cyfrowej wygody i spokoju – bo technologia w służbie człowieka ma ułatwiać życie, a nie je komplikować.



Pobierz aplikację mObywatel

POBIERZ Z Google Play

Pobierz w App Store

Materiał informacyjny współfinansowany z funduszy Unii Europejskiej.

Fundusze Europejskie na Rozwój Cyfrowy | Rzeczpospolita Polska | Dofinansowane przez Unię Europejską | Ministerstwo Cyfryzacji

eprasa.pl 75f64d8cea

SKOŃCZMY Z TYM

To, co dzieje się na fermach futerkowych, trudno opisać słowami

Rozmawia Anna Wyrwik

Dlaczego my, ludzie, uważamy, że możemy trzymać zwierzęta w klatkach tylko po to, by robić z nich futra, bez których możemy spokojnie się obejść?

– Często o tym myślę i dochodzę do wniosku, że u wielu ludzi pokutuje przekonanie, że mamy władzę nad całą planetą, w tym nad zwierzętami. Najprostsza odpowiedź na to pytanie brzmi: bo możemy. Możemy, bo nikt nam nie zabronił i nikt nie zwrócił uwagi, że to nie w porządku, a jest tak, że dopóki ktoś czegoś prawnie nie zakaże, zawsze znajdą się ludzie, którzy będą czerpali z tego zysk.

pełnej wiedzy na temat warunków ich życia". Czego nie wiemy o fermach futerkowych?

– Pierwszą kampanią Stowarzyszenia Otwarte Klatki była ta na rzecz zakazu hodowli zwierząt na futro. W latach 2012-2013 był w Polsce bum na fermy futrzarskie. Wiązało się to z faktem, że w 2012 r. w Holandii wszedł zakaz hodowli zwierząt na futro i Holendrzy zaczęli fermy przenosić do nas, bo tu mieli korzystne warunki. Część polskich hodowców, którzy później stali się potentatami w branży, uczyła się od Holendrów.

Bum spowodował, że zaczęło się do nas zgłaszać coraz więcej mieszkańców wsi, którzy mieli problem

Fermy hamują rozwój gmin, bo w takiej okolicy nikt nie chce inwestować. Nikt też nie chce mieszkać.

Porozmawiajmy o przemyśle ferm futrzarskich w Polsce. Czy Stowarzyszenie Otwarte Klatki powstało z powodu tego, co działo się u nas jeszcze kilkanaście lat temu?

– Zakładając Otwarte Klatki w 2012 r., chcieliśmy się skupić na tych problemach i rozwiązaniach, które mogą pomóc jak największej liczbie zwierząt. Większość organizacji prozwierzęcych skupia się na zwierzętach towarzyszących, czyli psach i kotach. Zdecydowanie mniej organizacji zajmuje się zwierzętami gospodarskimi, których jest więcej i których skala cierpienia jest nieporównywalnie większa.

Na stronie internetowej piszecie: „Zabiegamy o lepszą ochronę zwierząt zamykanych na fermach, a także o prawo konsumentów do

z fermami. Wtedy też zaczęliśmy przeprowadzać pierwsze śledztwa. Dziś, po wielu akcjach i kampaniach, świadomość ludzi jest większa. Kilkanaście lat temu opinia publiczna nie zdawała sobie sprawy, w jaki sposób wytwarza się futro. Wiele osób twierdziło, że futro jest wyrobem związanym z łowiectwem, pochodzącym z upolowanych zwierząt. Dziś większość wie, że w Europie pochodzi ono z ferm, gdzie zwierzęta żyją w klatkach.

Jakie gatunki są trzymane na fermach w Polsce?

– W Polsce na futro hoduje się lisy, jenoty, szynszyle i przede wszystkim norki amerykańskie. Są to zwierzęta dzikie i drapieżne, które w naturze prowadzą samotniczy tryb życia i przemierzają ogromne tereny.

Jak ich życie wygląda na fermie futrzarskiej?

– Bardzo trudno wyobrazić sobie fermę, jeśli się jej nie zobaczy, ale spróbuję to opisać. Życie zwierzęcia zaczyna się wiosną, bo wiosną rodzą się młode. Zwierzę ląduje w klatce i poza opuszczaniem jej na procedury ważenia czy mierzenia spędza w niej cały czas. Klatki są niewiele większe od samych zwierząt. Przykładowo na dwa lisy przypada powierzchnia 1 m kw. Gdy w wyniku interwencji jakaś organizacja ratuje lisa z fermy futrzarskiej, musi mu w azylu zapewnić większą przestrzeń, niż miał na fermie. To pokazuje jasno, że klatka na fermie nie służy zapewnieniu dobrostanu, tu liczy się zysk hodowcy.

Europejski Urząd ds. Bezpieczeństwa Żywności (EFSA) potwierdził, że na fermach futrzarskich nie jest zapewniony ani fizyczny, ani psychiczny dobrostan zwierząt. Co to znaczy?

– Fizyczne problemy zwierząt przeznaczonych na futro to np. deformacje łap, które wpadają im między pręty klatek. Zwierzęta bardzo często mają infekcje oczu, uszu i dziąseł. Mają też często pogryzienia wynikające ze wzajemnej agresji. Zwierzęta są karmione w taki sposób, że papka mięsna jest nakładana na klatkę i po niej ścieka, prosto na zwierzęta, przez co one gryzą się nawzajem. W klatkach obserwujemy także autoagresję. Otwarte rany często nie są leczone. Na fermach dochodzi też do kanibalizmu. Nie da się tych problemów uniknąć, jeśli zamykamy dzikie zwierzęta w klatkach.

A co z problemami psychicznymi?

– Wynikają z faktu, że w tych warunkach zwierzęta nie są w stanie

eprasa.pl 75f64d8cea



MARTA KORZENIAK
– Stowarzyszenie Otwarte Klatki, koordynatorka kampanii Cena Futra

zaspokajać podstawowych potrzeb behawioralnych, takich jak chociażby ruch. Do tego dochodzi potrzeba eksploracji otoczenia, zabawy, węszenia i poszukiwania pożywienia. Nakładanie papki z mięsa na klatkę nie zaspokaja instynktu łowieckiego. Są również inne niezaspokojone potrzeby typowe dla danego gatunku, np. kopanie nor przez lisy czy spędzanie czasu w wodzie przez norki. Problemy psychiczne objawiają się apatią, nudą i stereotypią, czyli powtarzalnymi, bezcelowymi ruchami, jak kręcenie się w kółko, drapanie w pręty klatki czy odbijanie się od jej ścian.

Tak wygląda życie, a jak wygląda śmierć zwierząt na fermach futrzarskich?

– Życie zwierzęcia kończy się jesienią po sześciu-ośmiu miesiącach od urodzin, więc tak naprawdę mówimy o szczeniętach. Zwierzęta są siłą wyciągane z klatek, następnie gazowane (norki) albo zabijane przez porażenie prądem (lisy, jenoty, szynszyle). Wygląda to tak, że jedną elektrodę przykłada się do pyska, drugą do odbytu zwierzęcia i tym samym zamyka się obieg. Pamiętajmy, że na jednej fermie jest od kilku do kilkuset tysięcy zwierząt, co powoduje wiele trudności. Czasem pracownicy nie mogą wyciągnąć ich z klatek, więc pomagają sobie, łapiąc za ogony czy przydeptując. Czasem umieszczają w skrzyni za dużo zwierząt na raz, co powoduje, że proces gazowania jest nieskuteczny. Bywa, że zwierzęta duszą się bardzo długo. Bywa, że są gazowane ponownie. A jeśli przeżywają ponowne gazowanie, są dobijane uderzaniem prętem lub o beton.

Dla hodowców istotne było ogromne wsparcie Radia Maryja i Telewizji Trwam, które broniły futrzarstwa.

Można mówić o celowym znęcaniu się.

– W Polsce mieliśmy wiele przypadków intencjonalnego znęcania się nad zwierzętami. Podam dwa, pierwsze z brzegu. Właściciel fermy lisów w Kościanie (woj. wielkopolskie) zabijał lisy na oczach innych zwierząt, martwe rzucał obok klatek, a poza tym nie miał odpowiednich uprawnień do zabijania zwierząt. Został skazany za znęcanie się nad zwierzętami, więc przepisał fermę na żonę i nadal się znęcał. Walka o zamknięcie tej fermy trwała dziewięć lat. W końcu udało nam się wywalczyć wyrok sześciu miesięcy pozbawienia wolności, 2,5 tys. zł nawiązki na rzecz Otwartych Klatek, siedmioletniego zakazu posiadania zwierząt futerkowych oraz siedmiu lat zakazu pracowania ze zwierzętami. Żona została skazana na sześć miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu na trzy lata.

W zeszłym roku prowadziliśmy śledztwo na fermie rodziny Van Ansem. Dochodziło tam do znęcania się nad norkami: rzucano nimi, przydeptywano je i uderzano nimi o drewniane i metalowe elementy klatek oraz łapano je za ogony i wykręcano je. Sprawa jest w toku.

Jak fermy futrzarskie wpływają na otoczenie i okolicznych mieszkańców?

– To często ogromne fermy przemysłowe. Zwierzęta hodowane na futro przebywają w klatkach na otwartym powietrzu, pod zadaszeniem. Oznacza to, że zarówno ich odchody, jak i resztki mięsnej karmy spadają na ziemię. W upalne dni fetor zepsutego mięsa i smród odchodów niesie się na wiele kilometrów i jest nie do wytrzymania. To przyciąga muchy. Jakiś czas temu we wsi Pyrzany (woj. lubuskie), gdzie ludzie od lat mówią o problemie z fermą futrzarską, jedna z mieszkanek, pani Magda, pokazała mi lepy pełne much. Żaliła się, że w takich warunkach nie da się żyć. W tym zepsutym mięsie lęgną się kolejne larwy much, więc jest ich coraz więcej. To przyciąga gryzonie. Mieszkańcy wsi wprost mówią, że futrzarstwo to nie rolnictwo.

Co na to gminy?

– Wbrew niektórym głosom gminy mają marginalne zyski z ferm futrzarskich, a często tylko straty. Fermy hamują rozwój gmin, bo w takiej okolicy nikt nie chce inwestować. Nikt też nie chce mieszkać, ale tu pojawia się problem. Fermy zwierząt futerkowych powodują spadek wartości nieruchomości, więc mieszkańcy nie mają jak się wyprowadzić, bo za aktualne ceny swoich

eprasa.pl 75f64d8cea

gospodarstw nigdzie podobnych nie kupią.

Do tego dochodzą problemy z norkami amerykańskimi.

– Norki amerykańskie stanowią ok. 98% wszystkich zwierząt hodowanych na futro w Polsce. Często uciekają i sieją spustoszenie. Po pierwsze, są one niebezpieczne dla naszej norki europejskiej, gatunku zagrożonego. Po drugie, stanowią zagrożenie dla lokalnych ekosystemów, ponieważ atakują ptaki, ryby i zwierzęta gospodarskie. Zdarza się, że wchodzą do kurnika i zagryzają kury. W czerwcu br. norka amerykańska znalazła się na liście inwazyjnych gatunków obcych stwarzających zagrożenie dla Unii Europejskiej, co w kolejnych latach przyniesie dodatkowe obostrzenia dla hodowców.



Głos społeczeństwa był słyszany od dawna, bo w ostatnich latach odbyło się wiele protestów, również pod Sejmem.

Napisaliście w raporcie, że zakaz hodowli zwierząt na futro obowiązuje w 22 krajach w Europie. To Wielka Brytania, Słowenia, Austria, Chorwacja, Serbia, Bośnia i Hercegowina, Macedonia, Holandia, Czechy, Luksemburg, Belgia, Słowacja, Norwegia, Irlandia, Francja, Włochy, Estonia, Malta, Łotwa, Litwa, Rumunia i Bułgaria. W pozostałych są częściowe zakazy, tymczasem Polska „pomimo spadku liczby hodowanych zwierząt o 80% od szczytowej produkcji w 2015 r., jest obecnie drugim co do wielkości producentem futer na świecie”. Co jest z nami nie tak?

– Lobby futrzarskie przez wiele lat miało w Polsce liczne powiązania biznesowe z politykami różnych partii, którzy blokowali próby wprowadzania zakazów. Poseł Wolnych Republikanów Jarosław Sachajko do końca bronił ferm futrzarskich. Dla hodowców istotne było także ogromne wsparcie ze strony Radia Maryja i Telewizji Trwam. Te media bardzo broniły futrzarstwa i często zapraszały do programów osoby związane z przemysłem futrzarskim.

Twarzą przemysłu futrzarskiego była u nas rodzina Wójcików, która miała powiązania ze środowiskiem o. Rydzyka. Rodzina prowadzi też interesy w Rosji, gdzie w maju 2024 r. brat Szczepana, Wojciech Wójcik, został aresztowany przez FSB pod zarzutem próby przekupstwa inspekcji weterynaryjnej. Póki zarabiali ogromne pieniądze, ładowali je w lobbing, ale w dobie kryzysu ta branża na szczęście osłabła. Obecnie w Polsce jest 281 aktywnych ferm futrzarskich.

Piszecie, że w 2024 r. „aż 71% ankietowanych stwierdziło, że hodowanie i zabijanie zwierząt dla ich futer nie powinno być dopuszczalne w Polsce”. Dlaczego więc ustawa o zakazie hodowli zwierząt futerkowych w klatkach została przegłosowana dopiero 17 października tego roku?

– Głos społeczeństwa był słyszany od dawna, bo w ostatnich latach odbyło się wiele protestów, również pod Sejmem. Przeprowadziliśmy także liczne interwencje i powstało wiele reportaży na temat ferm. Ale poprzednie propozycje, np. „Piątka dla zwierząt”, zawierały też inne zapisy, na które politycy nie chcieli się zgodzić. W obecnej ustawie mamy zapis jedynie o zakazie hodowli zwierząt na futro. Za ustawą głosowało 339 posłów, a przeciw jedynie 78; 19 posłów wstrzymało się od głosu. 7 listopada ustawa została skierowana na biurko prezydenta. Według najnowszego raportu CBOS z listopada br. „Opinie o zmianach w ochronie zwierząt hodowanych na futro” 68,2% badanych popiera zakaz hodowli zwierząt na futro, a 65,8% uważa, że prezydent powinien podpisać ustawę. Myślę, że ze względu na te badania i duże poparcie dla ustawy w Sejmie prezydent ją podpisze.

Co zawiera ustawa?

– Główne jej założenia to ośmioletni okres przejściowy, odszkodowania dla hodowców przez pierwsze pięć lat funkcjonowania zakazu, liczone od przychodu za lata 2020-2024, i odprawy dla pracowników ferm w wysokości 12-miesięcznej wypłaty. W ciągu ostatnich lat wiele się zmieniło – hodowcy zaczęli wprost mówić o presji społecznej i o swojej gotowości do wygaszania hodowli. Nie było już zaciętej walki o sam zakaz, tylko o warunki jego wprowadzenia. Proces przejściowy jest standardem we wszystkich krajach, gdzie wprowadzano zakazy hodowli zwierząt na futro. U nas jest on wynikiem kompromisu. Dla hodowców, którzy zamkną fermy w ciągu pierwszych pięciu lat od wejścia ustawy w życie, przewidziane są odszkodowania – im szybciej hodowca zamknie działalność, tym wyższe. Co istotne, w ustawie jest zapis o zakazie powstawania nowych ferm natychmiast po przyjęciu ustawy.

Mówi się, że polskie fermy futrzarskie będą się przenosić do Chin.

– Właściciele większych firm wspominali o przenoszeniu ferm do Chin czy do Rosji, ale trendy globalne są takie, że w ciągu ostatnich 10 lat produkcja futer na świecie zmalała o 80%. Dziś jest ona na granicy opłacalności. Obserwujemy schyłek branży futrzarskiej.

Anna Wyrwik

FOT. MIKOŁAJ JASTRZĘBSKI, ANDREW SKOWRON

eprasa.pl 75f64d8cea



Z Galicji

Jan Widacki

Ziobro bez immunitetu

Sejm na wniosek prokuratury uchylił immunitet posłowi Zbigniewowi Ziobrze. Tym samym uznał, że jeśli prokuratura ma podstawy do postawienia Ziobrze zarzutów, może to zrobić, a immunitet poselski nie będzie w tym przeszkodą. Sejm wydał też zgodę na to, by tego pana, jeśli zostaną zrealizowane przesłanki do zatrzymania, można było zatrzymać i doprowadzić do prokuratury. Oraz na to, że gdy prokurator wystąpi z wnioskiem do sądu o aresztowanie Zbigniewa Z., a sąd uzna, że zostały zrealizowane przesłanki pozwalające na jego tymczasowe aresztowanie – i, co więcej, nakazujące je – może wydać takie postanowienie. Uchylony immunitet i temu nie będzie już stał na przeszkodzie.

Przypomnijmy od razu, że prokurator stawia zarzuty, gdy „dane istniejące w chwili wszczęcia śledztwa lub zebrane w jego toku uzasadniają dostatecznie podejrzenie, że czyn popełniła określona osoba" (stanowi tak Kodeks postępowania karnego). Jak już wiemy, prokuratura uznała, że jest „uzasadnione dostatecznie" podejrzenie, że Zbigniew Ziobro popełnił aż 26 czynów zakazanych przez Kodeks karny. Tymczasowe aresztowanie to jeden z tzw. środków zapobiegawczych, których celem jest zapewnienie prawidłowego toku postępowania lub zapobieżenie popełnieniu przez podejrzanego kolejnego ciężkiego przestępstwa. Tymczasowe aresztowanie stosuje na wniosek prokuratora niezawisły sąd. Prokurator wnioskujący o nie do sądu musi przedstawić dowody, które wskazują na duże prawdopodobieństwo, że podejrzany popełnił zarzucane mu przestępstwo lub przestępstwa, a nadto okoliczności, które „przemawiają za istnieniem zagrożeń dla prawidłowego toku postępowania". Za takie „zagrożenia dla prawidłowego toku postępowania" kodeks uznaje przede wszystkim uzasadnioną obawę ucieczki lub ukrywania się podejrzanego. A także obawę matactwa, czyli że podejrzany będzie nakłaniał świadków do fałszywych zeznań lub w inny bezprawny sposób utrudniał postępowanie. Dodajmy, że wyjazd za granicę i niestawianie się na wezwania prokuratury spełniają te ostatnie przesłanki.

Partyjni koledzy Ziobry i uwiedziona przez nich część opinii publicznej podnoszą, że Ziobro jest poważnie chory, a Jarosław Kaczyński, znający się na wszystkim, w tym na prawie i medycynie, twierdzi nawet, że aresztowanie Zbigniewa Ziobry w jego aktualnym stanie zdrowia to wydanie czy nawet wykonanie na nim wyroku śmierci. Otóż rzeczywiście kpk stanowi, że przy zaistnieniu wszystkich przesłanek przemawiających za celowością tymczasowego aresztowania nie stosuje się go, „jeśli powodowałoby to dla życia lub zdrowia podejrzanego poważne niebezpieczeństwo". Gdy stan zdrowia podejrzanego tego wymaga, kodeks przewiduje możliwość wykonywania tymczasowego aresztowania poprzez umieszczenie takiej osoby w odpowiednim zakładzie leczniczym.

Teraz, w sytuacji gdy Ziobro nie zgłasza się na wezwania i wyjeżdża z kraju, prokurator, nawet gdyby wcześniej tego nie chciał, musi się zwrócić do sądu z wnioskiem o zastosowanie tymczasowego aresztowania. Zadaniem sądu będzie sprawdzenie, czy zebrane przez prokuraturę dowody wskazują na istnienie dużego prawdopodobieństwa, że Ziobro popełnił zarzucane mu przestępstwa. Będzie też sąd musiał rozważyć, czy umieszczenie go w areszcie spowoduje poważne niebezpieczeństwo dla jego życia i zdrowia. Sąd nie zna się tak na medycynie jak Kaczyński, w związku z czym będzie musiał zasięgnąć opinii biegłych lekarzy. Po uzyskaniu tej opinii zadecyduje, czy Ziobro może zamieszkać w areszcie bez żadnych ograniczeń, czy trzeba go umieścić na oddziale szpitalnym aresztu albo w szpitalu („zakładzie leczniczym") poza aresztem, albo nawet odstąpić od stosowania tymczasowego aresztowania.

To wszystko należy już do sądu. Nie do polityków. Ich rola skończyła się na uchyleniu Ziobrze immunitetu, czyli pozwoleniu wymiarowi sprawiedliwości na zajęcie się posłem Ziobrą jak każdym innym obywatelem polskim niebędącym posłem. Od tego momentu politycy powinni zamilknąć, aby nie wyglądało na to, że próbują wywrzeć presję na sąd w jedną lub drugą stronę. Nie potrafią jednak najwyraźniej się utrzymać w tej roli, demonstrując tym samym, że nie uznają niezależności władzy sądowniczej i w gruncie rzeczy jej nie szanują. W tej sytuacji aforyzmy premiera typu „albo do aresztu, albo do Budapesztu" czy dowcipy ministra Żurka o serwowaniu żurku w aresztach śledczych są tak samo nie na miejscu jak brednie Jarosława Kaczyńskiego o „wyroku śmierci".

Nie wiem, dlaczego rząd dostarcza prawicowej opozycji argumentów do twierdzeń, że sprawa Ziobry ma charakter polityczny. Co więcej, zaprzeczając jej politycznemu charakterowi, przekonując, że Ziobro jest tak samo traktowany jak każdy inny obywatel, równocześnie do jego zatrzymania deleguje nie policję, która robi to rutynowo, lecz ABW. Jak długo Ziobro zechce korzystać z gościny Orbána, równie dobrze i skutecznie jego zatrzymanie i doprowadzenie można było zlecić straży pożarnej albo straży miejskiej, przynajmniej nie robiłoby to wrażenia, że sprawa jest polityczna. Przestroga Szwejka, że nie wolno w gniewie się zapamiętywać, i tym razem została puszczona mimo uszu. A szkoda. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 75f64d8cea

NARODOWY TEST BADANIA SŁUCHU
aplikacją HearBox Mobile

Cztery testy i wiesz

JEST APLIKACJA, DZIĘKI KTÓREJ KAŻDY ZBADA SWÓJ SŁUCH SAMODZIELNIE, W DOMU

Właśnie rusza Narodowy Test Badania Słuchu. Można go przeprowadzić samemu, za pomocą aplikacji na telefon HearBox Mobile. Sprawdziliśmy – aplikacja jest dopracowana, łatwa do pobrania i przyjazna w obsłudze.

Słuch to jeden z najważniejszych zmysłów człowieka. Jest narzędziem komunikacji i orientacji w świecie. Umożliwia nam funkcjonowanie – rozmowy z innymi, przyswajanie informacji oraz aktywny udział w życiu. Gdy się pogarsza – pogarsza się również nasz sposób istnienia w świecie.

W przypadku dzieci niedosłuch może się objawiać opóźnionym rozwojem mowy, a także problemami z nauką w szkole. Dziecko siedzi w ławce i źle słyszy – ma więc kłopoty na lekcjach. Źle słyszy – ma też kłopoty z nawiązywaniem kontaktów z rówieśnikami… To są rzeczy znane, dlatego wiele krajów, w tym Polska, wprowadziło obowiązkowe badania przesiewowe słuchu u noworodków. Dla najmłodszych kluczowy jest czas – badania przesiewowe pozwalają na podjęcie wczesnej interwencji i ewentualnej terapii.

A ludzie w sile wieku? Ponieważ niedosłuch rozwija się stopniowo, tego, że coraz gorzej słyszymy, po prostu nie zauważamy. Od pierwszych objawów mija przeciętnie 7-10 lat, zanim zorientujemy się, że coś jest nie tak, i zgłosimy do specjalisty. Zgłaszamy się, gdy słyszymy zdecydowanie gorzej, gdy zaczynamy



mieć problemy w codziennych sytuacjach. Osoby z niedosłuchem mogą mieć wrażenie, że wszyscy mówią niewyraźnie lub zbyt cicho, częściej proszą o powtórzenie zdań, a z czasem zaczynają unikać rozmów. Problemy ze słyszeniem wpływają nie tylko na komunikację, na kontakty z rodziną, ze znajomymi, na to, jak pracujemy, ale także na zdrowie psychiczne. To również zostało zbadane – ubytki słuchu powodują szybsze męczenie się, złość, stres, mogą prowadzić do depresji.

Coraz więcej badań wskazuje, że brak odpowiedniej stymulacji dźwiękami może przyśpieszać procesy prowadzące do demencji. Dla ludzi w wieku senioralnym to powolne odchodzenie w swój wewnętrzny świat.

Jak temu zapobiec?
Jak się bronić?

Pierwszym krokiem są regularne badania słuchu. Dziś możemy wykorzystać do tego smartfon i dzięki odpowiedniej aplikacji samodzielnie, w swoim mieszkaniu, wykryć pierwsze nieprawidłowości. To test wstępny – nie upoważnia do postawienia diagnozy, nie określa stopnia ani rodzaju zaburzenia, ale pomaga odpowiedzieć na pytanie: czy wszystko z moim słuchem jest w porządku, czy lepiej byłoby się zwrócić do specjalisty?

Zacznijmy więc od badania we własnym zakresie. To jest już możliwe. Aplikację pozwalającą wykryć nieprawidłowości stworzył zespół pod kierunkiem lidera Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu, prof. Henryka Skarżyńskiego. Nazywa się ona HearBox Mobile, a jej celem jest umożliwienie użytkownikom łatwego i szybkiego dostępu do profesjonalnych narzędzi badających słuch.

Aplikacja jest bezpłatna – badanie nic więc nie kosztuje. Możemy ją pobrać w sklepach Google Play (dla systemu Android) i Apple Store (dla systemu iOS). Wystarczy wpisać nazwę „HearBox Mobile” w wyszukiwarce sklepu.

Pomysł stworzenia aplikacji powstał w zespole kierowanym przez prof. Henryka Skarżyńskiego. Prace trwały około dwóch lat, obejmując zarówno etap koncepcyjny i badania pilotażowe, jak i testy funkcjonalne wśród użytkowników. Chodziło o to, by aplikacja była intuicyjna i użyteczna w codziennej praktyce przesiewowej oraz by sprawnie funkcjonowała na najbardziej popularnych modelach smartfonów.

eprasa.pl 75f64d8cea

Prof. Henryk Skarżyński:

– Z popularyzacją aplikacji HearBox Mobile wiążę bardzo duże nadzieje. To nowoczesne i łatwo dostępne narzędzie, które pozwala nie tylko ocenić słuch, ale również sprawdzić rozumienie mowy, a więc faktyczną zdolność komunikacji międzyludzkiej. Dzięki temu zestaw testów ma znaczenie praktyczne – pokazuje, jak człowiek funkcjonuje w codziennych sytuacjach, gdy musi rozumieć mowę w różnych warunkach. Komunikacja między nami jest podstawą rozwoju współczesnych społeczeństw świata. Każdy krok, który przyczynia się do jej poprawy, można nazwać krokiem milowym.

Wczesne wykrycie zaburzeń słuchu czy trudności w rozumieniu mowy daje ogromną



przewagę – umożliwia szybsze wdrożenie leczenia, rehabilitacji lub dobranie odpowiednich rozwiązań wspomagających słyszenie. Im wcześniej problem zostanie zauważony, tym większe są szanse na zachowanie dobrej jakości życia. Łatwa dostępność i niski koszt powszechnych badań przesiewowych to podstawa prawdziwej i realnej profilaktyki, na której tak nam zależy od dawna. Jednocześnie to niezwykle ważny akcent edukacyjny. Zaczynamy od ósmoklasistów, którzy mogą mieć swój wielki wkład w upowszechnianie tych badań wśród młodszych i starszych koleżanek i kolegów, wśród rodziców i dziadków. To będzie ich realny wkład w budowanie własnego i społecznego kapitału dotyczącego zdrowia.

HearBox Mobile jest też pierwszym w świecie programem diagnostycznym, który składa się z kilku testów, a nie jednego. Wprowadza m.in. jeden z głównych testów dotyczących rozumienia mowy na podstawie audiometrii słownej Skarżyńskiego. Opiera się ona na zasadzie, że w ocenie stanu słuchu najważniejsze jest uzyskanie odpowiedzi na pytanie dotyczące rozumienia mowy, a nie tylko słyszenia czystych, pojedynczych tonów. Często bowiem ważniejsze jest, co dzieje się w naszym mózgu, centralnie, niż to, co dzieje się w naszym uchu… .

Jak wygląda samo badanie?

Jest łatwe i nie zabiera dużo czasu. Aplikacja prowadzi użytkownika krok po kroku. Na początku ważne jest odłączenie wszelkich akcesoriów takich jak słuchawki i głośnik bezprzewodowy. W przypadku wykonywania badań u dzieci niezbędna jest obecność dorosłego opiekuna. Istotne jest również ułożenie telefonu na miękkim materiale. Kolejny krok to ustawienie odpowiedniej głośności w telefonie. Aplikacja w tym pomaga. Pomaga też w kalibracji mikrofonu. To ważne – aby wykonać testy, potrzebujemy cichego otoczenia, najlepiej pomieszczenia, gdzie nie dochodzą głośne dźwięki, nie dociera hałas uliczny.

Aplikacja HearBox Mobile została zaprojektowana tak, aby badać słuch w sposób prosty, a jednocześnie obejmujący różne aspekty jego funkcjonowania. Podstawowym badaniem jest audiometria przesiewowa. To test, który odpowiada na pytanie, czy słuch badanego mieści się w granicach normy. Wygląda to tak, że aplikacja odtwarza dźwięki o różnej częstotliwości, a zadaniem użytkownika jest zareagować za każdym razem, gdy je usłyszy. Badanie jest łatwe i intuicyjne, a dzięki niemu można szybko wychwycić nawet pierwsze oznaki pogorszenia słuchu.

Kolejną grupę badań stanowi test sprawdzający rozumienie mowy. Osoba wykonująca badanie słucha słów wypowiadanych przez lektora i wybiera obrazki, które najlepiej je ilustrują. Badanie rozumienia mowy jest przeprowadzane innowacyjną metodą prof. Skarżyńskiego, która pozwala ocenić rozumienie mowy w poszczególnych pasmach częstotliwości, tj. wysokich, średnich oraz niskich. Stało się to możliwe dzięki lektorowi zarówno męskiemu, jak i żeńskiemu, co jest nowością w porównaniu z klasyczną audiometrią mowy.

Aplikacja oferuje także testy, które badają mechanizmy przetwarzania słuchowego związane z pamięcią, analizą i różnicowaniem dźwięków. W teście sekwencji wysokości odtwarzane są krótkie sekwencje tonów wysokich i niskich, a użytkownik ma za zadanie wskazać ich kolejność. W teście sekwencji długości zadanie polega na zapamiętaniu i odtworzeniu sekwencji dźwięków krótkich i długich.

Ostatnim dostępnym badaniem przetwarzania słuchowego jest rozumienie mowy w szumie. Ten test pozwala sprawdzić rozumienie mowy oraz to, w jaki sposób mózg radzi sobie z selekcją i analizą dźwięków w trudnym akustycznie otoczeniu.

Wszystkie testy razem tworzą spójny zestaw badań, który daje wgląd nie tylko w czułość słuchu, ale i w to, jak efektywnie przetwarzamy informacje dźwiękowe. Aplikacja pozwala dzięki temu uchwycić szerszy obraz funkcjonowania zmysłu słuchu – od podstawowej percepcji dźwięków, przez rozumienie mowy, aż po bardziej złożone procesy zachodzące w mózgu.

Do kogo trzeba iść z wynikami, gdy już się przebadamy i okaże się, że nasz słuch jest nieprawidłowy? Można iść z nimi do specjalisty, otolaryngologa lub audiologa, foniatry. Ewentualnie do lekarza rodzinnego, który w razie potrzeby skieruje pacjenta na dalsze badania specjalistyczne, po których można zaplanować właściwą terapię.

Wczesne wykrycie niedosłuchu ma kluczowe znaczenie – pozwala na szybkie rozpoczęcie leczenia i/lub rehabilitacji słuchu, zanim dojdzie do trwałych zmian – już nieodwracalnych. Wczesna diagnoza często oznacza tańsze i łatwiejsze leczenie oraz lepsze rokowania. Tak, byśmy mogli funkcjonować bez przeszkód w otaczającym nas świecie. ■

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 75f64d8cea

Kościół, prawica, władza

Polityczny klerykalizm prawicy i prawicowe zaangażowanie kleru trzymają się mocno

Paweł Siergiejczyk

„Wygrał Karol Nawrocki. Jest to nauczka dla Platformy Obywatelskiej, że w katolickiej Polsce nie wystawia się kandydata, który zwalcza krzyż, popiera aborcję i LGBT". W ten sposób skomentował ostatnie wybory prezydenckie prof. Maciej Giertych, sędziwy już działacz narodowo-katolicki, prywatnie ojciec posła Romana Giertycha.

O tym, czy Polska jest rzeczywiście katolicka, można by długo dyskutować. Jesteśmy bowiem krajem, który bije rekordy – własne i europejskie – pod względem wzrostu liczby rozwodów, a spadku liczby nowych małżeństw oraz dzietności, jak również powszechnego tolerowania kłamstwa i złodziejstwa w życiu publicznym, co zapewne oznacza, że w prywatnym także. Stan moralny polskiego społeczeństwa i jego elit wygląda więc raczej na porażkę Kościoła katolickiego. Z samą religijnością, nawet tą „na pokaz", też jest coraz gorzej, o czym świadczą nawet kościelne dane dotyczące uczestnictwa wiernych w niedzielnych mszach i młodzieży w szkolnych lekcjach religii. Na kryzys Kościoła wskazuje poza tym dramatyczny spadek liczby powołań, co zmusza kolejne diecezje do zamykania seminariów duchownych.

Jednak dla większości duchowieństwa, a zwłaszcza dla hierarchii kościelnej, liczy się co innego – wpływ na państwo i jego władze. „Katolicka Polska" to Polska rządzona przez ludzi, którzy gwarantują nienaruszalność interesów materialnych oraz nietykalność prawną samego kleru, a w niektórych kwestiach m.in. (takich jak wspomniane przez prof. Giertycha aborcja i LGBT) zapewniają utrzymanie konserwatywnego status quo. Tacy ludzie są i zawsze byli we wszystkich obozach politycznych, może poza lewicą, choć znaczenie tej ostatniej jest dziś marginalne, więc jej postulaty mało kto traktuje poważnie.

Prof. Maciej Giertych jednak trafnie zdiagnozował główną przyczynę drugiej już wyborczej porażki Rafała Trzaskowskiego. Kandydatura prezydenta Warszawy zmobilizowała bowiem całą „katolicką Polskę" w stopniu niespotykanym przy wszelkich innych wyborach. Perspektywa, że prezydentem RP może zostać „tęczowy Rafał", uczestniczący w Paradach Równości i zakazujący wieszania symboli religijnych w stołecznych urzędach, podziałała na miliony Polaków jak płachta na byka. Tu już nie chodziło o sukces czy porażkę rządu Donalda Tuska. To był symboliczny bój o wszystko: czy głową państwa zostanie „lewak", czy jednak „Polak katolik", choćby nawet z szemraną przeszłością i bez żadnego doświadczenia politycznego. Roznoszący się po prawicowym internecie slogan „byle nie Trzaskowski" stał się kluczowym hasłem tej kampanii, czego nie rozumieli (i być może do dziś nie rozumieją) członkowie sztabu wyborczego i inni politycy KO, zdumieni skalą mobilizacji wyborców Nawrockiego.

> Prof. Maciej Giertych zdiagnozował przyczynę drugiej wyborczej porażki Trzaskowskiego: jego kandydatura zmobilizowała całą „katolicką Polskę".

Tęczowy lewak

A przecież to nie Nawrocki wygrał te wybory swoimi talentami, ale Trzaskowski przegrał je swoją czarną legendą. Nawrocki skorzystał tylko z okazji, jaką był pojedynek z kandydatem uchodzącym za tęczowego lewaka. Identyczną okazję wykorzystał pięć lat wcześniej Andrzej Duda, zapewniając sobie reelekcję dzięki wygranej z tym samym reprezentantem Platformy, przeciw któremu zmobilizowała się cała „katolicka Polska". Czy można było się spodziewać, że w 2025 r. będzie inaczej?

O tę mobilizację milionów wyborców w kluczowych dla Polski momentach decyzji wyborczych zawsze dbają biskupi i proboszczowie. Jesteśmy bowiem chyba ostatnim krajem w Europie (a może i na świecie?), w którym hierarchowie Kościoła nie mają skrupułów przed uprawianiem z ambon nie tylko politycznej, ale wprost partyjnej propagandy. O tym jednak przynajmniej dowiadujemy się z mediów. Natomiast nikt nie jest w stanie policzyć i ocenić zaangażowania duchowieństwa parafialnego i zakonnego – ludzi, którzy mają codzienny kontakt z wiernymi. Wystarczy udać się przed wyborami na niedzielną mszę do przeciętnego kościoła na polskiej wsi lub w małym mieście, by zrozumieć, skąd się biorą sukcesy tak miernych postaci jak Duda czy Nawrocki oraz popierającej ich partii.

Polski kler bowiem jednoznacznie postawił na prawicę i tak jest od początku III RP. Po trwającej niemal

eprasa.pl 75f64d8cea



Uroczystości z okazji 27. rocznicy powstania Radia Maryja. W mszy wzięli udział założyciel rozgłośni o. Tadeusz Rydzyk oraz politycy, w tym Mateusz Morawiecki i Mariusz Błaszczak. Toruń, 1 grudnia 2018 r.

pół wieku, wymuszonej, lecz jakże opłacalnej dla Kościoła „kolaboracji" z władzami Polski Ludowej, w czerwcowych wyborach 1989 r. duchowieństwo zmieniło polityczny front, gremialnie angażując się w kampanię Komitetu Obywatelskiego Solidarność, którego kandydaci z braku własnych struktur terenowych zwykle korzystali z możliwości organizacyjnych parafii. Już wtedy zresztą dały o sobie znać prawicowe preferencje niektórych hierarchów, o czym świadczył przypadek znanego działacza KOR i PPS Jana Józefa Lipskiego, którego senacką kandydaturę w okręgu radomskim próbował utrącić tamtejszy biskup Edward Materski.

W pierwszych całkowicie wolnych wyborach parlamentarnych jesienią 1991 r. zaangażowanie Kościoła było jeszcze większe. Po rozpadzie obozu solidarnościowego biskupi i proboszczowie aktywnie poparli rodzące się masowo ugrupowania prawicowe, zwłaszcza Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe, które nie miało żadnych oporów, by wystartować jako Wyborcza Akcja Katolicka. Na listy WAK padło prawie 1 mln głosów, co dało niemal 9% i 49 posłów – mniej, niż dostały Unia Demokratyczna i SLD, ale nieco więcej, niż zdobyły pozostałe ugrupowania prawicowe. Wśród tych ostatnich znalazło się Porozumienie Centrum Jarosława Kaczyńskiego, które nie mogło wówczas liczyć na takie poparcie kleru. Nic dziwnego, że Kaczyński uznał ZChN za „najkrótszą drogę do dechrystianizacji Polski", a sam próbował budować „nowoczesną chadecję" na wzór niemieckiej CDU. Ten eksperyment jednak się nie udał, o czym dobitnie przekonały go kolejne kampanie wyborcze.

Frakcja toruńska

Ta z 1993 r. przyniosła klęskę całej prawicy, która znalazła się poza parlamentem, choć i tak najlepszy wynik – ponad 6% głosów – uzyskał Katolicki Komitet Wyborczy „Ojczyzna", czyli koalicja ZChN z mniejszymi partiami konserwatywnymi, utworzona pod egidą abp. Tadeusza Gocłowskiego. Wybory prezydenckie z 1995 r. także okazały się kompromitacją skłóconej prawicy, której kandydatów próbował pogodzić znany warszawski prałat, ks. Józef Maj, w ramach Konwentu św. Katarzyny.

Ostatecznie do pojedynku z Aleksandrem Kwaśniewskim bezskutecznie stanął prezydent Lech Wałęsa, aktywnie popierany przez istniejące od niedawna Radio Maryja. Dwa lata później dyrektor toruńskiej rozgłośni, o. Tadeusz Rydzyk, był już na tyle ważny dla jednoczącej się prawicy, że na listach Akcji Wyborczej Solidarność musiały się znaleźć miejsca dla jego kandydatów, którymi byli najczęściej lokalni działacze lub dziennikarze katoliccy o zerowym doświadczeniu politycznym. Jednoznaczne poparcie Radia Maryja dawało im wówczas gwarancję zdobycia mandatu, i to z wynikami lepszymi, niż miało wielu „zawodowych" polityków, dzięki czemu w klubie parlamentarnym AWS znalazła się wpływowa frakcja „toruńska", gorliwie wspierająca ojca dyrektora.

Szybka kompromitacja rządów AWS i klęska popieranego przez Radio Maryja Mariana

FOT. JACEK PISKI/REPORTER

eprasa.pl 75f64d8cea

Krzaklewskiego w wyborach prezydenckich z 2000 r. nie osłabiła ambicji politycznych o. Rydzyka. Wręcz przeciwnie, w następnym roku z jego błogosławieństwem powstała Liga Polskich Rodzin, skupiająca zarówno wybranych uciekinierów z AWS, jak i nowy zastęp nieznanych dotąd w wielkiej polityce dewotek i dewotów, wśród których byli prof. Maciej Giertych i jego syn Roman. W tym samym czasie Jarosław Kaczyński tworzył swoją drugą partię, Prawo i Sprawiedliwość, która nadal nie mogła liczyć na taką przychylność kleru jak LPR, i to pomimo wciągnięcia na listy wyborcze grupy czołowych polityków ZChN, chociażby Marka Jurka.

Zasadniczy zwrot nastąpił dopiero latem 2005 r. Była to już zupełnie inna epoka: Kościół opłakiwał zmarłego Jana Pawła II, Instytut Pamięci Narodowej zaczął zalewać media lustracyjnymi rewelacjami dotyczącymi m.in. duchownych i działaczy katolickich, a rządząca od czterech lat lewica po wprowadzeniu naszego kraju do Unii Europejskiej najwyraźniej przestała być Polakom potrzebna. I właśnie wtedy Kaczyński udał się do Torunia, by zawrzeć nieformalny sojusz z dyrektorem Radia Maryja. Dzięki temu PiS udało się po raz pierwszy wygrać wybory prezydenckie i parlamentarne, a także zmarginalizować Ligę Polskich Rodzin, przejmując część jej działaczy i niemal wszystkich zwolenników, których było ok. 1 mln (niemal 8% głosów w wyborach z lat 2001 i 2005).

Od tego czasu partia Kaczyńskiego nie ma konkurencji w „katolickiej Polsce". Co prawda, przez pewien czas również Platforma Obywatelska próbowała eksponować swoje prokościelne skrzydło, szczególnie widoczne w Krakowie i Małopolsce. Mówiło się nawet o rywalizacji „Kościoła łagiewnickiego" z „Kościołem toruńskim", co chyba od początku było dziennikarskim chciejstwem – wszak to w Krakowie, z inicjatywy „łagiewnickiego" kardynała, Stanisława Dziwisza, odbył się „królewski pogrzeb" Lecha i Marii Kaczyńskich, powszechnie postrzegany jako profanacja Wawelu w celach partyjnych.

Kolejne podwójne zwycięstwo PiS w 2015 r. i przejęcie pełni władzy przez tę partię ostatecznie rozwiało złudzenia co do pluralizmu politycznego polskiego duchowieństwa. Pod rządami prawicy fundamentami ideologicznymi III RP stały się antykomunizm i klerykalizm – oba skutecznie narzucane i gorliwie pilnowane przez IPN, którego wieloletni funkcjonariusz jest dziś kolejnym prezydentem Polski.

Sztuczny autorytet

Urząd prezydenta odgrywa zresztą niezwykle ważną rolę w budowaniu sztucznego autorytetu hierarchii kościelnej, tak bardzo skompromitowanej rozmaitymi skandalami. Wystarczy wspomnieć nadawanie przez kolejnych prezydentów najwyższego polskiego odznaczenia – Orderu Orła Białego. Pierwszym odznaczonym przez Lecha Wałęsę po przywróceniu tego orderu w 1993 r. był Jan Paweł II, a rok później pośmiertnie odznaczono jeszcze prymasa Stefana Wyszyńskiego. Aleksander Kwaśniewski przyznał Order Orła Białego tylko jednemu duchownemu – znanemu filozofowi, ks. Józefowi Tischnerowi. Za to Lech Kaczyński od początku prezydentury odznaczał kolejnych hierarchów: arcybiskupa przemyskiego Ignacego Tokarczuka oraz kard. Andrzeja Marię Deskura (2006), kard. Henryka Gulbinowicza (2008), prymasa Józefa Glempa (2009), ale także pośmiertnie ks. Jerzego Popiełuszkę, a nawet… nieżyjącego od niemal 150 lat ks. Stanisława Brzóskę, dowódcę ostatniego oddziału w powstaniu styczniowym.

W ślady poprzednika poszedł prezydent Bronisław Komorowski, który najwyższym orderem odznaczył biskupa łowickiego Alojzego Orszulika (2010) i arcybiskupa gdańskiego Tadeusza Gocłowskiego (2011). Wszelkie granice państwowego klerykalizmu przekroczył zaś Andrzej Duda, od którego Order Orła Białego dostali: kardynałowie Stanisław Dziwisz i Marian Jaworski (2017), abp Szczepan Wesoły i pośmiertnie arcybiskup poznański Antoni Baraniak (2018), jak również kapelan górniczej Solidarności ks. Bernard Czernecki, polonijny franciszkanin o. Łucjan Królikowski, działacz opozycyjny w PRL ks. Stanisław Małkowski, znany teolog o. Jacek Salij oraz pośmiertnie ks. Franciszek Blachnicki, założyciel Ruchu Światło-Życie. Trzeba do tego dodać takie postacie jak sławetna „przyjaciółka papieża" Wanda Półtawska (Order Orła Białego już na samym początku pierwszej kadencji Dudy, w 2016 r.) i „fotograf papieża" Adam Bujak (2017) czy piszący w coraz bardziej klerykalnym duchu historycy Andrzej Nowak i Wojciech Roszkowski.

Po 10 latach takiej polityki orderowej Nawrockiemu trudno będzie dorównać poprzednikowi, choć nie miejmy wątpliwości, że kierunek pozostanie bez zmian. Wszak jako prezes IPN robił wszystko, by wmówić Polakom, że ludzie w sutannach jako jedyni obok „żołnierzy wyklętych" pozostali bez skazy w czasach „komunistycznego totalitaryzmu". Prawicowa historiografia od dawna zresztą propaguje taką tezę, zupełnie ignorując rzeczywistość polityczną tamtych czasów, skłaniającą Kościół kardynałów Wyszyńskiego, Wojtyły i Glempa do daleko idących kompromisów z władzą i bezwzględnej akceptacji położenia geopolitycznego Polski oraz powojennych przemian społeczno-gospodarczych.

To był bój o wszystko: czy głową państwa zostanie „lewak", czy „Polak katolik", choćby z szemraną przeszłością.

Jesteśmy chyba ostatnim krajem w Europie, w którym hierarchowie Kościoła uprawiają polityczną i partyjną propagandę.

eprasa.pl 75f64d8cea

W praktyce oznaczało to jednoznaczne potępienie „zbrodniczej działalności band podziemia" (jak to zapisano w umowie państwo-Kościół z 1950 r.) i brak poparcia dla solidarnościowego podziemia w latach 80. Udział pojedynczych księży w czynnej walce z władzami Polski Ludowej był zatem ich indywidualnym wyborem, całkowicie sprzecznym z polityką episkopatu, więc obecny kult takich „bohaterów" świadczy jedynie o tym, jak dzisiejszy kler fałszuje własną historię.

Dzieje się tak zapewne dlatego, że Kościół faktycznie cofnął się do czasów II RP. Jak bowiem trafnie skonstatował we wspomnieniach pisarz Jan Nepomucen Miller, „katolicyzm w Polsce przedwojennej (…) zszedł z pozycji obronnych, które zajmował przez lat kilkadziesiąt, bodaj od czasów pozytywizmu – i przeszedł do ataku frontowego na całość politycznego i kulturalnego życia w kraju. Oenerowskie i ozonowskie grupy młodzieży katolicyzm i nacjonalizm zespoliły w dążeniu do Polski »narodowej i katolickiej«" („Kartka z dziejów Związku Literatów Polskich", w: „Rachunek pamięci", Warszawa 2012, s. 212).

W czwartej dekadzie III RP jesteśmy więc znowu w sytuacji, gdy Kościół – zarówno hierarchiczny, jak i parafialny – stał się podporą prawicy, której głównym narzędziem jest głoszenie nienawiści wobec przeciwników politycznych. Tak samo było w II RP, gdy większość kleru popierała Narodową Demokrację – odpowiedzialną choćby za zabójstwo pierwszego prezydenta Polski – księża zaś, a nawet biskupi, reprezentowali ten obóz w Sejmie i Senacie. Dziś co prawda ani o. Rydzyk nie jest posłem, ani abp Marek Jędraszewski nie zasiada w Senacie, ale już w komitecie, który w 2024 r. zgłosił kandydaturę Nawrockiego na prezydenta, znalazło się kilkunastu duchownych, z których jeden – kapelan antykomunistycznych kibiców, ks. Jarosław Wąsowicz – został oficjalnym kapelanem prezydenta RP.

Nie miejmy zatem złudzeń, polityczny klerykalizm prawicy i prawicowe zaangażowanie kleru trzymają się mocno. Kolejne wybory znów pokażą, jak trwały i skuteczny jest pisowski „sojusz tronu i ołtarza".

Paweł Siergiejczyk

KSIĄŻKI

Richard Overy

Krew i zgliszcza

Wielka wojna imperiów 1931-1945, t. 2,

tłum. Tomasz Fiedorek

Rebis, Poznań 2025

Arcydzieło jednego z najsłynniejszych historyków II wojny światowej. Zmusza czytelników do spojrzenia na ten konflikt w zupełnie nowy sposób. Autor przekonuje, że była to „wielka wojna imperiów", brutalne zwieńczenie trwającej prawie 100 lat globalnej ekspansji imperialnej, której kulminację stanowiły ambicje Włoch, Niemiec i Japonii w latach 30. i 40. XX w., prowadzące do wybuchu największej i najkosztowniejszej w dziejach wojny. Overy analizuje, jak w konflikcie zbrojnym o tak ogromnej skali walczono, zaopatrywano wojska, finansowano wysiłek wojenny, wspierano go za pomocą masowej mobilizacji ludności i uzasadniano moralnie. Przede wszystkim jednak ukazuje ogromne koszty, jakie ponosiły walczące państwa, oraz nadzwyczajny poziom zbrodni i okrucieństw popełnianych w ramach owych projektów imperialnych. Tom drugi jest rozwinięciem wątków pierwszego, w większym stopniu koncentruje uwagę na szczegółach i tych elementach, które miały bezpośredni wpływ na narody i na indywidualne doświadczenia ludzi.



dr Anna Kieszkowska-Grudny, dr Ewa Szymczak (redakcja)

Formuła wygrywania

Bez filtra o przywództwie, w którym liczą się wyniki, nie etykiety

Wydawnictwo Studio EMKA, Warszawa 2025



Wyjątkowa książka o współczesnym przywództwie – łącząca polską perspektywę, solidne badania i bogate doświadczenie praktyczne liderek. „Formuła wygrywania" to efekt pracy badawczej, analitycznej i praktycznej oraz wieloletniego doświadczenia – napisany przez kobiety zarządzające w kluczowych obszarach polskiego biznesu. Autorki nie tylko diagnozują wyzwania, ale oferują konkretne rozwiązania w obszarach od zielonej i cyfrowej transformacji, przez dobrostan, po kompetencje przyszłości.

Książka pokazuje, jak wiedza, odpowiedzialność i wielość perspektyw mogą współtworzyć realną siłę przywódczą. Różnorodność w zarządzaniu nie jest już postulatem – to fundament skuteczności. A liderki nie tylko uczestniczą w zmianie – one ją definiują.

Ta wieloautorska publikacja powstała pod redakcją dr Anny Kieszkowskiej-Grudny i dr Ewy Szymczak. Jej autorki – liderki i ekspertki z różnych sektorów – łączy wspólna potrzeba zmiany języka przywództwa. Zestawiają osobiste doświadczenia z analizą danych i obserwacją mechanizmów, które decydują o efektywności, odporności i kulturze organizacyjnej. Poruszają tematy priorytetowe dla przywództwa XXI w. Każdy rozdział to osobna perspektywa – wynik badań, refleksji i obserwacji konkretnych mechanizmów działania, a także użyteczne wskazówki wdrożeniowe dla liderek i liderów. Razem kreślą nową perspektywę przywództwa, które ewoluuje z hierarchicznego i przewidywalnego w kierunku świadomego, opartego na współpracy i zaufaniu. To nie zbiór haseł ani hipotez – to wiedza dla tych, którzy chcą prowadzić z wizją, odpowiedzialnością i uważnością na zmieniający się świat. *(es)*

eprasa.pl 75f64d8cea

Sudan – pierwsza wojna przyszłości

Ludobójstwo jest wynikiem wojny toczonej bez strategicznego celu

Mateusz Mazzini

W wydanej niedawno książce „Waste Land" Robert Kaplan, jeden z najwybitniejszych w ostatnich trzech dekadach autorów piszących o geopolityce i sprawach międzynarodowych, nakreślił wizję świata, który już nie żyje, tylko wegetuje. Trapiony permanentnymi kryzysami na niemal wszystkich płaszczyznach, zamienia się na naszych oczach w miejsce, gdzie wprawdzie z biologicznego punktu widzenia jeszcze da się funkcjonować, ale z moralnego już trochę nie ma po co.

Upadek demokracji, militaryzacja przestrzeni publicznej, zanikanie uniwersalizmów, zakończenie monopolu państwa na użycie siły i zarządzanie aparatem przymusu – to wszystko procesy, które z politycznego punktu widzenia są jak najbardziej realne. Jeśli dodać do tego kryzys klimatyczny, skokowy wzrost zużycia energii z powodu rozwoju technologii nazywanych dla uproszczenia sztuczną inteligencją, ryzyko konfliktu nuklearnego i masowe migracje, zarysuje się postapokaliptyczna wizja, w której każdy każdemu jest wrogiem, bo wszyscy potrzebujemy zasobów, a one są coraz trudniej dostępne.

Kaplan, przywołując w tytule dzieło słynnego anglo-amerykańskiego poety T.S. Eliota „Ziemia jałowa", prognozuje, że tak właśnie mogą wyglądać kolejne lata czy dekady naszego życia. Co ważne, nie musi do tego doprowadzić jeden katastroficzny moment, jedna hollywoodzka tragedia. Raczej będą to procesy, szybkie, choć rozłożone w czasie, co czyni je trudniejszymi do oceny i analizy.

Robert Kaplan snuje wizje przyszłości, problem w tym, że w niektórych miejscach na świecie ta przyszłość już się zaczęła. Są obszary, gdzie pozbawienie innego człowieka życia jest właściwie okrutnym sportem. Takim miejscem jest dziś Sudan.

Dostęp do Morza Czerwonego

Od dwóch i pół roku kraj sparaliżowany jest konfliktem, który prowadzą uznawane przez społeczność międzynarodową oficjalne Siły Zbrojne Sudanu (SAF) oraz wrogie im Siły Szybkiego Wsparcia (RSF). Na czele tych drugich stoi brutalny generał o pseudonimie Hemedti, Mohamed Hamdan Dagalo. Według stanu linii frontu na koniec października br. SAF kontroluje cały wschód i niemal całą północ kraju. Ma to duże znaczenie, bo daje panowanie nad wybrzeżem Morza Czerwonego oraz miastem Port Sudan, jedynym morskim oknem na świat państwa.

Skala tragedii w Sudanie jest gigantyczna, a zainteresowanie opinii publicznej w porównaniu z innymi wojnami minimalne.

Port Sudan, a szerzej dostęp do Morza Czerwonego, jest jednym z niewielu pragmatycznych celów, o które można w tej wojnie jeszcze walczyć. Zresztą interes w jego zajęciu mają nie tylko dwie zwaśnione strony. O tym, kto w konflikcie naprawdę bierze udział i dlaczego, powiemy dalej. Na razie geopolityka musi ustąpić miejsca sprawom bardziej przyziemnym, takim jak walka o przetrwanie.

Choć wojna toczy się już grubo ponad dwa lata, a jej konsekwencje są tragiczniejsze od rosyjskiej napaści na Ukrainę i może nawet od izraelskich zbrodni wojennych w Gazie, zainteresowanie reszty świata konfliktem w Sudanie faluje. Duże było w kwietniu 2023 r., kiedy walki trwały na ulicach największych miast, w tym Chartumu. Na Zachodzie wracały koszmary sprzed dwóch dekad, gdy w Darfurze dochodziło do nieustannych aktów ludobójstwa. Potem jednak media zajęły się frontem ukraińskim, a w październiku przeniosły się do Strefy Gazy. Na Sudan spoglądano sporadycznie, przynajmniej w Europie i w Stanach Zjednoczonych. Bo nie ma wątpliwości, że konflikt ten wzbudzał od samego początku – i nadal wzbudza – ogromne zainteresowanie w krajach Afryki, Bliskiego Wschodu, a także w Rosji.

Stacje telewizyjne wróciły do Sudanu latem tego roku, kiedy sytuacja stawała się coraz dramatyczniejsza. Nie tylko z powodu zaostrzających się walk, ale też w wyniku działań administracji Donalda Trumpa. Wiosną, wbrew legislacji dającej w tej sprawie ostatnie słowo Kongresowi, Elon Musk i Marco Rubio całkowicie zniszczyli USAID, amerykańską agencję pomocy rozwojowej.

Nick Kristof z „New York Timesa" szacuje w niedawnym felietonie, że wycofanie środków humanitarnych już teraz kosztowało życie ponad pół miliona ludzi na całym świecie – głównie w Afryce. Sudan również został objęty tymi ograniczeniami, przez co zasobów medycznych i żywności jest tam szokująco mało. A to jedynie napędza przemoc, coraz bardziej plemienną i sekciarską – zabija się innych, żeby samemu przeżyć.

Zabijali, bo tak chcieli

Logika współczesnego obiegu informacji powoduje jednak, że zainteresowanie często ogniskuje się na pojedynczym drastycznym

eprasa.pl 75f64d8cea



Ekshumacje ofiar wojny w Sudanie. 1 sierpnia 2025 r.

wydarzeniu. I tak było w przypadku Sudanu pod koniec października, kiedy to bojówki RSF wtargnęły do prawie 300-tysięcznego miasta Al-Faszir na południowym wschodzie kraju. To ośrodek ważny z punktu widzenia logistyki. Obok znajduje się spore jak na sudańskie warunki i dobrze wyposażone lotnisko. Według analiz przeprowadzonych przez dziennikarzy z BBC Verify, specjalnego zespołu badającego publicznie dostępne dane pod względem prawdziwości, w październiku brutalnie zamordowano tam co najmniej 2 tys. cywilów. RSF zabijały ich bez żadnego powodu. Robiły to, bo mogły. Już teraz grupa prokuratorów z Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze bada, czy doszło tam do zbrodni wojennych, choć coraz więcej osób jednoznacznie stwierdza, że mamy do czynienia z ludobójstwem.

Al-Faszir było ostatnim przyczółkiem SAF w Darfurze, jednym z najważniejszych celów rebeliantów. Trudno jednak nazwać je celem strategicznym, bo ta wojna staje się w coraz większym stopniu wojną na wyniszczenie. Liczy się nie to, kto przejmie kolejne miasto, tylko ile osób zginie. Co ma odzwierciedlenie w metodach stosowanych przez obie strony – choć RSF uchodzi za podmiot bardziej brutalny.

BBC Verify, dokumentując zbrodnie i działania rebeliantów za pomocą zdjęć satelitarnych, opisuje m.in. celowe próby zagłodzenia miasta w czasie oblężenia, odcinanie pomocy humanitarnej i transportów medycznych. A potem dosłowne polowanie na ludzi, ataki na świątynie i miejsca kultu. Do tego, jak wynika z analiz Laboratorium Badań Humanitarnych na Uniwersytecie Yale, całkowicie dewastowano miasto. Na filmach i zdjęciach, niejednokrotnie wrzucanych przez samych rebeliantów na platformy społecznościowe, widać domy i elementy przestrzeni miejskiej podpalane bez powodu, rzucane w budynki i grupy cywilów koktajle Mołotowa, niszczenie wszystkiego, co się da. To czysty nihilizm, niemotywowany ani ideologią, ani wiarą, ani nawet chęcią zysku. Wojna toczona całkowicie bez sensu, o nic, która absolutnie do niczego nie doprowadzi.

Trzeba patrzeć na Sudan

Trudno powiedzieć, ile osób padło już ofiarą starć SAF i RSF. Z samego Al-Faszir uciekło w ostatnich tygodniach 89 tys. ludzi. Prawdopodobnie liczba 2 tys. zabitych jest mocno zaniżona. Tak samo jak podawana oficjalnie, w tym przez ONZ, liczba 40 tys. ofiar śmiertelnych w całym konflikcie. Niektórzy analitycy, przyznając wprawdzie, że opierają się tylko na szacunkach, zakładają, że od kwietnia 2023 r. mogło zginąć w Sudanie aż 150 tys. osób. To 10 razy więcej, niż wynosi liczba cywilów zabitych w Ukrainie, oraz dwuipółkrotnie więcej niż bilans śmierci w Gazie po 7 października 2023 r. Nie chodzi oczywiście o licytowanie się na cierpienie i ogrom mordów, ale o zwrócenie uwagi na ważną prawidłowość. Skala tragedii

FOT. EBRAHIM HAMID / AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 75f64d8cea

w Sudanie jest gigantyczna, a zainteresowanie w porównaniu z innymi wojnami minimalne.

To jednak ogromny błąd reszty świata, bo na Sudan trzeba patrzeć. Chociażby dlatego, że pod wieloma względami to wojna przyszłości. Tym mianem często określa się konflikt w Ukrainie, mylnie zakładając, że wszystko, co nas czeka, będzie zdominowane przez technologię. Na froncie ukraińskim walczą autonomiczne drony, sztuczna inteligencja dyktuje kolejne ruchy obu stron, ludzie stanowią w najlepszym razie dodatek do starć maszyn i robotów. Ale w myśl tego, co napisał Robert Kaplan, to w Sudanie mamy wszyscy okazję zajrzeć w przyszłość – i oglądać konflikt, który sam się napędza wyłącznie przemocą.

Oczywiście można trzymać się kurczowo starych metodologii. Zauważać, że RSF, jak piszą analitycy z Human Rights Watch, zabijają przede wszystkim Sudańczyków pochodzenia innego niż arabskie. Dorabiać do tego interpretacje oparte na wierze, rasie i motywacjach ideologicznych. Przecież zawsze tak było – zabijało się w imię czegoś, a znacznie rzadziej dla samego zabijania. Tym razem w Sudanie jest inaczej. Relacje telewizyjne z miast, do których zachodni korespondenci są jeszcze w stanie dotrzeć, pokazują już całkowity upadek człowieczeństwa, zbrodnie dokonywane dla zasady, pod wpływem środków odurzających, czasem wręcz z nudów.

Sudan jest poligonem dla świata przyszłości. Nie tylko z powodu nihilizmu i walki o zasoby, ale też z punktu widzenia zmieniającego się układu sił w globalnej polityce. Po raz pierwszy w najnowszej historii mamy bowiem do czynienia z konfliktem na masową skalę, w którym tradycyjni gracze – z zachodnimi mocarstwami na czele – nie mają nic do powiedzenia. Europejska Rada Spraw Zagranicznych (ECFR) określiła nawet konflikt w Sudanie jako „wojnę, na którą Europa nie ma wpływu, ale której nie może ignorować". Swoje interesy realizuje tu wielu aktorów zewnętrznych, w tym gronie jednak nie ma Paryża, Brukseli, Londynu ani nawet Waszyngtonu. Są natomiast barwy narodowe Egiptu, Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Turcji, Arabii Saudyjskiej i Rosji.

Interesy ponad wszystko

Moskwa jest w Sudanie obecna, choć to obecność raczej dyskretna. W kraju walczą najemnicy z Africa Corps, pogrobowca Grupy Wagnera. Dodatkowo Kreml lokuje tam Russia House, ośrodek propagandowy wzorowany na British Council czy Instytutach Konfucjusza. Tak naprawdę jednak Rosjanie siedzą trochę okrakiem na barykadzie, czekając, na czyją stronę przechyli się szala zwycięstwa i kto będzie kontrolować Port Sudan. Już pięć lat temu Władimir Putin podpisał z ówczesnymi władzami w Chartumie umowę na budowę rosyjskiej bazy wojskowo-logistycznej nad Morzem Czerwonym. Na razie inwestycji nie rozpoczęto, a SAF wstrzymuje wprowadzenie porozumienia.

Rosjanie się denerwują, bo na własnym ośrodku morskim bardzo im zależy. Systematycznie powiększają swoją obecność w innych krajach Sahelu, regionu rozciągającego się od wybrzeża atlantyckiego aż po wschodni Sudan. Prowadzą tam gospodarkę rabunkową, opartą na wydobyciu minerałów i paliw kopalnych, które potem sprzedają w świat. Przy czym „w świat" to eufemizm, bo głównym klientem Rosji są dzisiaj Chiny. Putin potrzebuje więc okna na Morze Czerwone, bo pozwoli mu to sporo zarobić i przynajmniej częściowo odbić straty poniesione w Ukrainie.

Równie ważne jest zaangażowanie Zjednoczonych Emiratów Arabskich, wyrastających na militarne i polityczne mocarstwo w regionie. Rząd Sudanu oskarżył nawet władze w Abu Zabi o pomaganie rebeliantom z RSF i złożył w tej sprawie wniosek do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości. Sudańska administracja nie ma wątpliwości, że Emiraty są współodpowiedzialne za ludobójstwo i zbrodnie wojenne sił antyrządowych. Abu Zabi oczywiście zarzuty odrzuciło, stwierdzając, że nie mają żadnej podstawy prawnej ani oparcia w faktach. Jednocześnie tamtejsi oficjele również chcą zbudować własny port nad Morzem Czerwonym, a przede wszystkim powiększyć inwestycje w kraju, już teraz sięgające poziomu 6 mld dol.

O ośrodku w Port Sudan myśli jeszcze Iran, a Egipt aktywnie wspiera SAF, także na arenie międzynarodowej. Na stabilności w regionie bardzo zależy też Saudyjczykom, którzy chcą, by do końca dekady basen Morza Czerwonego stał się obszarem całkowicie wolnym od konfliktów zbrojnych. Jeśli do tego pejzażu dodać wspomnianych Rosjan oraz Turków, bo i oni chcą w Sudanie rozwijać inwestycje, widać, że jest tu bardzo gęsto. Niewiele ma to jednak wspólnego z wydarzeniami na ulicach sudańskich miast, gdzie dochodzi do niewyobrażalnych wręcz zbrodni. Być może jedni zabijają drugich granatnikami i karabinami kupionymi za pieniądze bliskowschodnich autokratów lub rosyjskich imperialistów, ale nie zmienia to stanu rzeczy. Tym razem do broni nie są dołączane książeczki z ideologicznym kredo. Ono jest w Sudanie niepotrzebne. Żeby wegetować, nie trzeba w nic wierzyć.

Mateusz Mazzini

> Zbrodnie dokonywane są pod wpływem środków odurzających, czasem wręcz z nudów.

> Sudan to poligon dla świata przyszłości.

eprasa.pl 75f64d8cea



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Jeden naród? Ja chcę Polski słabej

Kończy się skala opisująca bynajmniej nie pełzającą faszyzację naszego życia politycznego, lecz szarżę, która nie napotyka skutecznego oporu. Ile wszak razy można powtarzać, że chylenie się państwa (społeczeństwa) w rzeczywistość autorytarną bierze początek ze słów. Ze słów, które idą z góry, od polityków, profesorów, kapłanów – a wszyscy oni myślą o sobie „elita". Sam udział prezydenta Nawrockiego w Marszu Niepodległości raczej nie powinien dziwić, dawno zwracałem uwagę, że bliżej mu do skrajnych identyfikacji nacjonalistycznych niż do PiS. Ale jest to człowiek z tytułem doktora historii! Przywódca demokratycznego państwa maszeruje w Warszawie w pochodzie, któremu przyświeca hasło wzięte żywcem z hitlerowskiej, faszystowskiej propagandy. *Ein Volk, ein Reich, ein Führer* – tak to szło, Krzysztof Bosak doskonale to wie, Nawrocki też zna. I co? I nic. Nie, nie nic, dużo więcej, oni tę wizję podzielają, tak widzą przyszłość kraju nad Wisłą. Z hitlerowskim zaśpiewem, z gębą pełną samoprzyznanego „patriotyzmu" maszerują po „Europę białą", po Polskę silną.

A ja zawsze wolę to marzenie Antoniego Słonimskiego:

Mówią o Polsce silnej. Już dziś liczą sztaby,
Jak ją ziemią okopać, oprzeć na bagnecie.
Lecz ja, wybaczcie, bracia, pragnę Polski słabej,
Ja pragnę Polski słabej, lecz na takim świecie,
Gdzie słabość nie jest winą, gdzie już nie ma warty,
Ryglów u bram i nocą dom bywa otwarty,
Gdzie dłoń nie utrudzona okrutnym żelazem
I gdzie granica wita tylko drogowskazem.

Tam, gdzie jednak w dość przewidywalny sposób nacjonaliści zstępują na dno swoich ksenofobii, rasizmu i faszyzacji, nagle (?) rozlega się pukanie od spodu. A któż puka? A toż to sam premier Tusk, który w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" w przededniu 11 Listopada mówi: „Im Polska silniejsza, tym bardziej może liczyć na pomoc partnerów. A im będziemy słabsi, tym mniej będziemy jako sojusznik warci. (…) Gdy mówimy o potrzebie bezpieczeństwa, to ją zaspokaja też tylko silny. Ale to inna siła, taka, w której nie ma nic zdrożnego, bo polityka bez siły jest żałosna. (…) Problemy, które narastały: terroryzm, nielegalna masowa migracja, pandemia, wojny, powodowały, że potrzebą chwili stały się silne państwa. Siła – wobec terrorystów bezwzględność – stawała się rękojmią bezpieczeństwa. (…) A to wszystko jest w zasobie językowym radykalnej prawicy. Jej działaczom było o wiele łatwiej nazwać rzeczy po imieniu: gdy ma miejsce masowa nielegalna migracja, to pilnujmy granicy. Jak atakują terroryści, to ich zabijajmy. W pandemii – choć skrajna prawica raczej odrzucała sanitarne obostrzenia, to ludzie mieli potrzebę silnej władzy, która ich uratuje. (…) Często słyszę, tu w Polsce, że upodabniam się do Konfederacji, że imituję prawe skrzydło PiS i że nic z tego nie będzie, bo sympatycy Brauna czy Kaczyńskiego i tak wybiorą oryginał. Ale tu nie chodzi o to, że ja chcę się do nich upodobnić i w ten sposób uwieść ich wyborców. Ja chcę przerwać ten ponury spektakl, w którym tak wielu porządnym ludziom wydaje się, że jedyną odpowiedzią na nielegalną migrację, zagrożenie wojną czy terroryzm jest radykalna prawica z jej nienawistnym językiem i arbitralną przemocą. Ja chcę skuteczniej niż Bosak, Braun czy Kaczyński rozwiązać problem bezpieczeństwa (…). A to wymaga przeformułowania języka oraz nowych przepisów".

Rzecz jasna, wybór fragmentów obszernego wywiadu jest skrajnie stronniczy i dowodzi doskonałej umiejętności wyrywania z kontekstu. Żartuję – niestety mam przekonanie, że to istota autorytarnego przekazu, który dla niemal całej klasy politycznej w Polsce jest dzisiaj dogmatem. Ja zaś, jak prawie zawsze, wybieram wobec dogmatu drogę herezji i odszczepieństwa.

Zapytają niektórzy: co w zamian? Co złego w silnej Polsce? Jeśli już ten przymiotnik (bardzo groźny w moim przekonaniu) stosować, niechże Polska będzie silna pomocą słabszym, potrzebującym, pokrzywdzonym, wykluczonym, niech postawi na siłę edukacji, dostępnej dla wszystkich i darmowej, chyba stać na to jedną z 20 największych na świecie gospodarek? Wszak, jak zauważa, a może raczej twierdzi Tusk, „doganiamy Japonię, Szwajcarię, Nową Zelandię". To może priorytetem powinno być nie tyle państwo uzbrojone w maszynerię do zabijania, ile wszystko, co służy dobremu zdrowiu, edukacji, opiece, dobrostanowi, eliminacji wykluczenia komunikacyjnego i pozbawiania praw pracowniczych – życiu po prostu.

Może ów cudowny i bogaty kraj powinien być takim, w którym chce się żyć, a nie szykować do tego, żeby za niego umrzeć? Polski szacunek do życia jest jednak bardzo wybiórczy i zdominowany przez retorykę militarystyczną. Polskę naprawdę można wymyślać inaczej niż pod dyktando sfaszyzowanej prawicy. To się dzieje, to przybiera formy skrajne, a równocześnie już niemal niezauważalne. Choć jak byk stoi na transparentach samozwańczych patriotów, pod którymi maszeruje prezydent RP. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 75f64d8cea

Rozpętało się piekło

Kulisy miejsca, w którym rozgrywają się losy świata

George Stephanopoulos



Prezydent Richard Nixon i Henry Kissinger w Gabinecie Owalnym, 16 października 1973 r.

Richard Nixon nie znosił Sali Kryzysowej. Podczas swojej pięcioipółletniej prezydentury niemal ani razu nie przestąpił progu podziemnego centrum. Nie było go tam również w najgorszych chwilach całej zimnej wojny – w noc, gdy wobec niebezpieczeństwa otwartego konfliktu ze Związkiem Radzieckim grupa doradców prezydenta musiała podejmować decyzje zamiast swojego zwierzchnika, który zaszył się w prywatnej części Białego Domu, obezwładniony przez szkocką, tabletki nasenne i depresję.

Był październik 1973 r. Od afery Watergate huczało już od ponad roku. Radca prawny Białego Domu John Dean zwrócił się przeciwko prezydentowi, przedstawił obciążające go dowody na transmitowanych przez telewizję przesłuchaniach przed komisją senacką. Pracownik administracji prezydenckiej Alexander Butterfield ujawnił taśmy z Białego Domu, które Nixon potajemnie nagrywał od 1971 r. Poza tym wiceprezydent Spiro Agnew – skorumpowany polityk, którego Nixon cynicznie uważał za swoją polisę ubezpieczeniową chroniącą go przed impeachmentem, bo nikt nie chciał, by ktoś taki zajął fotel prezydenta – lada dzień miał zostać odwołany z urzędu, ponieważ groziło mu oskarżenie o oszustwa podatkowe. I właśnie wtedy, gdy prezydenta przytłoczył ogrom tych kłopotów w kraju, eksplodowała beczka prochu na drugim końcu świata.

6 października, tuż po 6.00 rano czasu wschodniego, Henry Kissinger, który równocześnie pełnił funkcje sekretarza stanu i doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, został obudzony w swoim apartamencie w nowojorskim hotelu Waldorf Astoria przez zastępcę sekretarza stanu Josepha Sisco. Egipt i Syria planowały atak z zaskoczenia na siły izraelskie na półwyspie Synaj i na Wzgórzach Golan w Jom Kippur, największe ze świąt w kalendarzu żydowskim.

Kissinger szybko i metodycznie przystąpił do działania. Zadzwonił do kluczowych osób w tej sprawie, m.in. do radzieckiego ambasadora w USA Anatolija Dobrynina, ministra spraw zagranicznych Egiptu Mohammada el-Zayyata oraz izraelskiego chargé d'affaires Mordechaja Szalewa. Notatkę do Sali Kryzysowej z wiadomością dla prezydenta przesłał blisko trzy godziny później.

„Ściśle tajne/poufne/do wyłącznej wiadomości

Do: Sala Kryzysowa w Białym Domu

Od: sekretarz Kissinger

Proszę przekazać następujące informacje prezydentowi w raporcie o 9.00, a kopię gen. Haigowi. O godzinie 6.00 dziś rano powiadomiono mnie, że Izraelczycy zdobyli ich zdaniem pewną informację, że Egipcjanie i Syryjczycy planują skoordynowane natarcie w ciągu najbliższych sześciu godzin".

Warto zauważyć, że zamiast zadzwonić bezpośrednio do Nixona i uzgodnić z nim reakcję władz amerykańskich, Kissinger po prostu działał na własną rękę. W notatce wymienił liczne rozmowy telefoniczne, które już zdążył przeprowadzić, i poinformował prezydenta, że zaalarmował placówki dyplomatyczne USA na Bliskim Wschodzie. Następnie oznajmił, jakie powinny być kolejne posunięcia.

„Poleciłem [zastępcy doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego] Brentowi Scowcroftowi zwołać na godzinę 9.00 posiedzenie WSAG [Washington Special Actions Group (specjalnej waszyngtońskiej grupy działań)] (...) na podstawie uzyskanych informacji uważam izraelskie obawy przed atakiem za

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 75f64d8cea

uzasadnione. Miejmy nadzieję, że uda się wywrzeć odpowiednią presję i zwyciężyć zimna krew".

Zgodnie z zarządzeniem Kissingera grupa WSAG natychmiast zebrała się w Sali Kryzysowej – było to pierwsze z wielu posiedzeń, które miały się odbyć podczas konfliktu nazwanego później wojną Jom Kippur. Zazwyczaj przewodniczył im Kissinger, ale tego dnia był w drodze z Nowego Jorku. Prezydenta Nixona również nie było w stolicy, przebywał na Key Biscayne w stanie Floryda. Ale nawet gdyby był w Białym Domu, nie zszedłby do Sali Kryzysowej. Po prostu nigdy tam nie chodził, nawet jeśli właśnie miała wybuchnąć wojna.

Nieobecność Nixona nieszczególnie rzucała się w oczy tego dnia, gdy grupa WSAG usiłowała ogarnąć sytuację na Bliskim Wschodzie. Zaskakujący wydaje się fakt, że nie było go tam dwa i pół tygodnia później, kiedy nad światem zawisła groźba przerodzenia się tej wojny w konflikt jądrowy. Pokazuje to, jak bardzo stał się wtedy bezradny.

•

„Nie przypominam sobie, aby Nixon kiedykolwiek do nas schodził", powiedziała w rozmowie ze mną kryptolożka Sarah „Sally" Botsai. Byłem uszczęśliwiony, znalazłszy dr Botsai, żwawą osiemdziesięciokilkulatkę o wciąż bystrym umyśle, która pracowała w Sali Kryzysowej za prezydentury Nixona i Forda. Była pierwszą kobietą w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, którą przydzielono tam do pracy, ale kiedy zapytałem, czy uważa to za największe osiągnięcie w swojej karierze, pokręciła głową. „Nigdy nie robiła na mnie wrażenia myśl, że byłam pierwsza, bo wiele kobiet dokonało wspaniałych rzeczy, ale nikt o nich nie słyszał", odparła. W trakcie całego wywiadu okazywała taką samą skromność i prostolinijność, nawet gdy odkrywała przede mną zadziwiające historie związane z Salą Kryzysową.

Podczas rządów administracji Nixona Botsai pełniła obowiązki analityka. Polegały one na sporządzaniu raportów dla prezydenta i doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. Ku mojemu zaskoczeniu, poinformowała mnie, że w 1973 r. Sala Kryzysowa dysponowała komputerem.

„To były dopiero początki – mówiła. – Informacji dostarczały agencje wywiadowcze i oczywiście mieliśmy włączone telewizory, żeby odbierać wiadomości z zewnątrz". Przestrzeń była „bardzo szczupła. Mieliśmy szyfrowane linie telefoniczne i telefony zewnętrzne. Środkowe pomieszczenie w kształcie litery L było rodzajem sali odpraw, obok znajdował się pokój konferencyjny". W tym pokoju „mieli faks LDX wielkości małej lodówki", wspominała ze śmiechem.

Salę Kryzysową zmodernizowano w tym samym roku, kiedy Botsai zaczęła w niej pracę. Jak czytamy w artykule z „New York Timesa" z 1977 r.: „Kompleks przebudowano w roku 1972. Hałasujące dalekopisy zostały zastąpione cichymi terminalami komputerowymi. Okładziny ścienne zasłoniły instalację wodną i kanalizacyjną. W jedną ze ścian wbudowano dwa pojemne sejfy z obrotowymi półkami na ściśle tajne dokumenty. Podwieszany sufit i złota wykładzina potęgują wrażenie kameralności i dyskrecji, dzięki czemu sala w kształcie litery L przypomina korporacyjne centrum komputerowe".

„Dyżurni pracownicy przysyłali mi wiadomości ze swoich stanowisk 2 m ode mnie" relacjonowała Botsai. „Następnie decydowałam, które wiadomości i informacje powinny się znaleźć w notatkach południowych, a które w wieczornych, przesyłanych później do biura Kissingera".

Jej najważniejsze zadanie polegało na przygotowaniu notatek porannych. „Przychodziłam do pracy o 5 rano i miałam nadzieję, że nadeszło już nocne sprawozdanie z MACV [Military Assistance Command, Vietnam (dowództwa wsparcia militarnego w Wietnamie)], żeby trafiło do porannej porcji wiadomości (…) i liczyliśmy na to, że do ósmej zdążymy przesłać ten pakiet na górę razem z codziennym raportem prezydenckim. Bo o tej godzinie przychodził Kissinger".

Henry Kissinger wyrósł na najbardziej wpływową postać w Białym Domu Nixona – pod koniec 1973 r. prawdopodobnie dorównywał ważnością samemu prezydentowi. Często osobiście zanosił mu raporty, aby je przedyskutować. I to on, a nie prezydent, przewodniczył naradom w Sali Kryzysowej, na których doradcy wytyczali kierunek działania Stanów Zjednoczonych.

Dlaczego Nixon żywił taką awersję do tego kompleksu? Kissinger w swoim pamiętniku „The White House Years" (Lata w Białym Domu) wysunął pewną teorię: „Nixon był przekonany, że prezydent Johnson cierpiał na »syndrom Sali Kryzysowej«, to znaczy uległ patetycznemu przeświadczeniu, że z tego miejsca można zarządzać światem podczas kryzysu". Obsesja LBJ na punkcie tej sali ostatecznie przyniosła mu więcej szkód niż korzyści. Dlatego Nixon wybrał inne rozwiązanie.

Nixon postrzegał Biały Dom jako wrogie terytorium. Rzadko się tam pojawiał, bo w osobach w Sali Kryzysowej widział wrogów.

Kiedy niedawno poprosiłem Kissingera, by rozwinął tę myśl, powiedział: „Sala Kryzysowa jest w piwnicy Białego Domu, więc podejmowane tam działania są nieprzystające do jej wyglądu" – zaśmiał się cierpko. „To bardzo zwyczajne pomieszczenie (…) można stamtąd bardzo szybko przekazać informacje decydentom. Ale kiedy człowiek znajdzie się w środku, najchętniej od razu by stamtąd wyszedł. (…) Z drugiej strony świadczy to o jego statusie. Nikt bez odpowiedniego statusu by tam nie trafił".

Zapytałem, czy otaczająca pokój niezwykła aura mogła skłaniać ludzi do przekonania, że mają większą kontrolę nad przebiegiem wydarzeń, niż było w rzeczywistości. „Słuszna uwaga", przyznał. „Nie przyszło mi to na myśl. Ale to oczywiście prawda, że polecenia wydawane w Sali Kryzysowej bardzo szybko trafiają w biurokratyczne tryby. Należy natomiast ustalić, czy przynoszą zakładane efekty".

eprasa.pl 75f64d8cea

Nie wszyscy zgadzają się z wysuniętą przez Kissingera teorią „syndromu Sali Kryzysowej”, w każdym razie w odniesieniu do Richarda Nixona. Garrett Graff, autor książki „Watergate: A New History” (Watergate. Nowa historia) oraz wielu innych poświęconych współczesnej historii Ameryki, zasugerował inne powody, dla których prezydent unikał tego miejsca. „Intuicja mi podpowiada, że Nixon nie ufał Sali Kryzysowej”, stwierdził w rozmowie ze mną Graff. „Nie ufał personelowi Rady Bezpieczeństwa Narodowego”, zastanowił się przez chwilę. „Nixon postrzegał własny Biały Dom jako wrogie terytorium. Moim zdaniem rzadko się tam pojawiał m.in. dlatego, że w osobach w Sali Kryzysowej widział wrogów. Wszystkich wokół siebie traktował jak czyhających na niego wrogów”.

Stanów Zjednoczonych był zbyt pijany, aby podejść do telefonu.

„Nixon był już wówczas w rozsypce – powiedział mi Tim Weiner, autor książki „One Man Against the World: The Tragedy of Richard Nixon” (Jeden przeciwko światu: tragedia Richarda Nixona). – Przez większą część swojej prezydentury cierpiał na poważną bezsenność. Teraz dużo pił. Co wieczór, gdy tylko zaszło słońce, wychylał jedną do trzech szklaneczek whisky. Miał bardzo niską tolerancję na alkohol. Wystarczał mu jeden drink, żeby się upić – a on wypijał trzy”.

Świat Nixona chwiał się w posadach. (…) Prokurator specjalny Archibald Cox był bliski wygranej w sporze z Białym Domem o udostępnienie taśm, które miały przypieczętować los Nixona. I gdy Nixon usiłował bronić swojej prezydentury, Związek

Konflikt Jom Kippur stał się pojedynkiem supermocarstw.

Nixon nie uważał Sali Kryzysowej za własne podwórko; to była przestrzeń zajęta przez ludzi odpowiadających za bezpieczeństwo narodowe. Wolał przebywać tam, gdzie miał kontrolę nad rozmową i gdzie mógł nagrywać każde słowo.

W momencie wybuchu wojny Jom Kippur miał już niewiele kontroli nad czymkolwiek – także nad własnym zachowaniem.

•

11 października, pięć dni po rozpoczęciu wojny, odbyła się następująca rozmowa telefoniczna między Brentem Scowcroftem a Henrym Kissingerem:

Scowcroft: Przed chwilą do centrali zadzwoniono z Downing Street z pytaniem, czy prezydent w ciągu 30 minut będzie mógł odebrać telefon od premiera. Tematem ma być Bliski Wschód.

Kissinger: Możemy odmówić? Kiedy rozmawiałem z prezydentem, był wstawiony.

Nie minęła jeszcze 20. Toczyła się wojna. Izrael uważał, że zagrożone jest jego istnienie. Premier Golda Meir błagała o spotkanie z prezydentem, kraje arabskie natomiast błagały o pomoc Sowietów. Światowa równowaga sił zawisła na włosku, a prezydent Radziecki wykorzystał moment. Zaczął dostarczać drogą powietrzną sprzęt wojskowy i amunicję do Egiptu i Syrii, licząc na przechylenie szali zwycięstwa na Bliskim Wschodzie. Konflikt Jom Kippur stał się więc pojedynkiem supermocarstw.

Nixon się schował. Dosłownie. Urządził sobie drugi gabinet w biurowcu OEOB naprzeciwko Zachodniego Skrzydła Białego Domu i spędzał tam większość dni. Pytanie, dlaczego tak zrobił. Gabinet Owalny jest najsłynniejszym pokojem prezydenckim na świecie. Symbolizuje indywidualną władzę przywódcy. Bije od niego niezwykły blask. Każdy, kto kiedykolwiek pracował w Zachodnim Skrzydle, nie przebierając w środkach, walczył o to, by znaleźć się jak najbliżej drzwi gabinetu. Dlaczego więc Nixon sam zesłał się na coś w rodzaju rządowej Syberii?

Być może właśnie dlatego, że wszyscy inni pragnęli być w Gabinecie Owalnym. Nixon to chyba najbardziej introwertyczny człowiek, jaki kiedykolwiek zasiadał w Białym Domu – najlepiej czuł się sam, gdy zapisywał swoje przemyślenia w notatniku, siedząc w ulubionym fotelu sprowadzonym z Nowego Jorku. Pokój numer 180 stał się „dosłownie kryjówką – powiedział Graff – gdzie mógł się schronić, nastawić gramofon i posłuchać ścieżki dźwiękowej z Victory at Sea”. Było to także miejsce, gdzie – w odróżnieniu od Gabinetu Owalnego – mógł swobodnie pić. Miał tam zapas swojego ulubionego trunku, szkockiej Ballantine’s. I zaczynał się nią raczyć coraz wcześniej, już w ciągu dnia.

Gdy konflikt przybierał na sile, a Nixon zaszył się w kryjówce, Sala Kryzysowa tętniła życiem. Kissinger zwoływał tam posiedzenia grupy WSAG, a personel skrzętnie zbierał i syntetyzował całe tomy informacji dla prezydenta i jego doradców. (…)

„Kissinger życzył sobie wyczerpujących wiadomości”, mówiła Botsai. Sala Kryzysowa miała także inne narzędzia do oceny przebiegu działań wojennych. „Pamiętam, jak DIA [Defense Intelligence Agency (Agencja Wywiadowcza Departamentu Obrony)] przygotowała model kilku przełęczy górskich na półwyspie Synaj”, wspominała. „Trzeba było zamocować na oku mały okular, dzięki któremu można było w pewnym sensie lecieć przez góry. To była trójwymiarowa makieta przełęczy zrobiona z papier mâché czy czegoś podobnego. Tak więc Kissingerowi wystarczyło popatrzeć przez to urządzenie (…) i miał wrażenie, że leci między szczytami gór”. (…)

„W pracy staraliśmy się wzajemnie wspierać”, mówiła Botsai. „Kiedy ktoś był przeciążony zadaniami, pomagaliśmy mu. To była bardzo koleżeńska grupa ludzi, którzy podchodzili do swoich obowiązków ze spokojem, a jednocześnie z pełnym zaangażowaniem”. Niemniej jednak nad pokojem cały czas unosiło się widmo kłopotów Nixona.

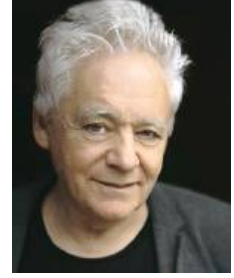
Nikt nigdy nie zapominał o Watergate. „Afera zawsze czaiła się gdzieś w tle – powiedziała – bez względu na to, ilu kryzysom musieliśmy stawić czoło”. (…)



Fragmenty książki George’a Stephanopoulosa *Situation Room. Pokój, w którym ważą się losy świata*, tłum. Łukasz Praski, Prószyński i S-ka, Warszawa 2025

eprasa.pl 75f64d8cea

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Ukryty dramat

Wiele hałasu wokół Zbigniewa Ziobry: stracił immunitet i ma 26 zarzutów prokuratorskich. Czy zostanie w Budapeszcie na „zesłaniu”? A przecież ten człowiek zasługuje na to, by go zamknąć w milczeniu. Marnie wygląda, co przypomina, że miał zaawansowanego raka i zapewne siedzi w celi śmierci – każdy w niej siedzi, ale niektórym bliżej do egzekucji. Powinno więc być nam go żal, ale on jest jakiś taki, że okropnie trudno go żałować, nawet jeżeli bardzo się starać.

•

Olek i Kasia u nas na kolacji. Olek, niejeden raz tu wspominany, to mój wielki przyjaciel z czasów, kiedy jeszcze faceci mają wielkich przyjaciół, więc z młodości. Jest operatorem w Los Angeles, Kasia mieszka w Polsce, jest scenografką filmową. Żyją zatem na różnych kontynentach, ale są ze sobą. I dzielą się psem Shanti, który też nas odwiedził. Serdeczna suczka podobna do rasy husky zobaczyła nagle za szybą bezdomną kotkę Matyldę, która u nas się stołuje. Nieświadoma, że mamy takiego gościa, Matylda pukała łapką głośno i wytrwale w szybę, jak to ma w zwyczaju. Pies uniósł się w powietrzu i jak strzała pofrunął w stronę okna, strącając szklankę i kieliszek, który się potłukł. Moja żona była bardzo przywiązana do tego kieliszka. Matylda w nogi. Ciekawe, czy jutro ośmieli się do nas zajrzeć.

Na drugim programie TVP puszczano amerykański film „Znajdę cię”. Olek za kamerą, akcja w Polsce i w Polsce był kręcony. Zawsze ciekawe, gdy można się dowiedzieć, co było za kulisami. Niedźwiedź, który występował na ulicach przedwojennej Łodzi, okazał się jak najbardziej prawdziwy, jeden tramwaj wypożyczony z muzeum, drugi był oszustwem – na nowy tramwaj naklejono makietę starego. Ale każdy film, jak wiadomo, jest jednym wielkim oszustwem.

Z Olkiem wspominamy dawne czasy, czyli naszą młodość. Dojechał teraz do Polski z Hiszpanii, gdzie był na ślubie syna, też Alexandra, ze Stellą, córką Banderasa i Melanie Griffith. Ten ślub odbił się echem w Polsce, bo mamy kompleksy, a tu coś takiego: syn polskiego operatora ze Stanów żeni się z córką słynnych aktorów. Byli na ślubie nie tylko rodzice Stelli, także dwie córki Obamów.

Olek wyemigrował na fali marcowej, pamiętam, żegnaliśmy go na peronie zimnego Dworca Gdańskiego. On w oknie pociągu, bardzo nieszczęśliwy. To kolejny przykład, jak czasami nieszczęścia służą szczęściu (odwrotnie bywa równie często). Olek stał się cenionym operatorem najpierw w Danii, potem w Hollywood. Miał niezwykle bogate i ciekawe życie, zjeździł z kamerą cały świat, czego ja, który zostałem na peronie Dworca Gdańskiego, nie mogę o sobie powiedzieć. Teraz, żegnając się z Olkiem, pomyślałem, że nasza przyjaźń nie zardzewiała, może tylko się skurczyła, jak my zaczęliśmy się kurczyć.

•

Zielony Ład zmienił nazwę, bo zaczął źle się kojarzyć. W Polsce zdemonizowano go i lud uwierzył, że to jakieś monstrum nasłane na nas przez Brukselę. Budzi też coraz większy opór w innych państwach Unii, bo w obecnej postaci te regulacje szkodzą gospodarce. I znowu znika perspektywa globalnej katastrofy klimatycznej, jakaś susza, tornado, powódź, ale to da się przeżyć, życie potem się toczy niby normalnie. Niczego strasznego nie widać na horyzoncie. Bo katastrofa klimatyczna jest procesem i majaczy nieco dalej, niż sięga nasz wzrok, nieuzbrojony w naukowe przyrządy. Poza tym tępogłowi prawicowi politycy w zmiany klimatyczne nie wierzą, to spisek lewicy i elit. W Polsce Zielony Ład jest używany jako straszak. I nawet politycy, których umysł jest w stanie objąć ukryty dramat, idą tu na kompromisy, choćby Donald Tusk. Jest wymówka, jak zdroworozsądkowi stracą władzę, to paranoicy znacznie bardziej zaszkodzą klimatowi.

Od pokoleń mamy w sobie gen autodestrukcji.

•

Przestaliśmy widzieć, jak niezwykłym projektem jest Unia Europejska obejmująca niemal wszystkie państwa europejskie, które do niedawna toczyły ze sobą bratobójcze wojny, a dwie światowe w XX w. miały skalę Apokalipsy. Ten projekt udał się mimo wielu problemów i sprzecznych interesów państw członkowskich i wydaje się szczególnie ważny dla Polski. Polska w Europie była wielkim marzeniem pokoleń. I ogromnie na tym skorzystaliśmy gospodarczo i cywilizacyjnie. Kraj wskoczył do grona 20 najbogatszych państw świata. To jednak wielka niespodzianka, muszę przyznać, że nie wierzyłem, aby to było możliwe, bo jesteśmy bałaganiarzami. A teraz Polska prawica jednoczy się z siłami, które chcą Unię zniszczyć, czemu zawzięcie kibicuje Putin. Ale to nie jest niespodzianka, wiemy przecież, że od pokoleń mamy w sobie gen autodestrukcji. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 75f64d8cea

Lokalna społeczność jest siłą

Krakowskie Podgórze: duży potencjał i dużo do zrobienia

Anna Wyrwik

– Gdy kiedyś przejeżdżałem tramwajem przez Kalwaryjską, nigdy nie wysiadałem, bo nie było tu nic zachęcającego. Ciemno i podejrzanie – Filip Piwowarczyk jest architektem i radnym dzielnicy Podgórze, ale mieszka tu dopiero od 10 lat, bo wychował się, jak mówi, na obwarzankach przy krakowskim Rynku. – Kiedyś Podgórze w ogóle nie istniało w mojej świadomości. Pierwszy raz przyjechałem tu już po 2000 r., na osiemnastkę kolegi – opowiada. – Dziś jestem w Podgórzu zakochany.

Spotykamy się pod kościołem redemptorystów na Zamoyskiego i idziemy w górę, na Krzemionki. Niedawno ktoś chciał tu postawić restaurację z ogródkiem na kilkaset metrów kwadratowych, ale mieszkańcy się nie zgodzili.

– Lokalna społeczność jest siłą Podgórza – podkreśla Filip. – Dobrze, że się udało, bo Krzemionki są fajne takie dzikie, jakie są.

Zieleń jest jednym z atutów okolicy – Krzemionki, park Bednarskiego usytuowany w zagłębieniu terenu po byłym kamieniołomie, Planty im. Floriana Nowackiego, bulwary nad Wisłą, kopiec Krakusa. Albo Kraka. Ma 16 m wysokości, 60 m podstawy i został wzniesiony ok. VIII-IX w. na cześć legendarnego założyciela Krakowa, ojca tej, „co nie chciała Niemca". Wbrew legendzie archeolodzy jego prochów w kopcu nie znaleźli, ale u stóp kopca powstała osada Pod Górą, czyli Podgórze.

Ulicą Parkową dochodzimy do wybudowanego w latach 50. XX w. stadionu. Kamienne trybuny otaczają boisko piłkarskie Klubu Sportowego Kabel (kiedyś KS Korona). Zarówno stadion, jak i klub zostały reaktywowane, a dzięki lokalnej społeczności wróciło tu życie.

– Obecnie jest to Centrum Sportowe Parkowa – tłumaczy Filip. – Zadbano o boisko główne, stworzono trzy orliki. Mamy nową bieżnię, siłownię, stoły do teqballu. Tam dalej stoją food trucki i jest kawiarnia. W radzie dzielnicy pracujemy nad projektem dalszego zagospodarowania. Chcemy, by było to miejsce spotkań podgórzan, podobnie jak Krzemionki czy park Bednarskiego.

Układ urbanistyczny Podgórza sprzyja kontaktom międzyludzkim.

Gdybyśmy z Zamoyskiego nie poszli na Krzemionki, tylko w drugą stronę, znaleźlibyśmy się na Kalwaryjskiej, którą Filip jako dziecko przejeżdżał tramwajem. Mówi, że do dziś wielu mieszkańców Krakowa tak robi i nie wysiada, bo nie wie, że wokół jest dużo ciekawych miejsc i pięknych uliczek. Kalwaryjska piękna nie jest. Kiedyś uznawana była za najbrzydszą ulicę w mieście. Trzaskała po oczach setkami kolorowych szyldów, a jej symbolem stała się beczka na szambo wisząca jako reklama na jednym z budynków. Po przyjęciu przez władze miasta uchwały krajobrazowej, regulującej m.in. wygląd reklam, trochę się tu uspokoiło.

Prawdziwa herbata podgórska

– Kiedyś Kalwaryjska nosiła imię Wincentego Pstrowskiego. Pstrowskiego 88 to mój pierwszy meldunek. Teraz tam jest Żabka – Marzena Wędzicha jest technikiem weterynarii i podgórzanką z dziada pradziada ze 200 lat wstecz.

Podgórze jest 13. dzielnicą (na 18) w Krakowie. Na mapie Stare Podgórze figuruje jako jej część, ale nikt stąd słowa „Stare" nie używa, bo to Podgórze i już. Dla Marzeny od północy styka się ono z Wisłą, która dzieli je od Kazimierza, na wschodzie kończy się wraz z Zabłociem na II obwodnicy, a jeżeli iść na południe, ciągnie się do McDonalda na Wielickiej, obejmuje teren byłego obozu koncentracyjnego Płaszów, na zachodzie zaś kończy się na rondzie Matecznego i graniczy z Ludwinowem. Część Woli Duchackiej i Łagiewnik oraz osiedla Bieżanów i Prokocim w Podgórzu nazywane są Nowym Podgórzem.

– Na Pstrowskiego mieszkaliśmy z prababcią w ciemnej i zimnej powojennej kamienicy ze starymi oknami, więc gdy przejeżdżał tramwaj, wszystko się trzęsło i nie słyszałam dobranocki. Tak się składało, że przejeżdżał zawsze o tej porze – Marzena zerka w menu restauracji, w której siedzimy. – O, mają herbatę podgórską. Prawdziwa herbata podgórska powinna być z alkoholem.

Na początku lat 90. rodzina Marzeny przeniosła się do mieszkania w kamienicy na św. Kingi. Wszystko było w ruinie. Klatka schodowa dla służby miała odrapane ściany i skrzypiące dechy, a reprezentacyjna – odrapane ściany i tylko kamienna podłoga jakoś dawała radę. Teraz obie były dla wszystkich, podobnie jak toalety i łazienki na korytarzach. Na fali transformacji ludzie robili remonty i budowali swoje. U koleżanki Marzeny w kuchni stała wanna, która w ciągu dnia, przykryta blatem, robiła za stół, a wieczorem brało się w niej kąpiel. Ulice to była psia mina na psiej minie, walające się małpki i butelki po piwach. Podgórze kojarzy

eprasa.pl 75f64d8cea



Filip Piwowarczyk, architekt i radny dzielnicy Podgórze, przed willą Julia.



Marzena Wędzicha, podgórzanka z dziada pradziada, na kładce łączącej Podgórze z Kazimierzem.



Łukasz Ścisłowski z przyjaciółmi 10 lat temu stworzył Warsztat, niezależne centrum kulturalno-społeczne.

się Marzenie z pijaństwem. Chodząc do szkoły, mijała panów siedzących od rana przy kiosku w Rynku Podgórskim.

26 lutego 1784 r. Podgórze otrzymało od cesarza Józefa II Habsburga godność Miasta Wolnego Królewskiego. Z osady na kilkanaście chat szybko stało się jednym z najprężniejszych ośrodków Galicji. Sto lat później mieszkało tu już 12,5 tys. ludzi. Skoro miasto, to i rynek – został wytyczony podczas lokacji w 1785 r. Wyróżnia go trójkątny kształt, a nad wszystkim góruje wybudowane w pierwszej połowie XIX w. sanktuarium św. Józefa, w którym chrzczono przodków Marzeny i ją samą. Dziś rynek ma nowy bruk, dzieci i psy biegają wokół fontanny, reprezentacyjny budynek magistratu cieszy oczy nową elewacją, a wokół są kawiarnie. Kiedyś była bieda i ci panowie przy kiosku. – Siedzieli tak upojeni albo stali pod delikatesami i mówili: „Pożycz złotówkę".

Po szkole Marzena bawiła się na podwórku. Z tyłu był sad, w którym sąsiad postawił huśtawkę. Nie zawieszoną na drzewie oponę czy deskę, ale huśtawkę z prawdziwego zdarzenia, zespawaną, wkopaną i zabetonowaną. Wszystkie dzieciaki z okolicy tu przychodziły.

Było biednie. Rodzice pracowali na pobliskiej „Tandecie", czyli w centrum targowym, mama Marzeny w hurtowni rajstop, tata na stoisku, zima nie zima. Bywało niebezpiecznie. Nieraz dzieci czekały z wyjściem z lekcji, bo przed szkołą ktoś kogoś tulipanem walił po głowie. Mówili, że swoich nie biją, ale nie mówili tak o kradzieżach. Gdy brat Marzeny dostał na komunię rower górski, za kilka dni już go nie było. Pewnie wylądował na „Tandecie".

– Pamiętam ten moment – potwierdza Marzena, gdy pytam ją o zmiany. – W 2004 r. w Ukrainie trwała pomarańczowa rewolucja i na Kazimierzu urządzili demonstrację. Powiedziałam wtedy do kolegi: „Patrz, jest więcej policji niż ludzi. Zaczyna być tu bezpiecznie".

Z początkiem XXI w. Kazimierz dostał etykietkę dzielnicy knajp i bohemy, za którą najpierw przyszli mieszkańcy, a potem turyści.

eprasa.pl 75f64d8cea

– Za Kazimierzem powoli dreptało Podgórze – wspomina Marzena.

Rewolucję zrobiła kładka pieszo-rowerowa Ojca Bernatka, otwarta 30 września 2010 r., która połączyła obie dzielnice. Nagle w minutę można było z Mostowej dostać się do Drukarni, kultowego klubu, który w Podgórzu znalazł trzecią lokalizację i jest tu do dziś. Wokół niego wyrosły bary i restauracje i to tu siedzimy z Marzeną.

– Kiedyś była tylko Delecta, gdzie moi rodzice chodzili na randki, a potem ja chodziłam na randki. Niestety, niedawno została zamknięta. Nowych knajp jest bardzo dużo. Jest też sporo miejsc, w których organizowane są wydarzenia kulturalne, spotkania i warsztaty – wymienia Marzena i tylko żal jej, że już tu nie mieszka. – Większość z nas nie miała własnych mieszkań, więc musieliśmy się wyprowadzić, bo Podgórze jest drogie. Mieszkam cztery przystanki stąd i administracyjnie to wciąż Podgórze, ale szkoda… Z poprzednim psem chodziłam na spacery na Wzgórze Lasoty, tak jak moja mama i dziadek. Teraz mam za daleko.

Klasyczny przykład gentryfikacji

Stoimy z Filipem na placu Lasoty przed wybudowanymi na początku XX w. willami Mira i Julia. Zegar na fasadzie tej drugiej zrobił brat prapradziadka Filipa. Ulica w lewo prowadzi do rynku, dalej w lewo na Kalwaryjską, a w prawo na Limanowskiego – drugą główną ulicę dzielnicy. Przy nich załatwia się sprawy. Jest też reszta – mniejsze uliczki.

– Układ urbanistyczny Podgórza sprzyja kontaktom międzyludzkim – zwraca uwagę Filip. Mówi o ludzkiej skali, bo próżno tu szukać monumentalnych kamienic jak w centrum Krakowa. Przeważają niższe, do których okien można ludziom zaglądać z chodnika, a chodniki są w słońcu, bo niższe kamienice to wpuszczanie światła.



Bogdan Balicki od 2011 r. prowadzi KinoKawiarnię KIKA.

Skręcamy w prawo, w Stawarza. Kraków niepodległość świętuje przed 11 listopada, bo „Niepodległość zaczęła się w Podgórzu". Tym, kto doprowadził tu do rozbrojenia wojsk zaborczych, był por. Antoni Stawarz. 31 października 1918 r. Kraków przestał być częścią monarchii habsburskiej.

I tak dochodzimy do Wzgórza Lasoty, gdzie Marzena chodziła z psem albo z innymi dziećmi na sanki. Te odważniejsze wdrapywały się na niezabezpieczony wtedy fort św. Benedykt, dziś w remoncie. Ma w nim być filia Muzeum Inżynierii i Techniki. Na wzgórzu stoi jeszcze kościół św. Benedykta – na miejscu najstarszego budynku Podgórza, też kościoła, który wzniesiono tu w XI w.

W okolicy można się natknąć na ocalałe fragmenty muru getta żydowskiego. Dalej zaś na północny wschód, w stronę Wisły, leży Zabłocie, dziś osiedle apartamentowców w loftowym stylu, z punktami usługowymi i sklepami: Arcadia Clinique, Fine Wine, eko, bio, craft, desing, gdzie młode pary z dziecięcymi wózkami oglądają filiżanki, a chleb jest rzemieślniczy na zakwasie.

Z jednej strony jest przystanek tramwajowy na II obwodnicy, z drugiej most Powstańców Śląskich. Kiedyś nazywany mostem Krakusa. I to na nim 110 lat temu, 4 lipca 1915 r., nastąpiło symboliczne połączenie Krakowa i Podgórza. Podgórzanie tego nie chcieli. Było ich już wtedy 25 tys. i czuli swoją moc. Jednak prezydent Juliusz Leo dopiął swego i po włączeniu do Krakowa innych okolicznych miast i wiosek dodał też Podgórze, realizując marzenie o Wielkim Krakowie.

Od niedawna między mostem i II obwodnicą jest stacja kolejowa Kraków Zabłocie. – Sztucznie przedziela Zabłocie, ale trochę klimat berliński nam wprowadza.

Z Łukaszem Ścisłowskim siedzę w Warsztacie, niezależnym centrum kulturalno-społecznym, stworzonym przez niego i jego przyjaciół 10 lat temu na terenie byłej fabryki. A fabryk było na Zabłociu dużo. W różnych latach działały m.in. Fabryka Wyrobów Metalowych i Mechanizmów do Parasoli, fabryki zapałek, skrzyń, siatek, Krakowska Huta Szkła Wawel, Wódki Krakowskie czy Fabryka Schindlera, a po wojnie Krakowskie Zakłady Elektroniczne Unitra-Telpod i kosmetyki Miraculum.

– Zabłocie jest klasycznym przykładem gentryfikacji – przyznaje Łukasz. – Gdy się tu wprowadzaliśmy, było zapomnianą okolicą ze starymi zakładami. Teraz jesteśmy jednym z ostatnich miejsc, które nawiązują do tamtego Zabłocia.

Warsztat wygląda tak samo jak wtedy, punk i underground, squatowy duch, na ścianach graffiti, a przed wejściem muzycy wypakowują sprzęt, bo zaraz będą grać koncert.

– Prócz koncertów organizujemy imprezy muzyczne, spotkania i akcje społeczne we współpracy z aktywistami i organizacjami pozarządowymi – opowiada Łukasz. – W listopadzie będziemy organizować wydarzenia wraz ze społeczną inicjatywą Jedzenie Zamiast Bomb i z Fundacją Masz Nosa, która pomaga zwierzętom.

eprasa.pl 75f64d8cea



Mural o historii Podgórza.

Kiedyś Warsztat znajdował się na uboczu miasta, a dziś kręcą się tu mieszkańcy i turyści jadący do Muzeum Schindlera i MOCAK-u. Warsztat jednak trwa. – To miejsce daje nam wolność i niezależność – mówi Łukasz. – Co ważne, wciąż pojawiają się u nas ludzie, którzy chcą coś robić, chcą zmieniać świat wokół siebie, i to ludzie z kolejnego pokolenia.

Świat się zmienia, Podgórze też

Z Lasoty schodzimy kolorowymi schodami, które do niedawna były we wszystkich barwach tęczy, ale ktoś stwierdził, że lepsze będą biało-czerwone, i po cichu je przemalował. Przed XIX-wiecznym budynkiem Akademii Muzycznej im. Krzysztofa Pendereckiego mężczyzna po pięćdziesiątce pije tatrę. – Chodziłem tu do podstawówki – mówi między jednym łykiem a drugim.

Magia Podgórza. I to, że na tak małym obszarze jest tak wiele przyjemnych miejsc do bycia, jak zachwala Filip. – Podgórze to miasto 15-minutowe, wszystko jest w zasięgu ręki, więc nie trzeba stąd wyjeżdżać.

Bogdan Balicki od 2011 r. prowadzi na Krasickiego, równoległej do Kalwaryjskiej, KinoKawiarnię KIKA. Kiedyś działała tu fabryka guzików, a dziś są cztery sale i dużo dobrego kina niezależnego. Do tego bar, ponieważ Bogdan wymyślił sobie, że będzie jak w Pradze czy w Berlinie, czyli przed filmem można posiedzieć w barze.

Siedzimy przy kawiarnianym stoliku, a on wymienia lokalne zakłady rzemieślnicze: szewc, zegarmistrz, krawiec. Mówi o sklepach i słynnym Targu Pietruszkowym. W Podgórzu wciąż działa zakład naprawy parasoli, są pracownie ceramiczne, sklep z drewnianymi zabawkami, a rzeźbiarz wyrabia szachy na zamówienie. Tyle że to zanika.

– Ostatnio zamknęli wypożyczalnię kaset wideo i płyt DVD – wzdycha Bogdan. – Świat się zmienia i Podgórze się zmienia. Wszystko traci swój urok. Kiedyś, podróżując, widziałem sklepy z pamiątkami i żałowałem, że w Krakowie takich nie ma. Dziś zewsząd Chiny się wylewają. Krakowski Rynek stracił urok. Ale Podgórze wciąż pozostaje prawdziwe, bo są tu prawdziwe sklepy z prawdziwymi ludźmi, a turyści docierają jedynie w okolicę kładki i nie idą dalej.

Marzena zachwyca się tym, że dziś można w Podgórzu spokojnie zostawić rower przed sklepem, wejść, kupić, wyjść i ten rower wciąż tam będzie. Faktycznie jest trochę rowerów w Rynku Podgórskim, gdy stoimy tu z Filipem.

– Podgórze jest ostatnią mieszkalną historyczną dzielnicą Krakowa. Ma duży potencjał, ale jest jeszcze wiele do zrobienia – mówi Filip.

Po II wojnie Podgórze z miasta cesarskiego z mieszczańskim rodowodem i duchem kapitalizmu stało się robotniczo-ludową częścią Krakowa. Przez lata było dzielnicą podrzędną, o czym wspominał Filip, a o tym, jak zrujnowaną, mówiła Marzena. Jego ponowne odkrycie nastąpiło w latach 80. XX w. Trwało powoli, ale po kładce przyśpieszyło. Dziś na wystawie w Muzeum Podgórza czytam, że „Gra o Podgórze trwa".

Mieszkańcy podkreślają małomiasteczkowość dzielnicy i różnicę między nią a tym, co po drugiej stronie Wisły, zaznaczając, że oni są po tej lepszej. Niektórzy, jak Marzena, boją się o kierunek, w którym to wszystko idzie. Inni, jak Łukasz, liczą, że Podgórze się obroni.

Filip mówi, że wolałby, aby Kraków zwolnił z reklamowaniem się jako miasto turystyczne, bo nie chciałby, żeby turyści przyszli do Podgórza. Rozstajemy się w rynku, Filip idzie w stronę domu w okolicy kościoła redemptorystów, ja w stronę kładki Bernatki. Filip patrzy jeszcze w moją stronę, stronę rzeki, i mówi: – Wisła podkreśla odrębność. Żartujemy, że się odłączymy od Krakowa, bo mamy lepiej!

Anna Wyrwik

Mieszkańcy podkreślają małomiasteczkowość dzielnicy.

FOT. ANNA WYRWIK (5)

eprasa.pl 75f64d8cea

Szaleństwo króla Krystiana

Rzecz o zmierzchaniu bogów

Wojciech Kuczok

Cristiano Ronaldo znowu zwariował. Niewykluczone, że w czwartkowy wieczór w Dublinie po raz ostatni zagrał w reprezentacyjnym meczu o punkty. Jeśli to miałoby być pożegnanie jednej z futbolowych legend XXI w., trzeba przyznać, że CR7 nie mógł sobie zafundować bardziej trefnej puenty kariery.

Podczas feralnego meczu z Irlandią kapitan zszedł z okrętu jako jeden z pierwszych, po godzinie gry, z czerwoną kartką za chamski atak łokciem na rywala. Nie w walce o piłkę, w żadnej mierze nie dało się tego zinterpretować jako przypadkowego uderzenia, Portugalczyk zamachnął się na przeciwnika z premedytacją, bo puściły mu nerwy, po prostu złośliwie uderzył zawodnika w plecy. A właściwie łomotnął z całych sił. Na ulicy za taki numer byłby, w szczęśliwym przypadku, dostał paragraf 217, dołek, a potem w najlepszym razie prace społeczne.

Zgodnie z przepisami FIFA za taki incydent grozi co najmniej trzymeczowa karencja w meczach o punkty. Zapewne znajdzie się wiele okoliczności łagodzących, jak choćby ta, że to pierwsza reprezentacyjna czerwona kartka, choć w zmaganiach klubowych Ronaldo wylatywał za podobne incydenty wielokrotnie.

Zatem kapitan kadry Portugalii najwcześniej może zagrać dopiero w ostatnim meczu grupowym na mundialu. Jeśli miałoby się okazać, że będzie to mecz decydujący o awansie, wcale nie jest powiedziane, że trener się ugnie i wystawi 41-letniego napastnika tylko za zasługi. Trzeba też wziąć pod uwagę, że czas po czterdziestce płynie szybciej, każdy miesiąc jest nieomal jak rok dla organizmu aktywnego sportowca w tak kontaktowej grze jak piłka nożna, prawdopodobieństwo kontuzji, de facto zamykającej karierę, rośnie niepomiernie. CR7, aby marzyć o grze na mundialu, musiałby się oszczędzać w lidze saudyjskiej, a przecież, oszczędzając się, może wcale na powołanie nie zasłużyć. To wszystko z powodu chuligańskiego wybryku, który wynikał tyleż z doraźnego stresu, co z narastającej frustracji nieubłaganym upływem czasu.

Mecz się nie ułożył, już w pierwszej połowie wynik ustalił Troy Parrott – rosły napastnik holenderskiego AZ Alkmaar, najbardziej wartościowy gracz klubu, z którym tydzień przed Bożym Narodzeniem zmierzy się w Białymstoku Jagiellonia w Lidze Konferencji. Irlandia zasłużenie prowadziła dwoma golami, Cristiano Ronaldo także po przerwie niczego nie mógł wskórać, aby ten stan rzeczy zmienić, więc się wściekł. No i musiał schodzić z boiska z buzią w podkówkę, pewnie popłakał dopiero w szatni, po drodze zaś bił brawo kibicom gospodarzy za wulgarne „wsparcie", którego mu udzielali przez cały czas, jakby ich obwiniał o prowokację.

Tymczasem w przedmeczowym wywiadzie zapowiadał: „Stadion będzie mnie wygwizdywał, jestem do tego przyzwyczajony. Mam nadzieję, że tak będzie, może to odciąży innych zawodników. Najbardziej zależy mi na tym, żeby się dobrze bawili". Trochę mi się to skojarzyło z niezłomnym Zbigniewem Z., który butnie pokrzykiwał w Sejmie: „Liczę na was! Liczę na to, że nie okażecie się fujarami!", a jak przyszło co do czego, uciekł na Węgry.

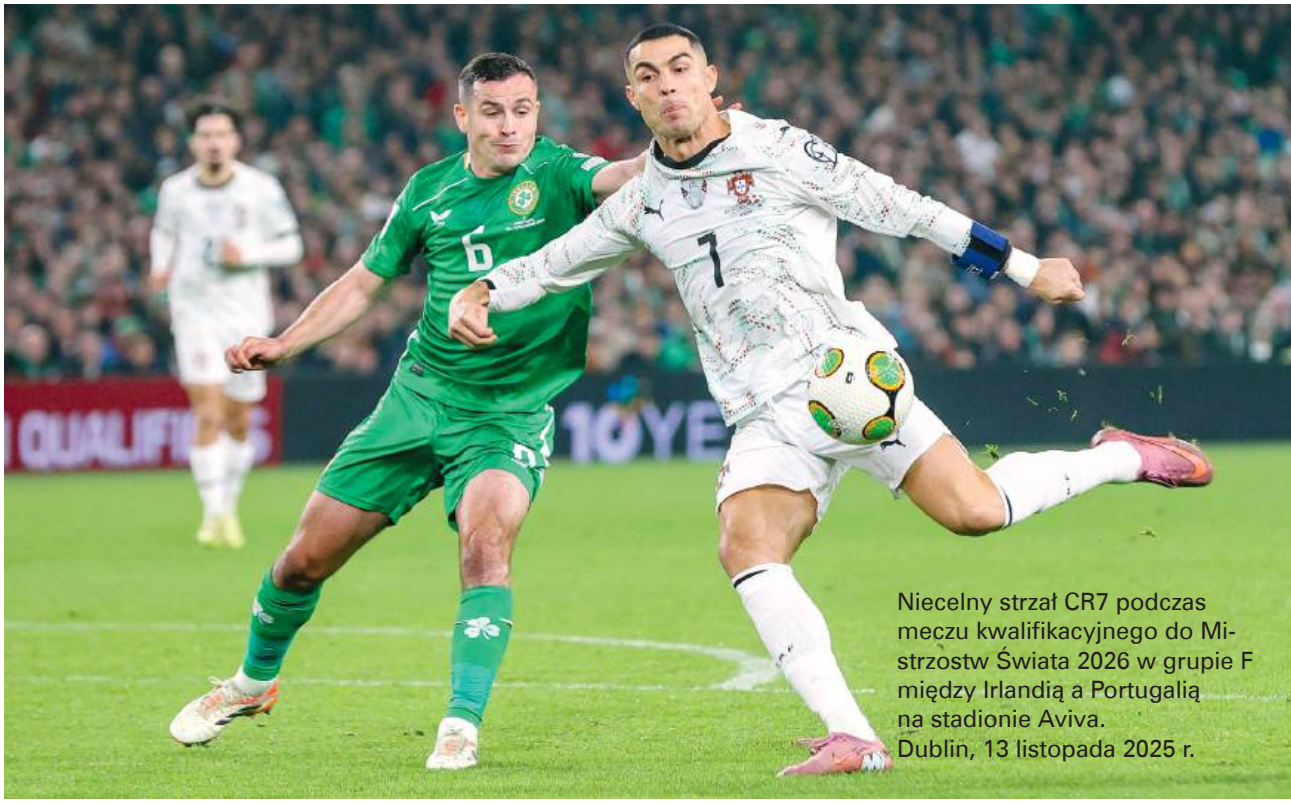
CR7 ma osobowość dziecka – tu nic się nie zmieniło i nie zmieni, ja mu współczuję i kibicuję, bo dawno przekroczył smugę cienia i jest nieustraszonym bojownikiem o własną nieśmiertelność; wiadomo, że będzie grał dosłownie do upadłego, bez względu na metrykę, jak Czarny Rycerz w słynnym skeczu Monty Pythona, który nawet pozbawiony wszystkich kończyn domaga się prawa do walki, grożąc, że odgryzie nogi rywalowi. A przecież piłkarska nieśmiertelność spełni mu się tak czy owak – w reprezentacjach młodzieżowych Portugalii gra i strzela już 15-letni Cristiano Junior.

Marzenie o wspólnym występie na boisku w jednej drużynie z własną pociechą zapewne ziści się seniorowi w Rijadzie, gdzie młodziak już występuje w juniorskiej ekipie Al-Nassr. Czy okaże się udaną kopią ojca, czas pokaże, na razie brakuje mu 3 cm wzrostu, ale chłopak wciąż rośnie, a co do umiejętności, cóż – ze strony taty lepszych genów próżno szukać, o biologicznej matce niczego nie wiemy.

Cristiano Ronaldo w niepohamowanym narcyzmie zaczął reprodukować swój kod genetyczny przy pomocy surogatek, zanim stworzył trwałą relację z obecną partnerką. Troje z pięciorga jego dzieci nie poznało matek, były wychowywane przez ojca i babcię. Owóż, życzę mu mimo wszystko jak najlepiej, bo i sobie życzę, aby era piłkarskich tytanów CR7 i Messiego nigdy się nie skończyła. Tak jak niegdyś chciałem, by era El Diego trwała wiecznie.

Maradona, największy geniusz piłkarski XX w., a dla wielu wyznawców, w tym mnie, w ogóle największy piłkarz w historii, też łapał się wszelkich sposobów, aby podtrzymać sportową wydolność i z boiska nie schodzić. Reprezentację opuszczał w niesławie, przyłapany na dopingu po dwóch świetnych meczach na mundialu 1994 – okazało się, że jego kapitalna gra przeciw Grecji (pożegnalny, cudnej urody gol) i Nigerii (ostatnia reprezentacyjna asysta przy golu, który strzelił Claudio Caniggia) pewnie nie byłaby możliwa bez niedozwolonych stymulantów, a konkretnie koktajlu pięciu różnych pochodnych efedryny. Za ich pomocą, ale także dzięki diecie i determinacji El Diego zrzucił przed mundialem 13 kg i mógł po raz

eprasa.pl 75f64d8cea



Niecelny strzał CR7 podczas meczu kwalifikacyjnego do Mistrzostw Świata 2026 w grupie F między Irlandią a Portugalią na stadionie Aviva. Dublin, 13 listopada 2025 r.

czwarty wystąpić na mistrzostwach świata, kapitanował swojej kadrze w dwóch zwycięskich meczach i robił to z gracją niespotykaną jak na 34-letniego matuzalema (naonczas był to dla piłkarzy z pola wiek emerytalny).

W dniu, kiedy El Diego oznajmił, że „FIFA odcięła mu nogi" dyskwalifikacją za doping, mundial się dla mnie skończył, ba, futbol się dla mnie skończył, byłem wtedy Argentyńczykiem i umierałem z wszystkimi fanami Albicelestes. Pamiętam, że gdy Włodzimierz Szaranowicz ogłaszał w wiadomościach sportowych na zatrzymanym w kadrze obliczu Maradony, cieszącego się z ostatniej zdobytej bramki, że „to jest twarz złego człowieka", znienawidziłem wszystkich „dobrych ludzi" tego świata, znienawidziłem samego Szaranowicza i nic nie poradzę na to, że jego głos do dziś będzie mi się kojarzył z tym potwornym dla futbolu wyrokiem, a nie z późniejszą małyszomanią.

Czy Leo Messi zagra na przyszłorocznym mundialu? Sam mówi, że nie jest pewny, czy za pół roku będzie miał odpowiednią formę, aby podołać temu wyzwaniu. „Nie chcę być ciężarem, że tak powiem. Chcę się dobrze czuć fizycznie, mieć pewność, że mogę pomóc i wnieść swój wkład do drużyny". Nawet jeśli to strategia kokieteryjna, *fishing for compliments*, wynika z niej troska o dobro zespołu, a nie o pobijanie własnych rekordów. Trudno oprzeć się wrażeniu, że tymi słowy Leo puszcza złośliwe oczko do swojego odwiecznego rywala. Tyle że Messiemu łatwiej będzie odpuścić, bo w futbolu osiągnął już wszystko – także tytuł mistrza świata, zdobyty przed czterema laty w Katarze.

CR7 okazuje się „wiecznie drugim", jego przekleństwo polega na tym, że urodził się w erze Messiego, geniusza czystej wody, Argentyńczyka, któremu skądinąd w karierze także pomogło wspomaganie medyczne, tyle że legalne (aplikowany w dzieciństwie i wczesnej młodości hormon wzrostu).

Messi w przeciwieństwie do CR7 przytulił już Puchar Świata, pięć Złotych Piłek Portugalczyka to wyczyn kosmiczny, ale blednie wobec ośmiu takich trofeów Messiego, trzykrotnie przywdziane Złote Buty dla najlepszego snajpera Europy to dużo, ale Messi wystrzelał sobie sześć takich nagród.

„Zwierciadełko, powiedz przecie…". Cristiano, jesteś piękny, masz rację, kiedy mówisz (w świeżym wywiadzie dla brytyjskiego prezentera Piersa Morgana), że jesteś najsławniejszą osobą na świecie i że nie jesteś normalny (pełna zgoda), bo jesteś perfekcyjny (tu zgoda niepełna). Gdyby nie ten Messi, byłbyś także najszczęśliwszym piłkarzem w dziejach. I nie musiałbyś się przepychać do nieśmiertelności łokciami.

Na szczęście zmierzchanie naszego bożyszcza, Roberta Lewandowskiego, młodszego przecież ledwie o rok od Messiego i o trzy lata od CR7, jak się wydaje, jeszcze się na dobre nie zaczęło. Nie wiem, co wyczyniał Lewy w piątek z Holandią, bo oddaję ten tekst przed meczem, ale tuszę, że selekcjoner Urban i tak po niego sięgnął mimo śródtygodniowej wycieczki do Nowego Jorku i spóźnionego przylotu na zgrupowanie. Albowiem nasz nestor w zeszły weekend ustrzelił w meczu ligowym hat tricka dla Barcelony – nie w rozgrywkach Jankesów ani Saudów, nie na łatwej emeryturce w krajach piłkarskiego drugiego świata, ale w La Liga, najlepszej technicznie lidze świata, tej, w której swojej sławy dawno temu zaznawali Leo i Cristiano. ■

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 75f64d8cea

Wspólnota daje ratunek

Wszyscy są bezradni w wielkiej strukturze Kościoła

Rozmawia Wojciech Tutaj



PIOTR DOMALEWSKI
– reżyser, scenarzysta i aktor, laureat Złotych Lwów, nagrody za scenariusz i nagrody publiczności w Gdyni za film „Ministranci" (w kinach od 21 listopada).

Byłeś ministrantem?

– Przez 12 lat.

Jakie są twoje wspomnienia z tego okresu?

– Bycie ministrantem jest ciekawym doświadczeniem, zwłaszcza w tak długiej perspektywie. Od najmłodszych lat służyłem przy ołtarzu, więc kościelne formuły weszły mi głęboko do głowy. Poza tym ministranci znają sposób funkcjonowania Kościoła od zakrystii i coś na tym tracą. Przypomina to trochę oglądanie filmu z perspektywy reżysera. Trudno wejść w fabułę, bo rozpoznaje się metody kręcenia, twarze statystów itp. Nawet podczas gali otwarcia festiwalu wszystko będzie wyglądało pięknie na scenie, ale za kulisami trwa praca wielu osób, które mają dylematy i problemy. Sceniczna magia do końca nie działa, gdy się wie, co się dzieje z tyłu. To porównanie najlepiej oddaje doświadczenie bycia ministrantem przez 12 lat.

Na ile te przeżycia wpłynęły na pomysł realizacji „Ministrantów"?

– Na pewno dzięki zgromadzonym doświadczeniom z tamtego okresu mogłem wiarygodnie sportretować Kościół od tzw. zakrystii. Lubię opowiadać historie, z którymi mogę się utożsamić, lub takie, które mogę przedstawić w sposób autentyczny. „Ministranci" to właśnie ten przypadek. Sama fabuła nie ma jednak wiele wspólnego z moimi przeżyciami. Kiedy pisałem scenariusz, pomyślałem sobie, co by było, gdyby dzisiaj pojawiła się taka postać jak Jezus. I rozwinąłem ten pomysł w filmie. Główny bohater, Filip, młody człowiek wychowywany przez samotną matkę, nigdy nie poznał ojca. Odkrywa u siebie rodzaj powołania i będąc w nieustannym dialogu z siłą wyższą, postanawia poświęcić życie dla zmiany lokalnej społeczności. To współczesna adaptacja historii z Nowego Testamentu.

„Ministranci" są jednocześnie opowieścią zaangażowaną społecznie. Skąd bierze się u ciebie zacięcie do takiego kina?

– To chyba wynika z faktu, że muszę uwierzyć w swoich bohaterów, w to, że sytuacje, które pokazuję na ekranie, mogły komuś się przytrafić. Trudno o lepszy wzorzec niż wczesne filmy braci Dardenne czy kino Kena Loacha, którego bardzo cenię. A w co mogę uwierzyć ja jako dzieciak wychowany na blokowisku we wschodniej Polsce? Znam takie realia, dlatego wierzę w określone rzeczy. Ktoś z innym bagażem społecznym opowie zupełnie inne historie. Zawsze też podkreślam, że moim ulubionym filmem jest „Manchester by the Sea". Pokazana tam społeczność wydaje się całkowicie realna i choć ekranowa opowieść nie wydarzyła się naprawdę, dzieje się codziennie w tysiącu miast. Bardzo bym chciał, żeby tak samo było z moimi filmami. Podsumowując, lubię kino, które omija publicystykę, ale wchodzi w dialog z bliską mi rzeczywistością. Pewnie dlatego nie robię filmów o potentatach branży modowej, bo ich świata po prostu nie znam.

W Polsce nie mamy jednak dobrego kina społecznego, bo filmy o ludziach nieuprzywilejowanych ekonomicznie najczęściej pokazują różne patologie. Brakuje im wyczucia.

– Robienie filmów o tematyce społecznej nie jest proste. Sytuacje ekstremalne znacznie łatwiej przebijają się do świadomości widzów, docierają szerzej, dlatego naturalnie

Piotr Domalewski – (ur. w 1983 r.) zdobył dyplom aktora sztuki lalkarskiej w Białymstoku, na wydziale zamiejscowym Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie, a potem ukończył aktorstwo na PWST w Krakowie. Jest absolwentem reżyserii na Wydziale Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Jego pełnometrażowy debiut „Cicha noc" wygrał Złote Lwy na FPFF w Gdyni oraz 10 Orłów. Film „Jak najdalej stąd" przyniósł mu nagrodę za scenariusz w Gdyni i Paszport „Polityki".

eprasa.pl 75f64d8cea

ciągnie nas do opowiadania w ten sposób. Ja jednak staram się uprawiać kino społeczne po swojemu. Posłużę się przykładem wspomnianego giganta modowego. Może i dałbym radę zrobić o nim film, ale pod jednym warunkiem. W domu bohatera pracowaliby np. sprzątaczka lub ogrodnik. I to z ich punktu widzenia opowiadałbym o świecie wielkich pieniędzy i mody. Potrzebuję odpowiedniej perspektywy, którą daje mi spojrzenie ludzi z niższych szczebli drabiny społecznej.



Kadry z filmu "Ministranci".



Bohaterowie „Ministrantów", Filip i jego przyjaciel Gustaw, mieszkają w małym mieście. Pochodzą jednak z bardzo różnych domów. Czujesz, że zbyt łatwo zapominamy o dzielących nas różnicach klasowych i ekonomicznych?

– Uważam, że jako kraj zachłysnęliśmy się propagandą sukcesu w stylu zachodnim. Według tego modelu, kiedy już dostaniesz się na szczyt, nie możesz oglądać się wstecz. I tu zaczyna się problem. Jeśli ktoś wybije się ponad przeciętność, ma się zachowywać tak, jakby rzeczywistość, z której wyrósł, nie istniała. To absurdalne podejście, ale naprawdę je w sobie mamy. A zarazem jesteśmy niezwykle empatyczni jako naród. Te dwie rzeczy stoją w sprzeczności i trudno je wytłumaczyć.

Młodzi bohaterowie postanawiają coś zmienić, sfrustrowani tym, jak wygląda ich rzeczywistość. Czy uświadomienie sobie niesprawiedliwości świata jest jednym z najważniejszych etapów dojrzewania?

Mamy obraz Kościoła, który przebija się do mediów, ale mamy też mniejsze parafie i lokalne społeczności. To dwa światy.

– Nie jestem ekspertem w tych kwestiach, ale moje doświadczenia podpowiadają mi, że to dopiero pierwszy etap. Najważniejsze jest pogodzenie się z opisanym stanem, bo inaczej człowiek się nie ukonstytuuje. Aby żyć w harmonii ze sobą, trzeba spozycjonować się w szerszym kontekście społeczności i świata. Zależy, jaki ma się punkt odniesienia. Czasami trzeba też zrozumieć, że nie ma się ostatecznie wpływu na niesprawiedliwy kształt rzeczywistości. Można tylko pchać swój wózek. To chyba kluczowe odkrycie dorosłości, które często ma rozczarowujący charakter i wiąże się z kompromisem. Powiedziałbym nawet, że najbardziej dramatyczny moment dorastania to uświadomienie sobie, że nie wszystko jest czarno-białe, a więc doświadczenie istoty relatywizmu. Najważniejsze, aby przebyć drogę od tego dramatu do rozpoznania go, nazwania w nim siebie i pogodzenia się z tym.

Ważne miejsce zajmuje relacja Filipa z matką, alkoholiczką. Motyw dysfunkcyjnych, rozdzielonych czy niepełnych rodzin wraca w twoim kinie. Dlaczego?

– Sądzę, że funkcjonowanie w rodzinie ma nam dawać pierwotne bezpieczeństwo. Jeżeli jest zaburzone, człowiek nie dostaje fundamentalnych narzędzi, których potrzebuje w dorosłości. Można się nie zgadzać z moją obserwacją, ale wydaje mi się, że każde nasze działanie w dorosłym życiu zostaje zdeterminowane przez rozmaite braki. Wybieram daną drogę, ponieważ zostałem wyposażony w konkretny zestaw narzędzi. Otrzymałem je jednak wskutek deficytów, nie profitów.

FOT. MAJA BUŁKOWSKA, ŁUKASZ BĄK/ NEXT FILM, MICHAŁ CHARYTON/ NEXT FILM

eprasa.pl 75f64d8cea

Może to niesprawiedliwe podejście, ale mam wrażenie, że taki mechanizm funkcjonuje przynajmniej w naszym kraju. Pewnie dlatego wracam do tematu dysfunkcyjnych rodzin. Mój wybór jest też bardzo osobisty. Nawet jeżeli nie opowiadam swojej historii bezpośrednio, to opowiadam o kimś, kogo znam, kogo miałem szansę obserwować lub kogo losy mnie dotknęły. Ostatecznie wszystkie dramaty można by napisać o rodzinie. Większość sztuk Szekspira oraz antycznych tragedii dotyczy rodziny.

W filmie zwraca też uwagę brak męskich autorytetów. Mamy ojców nieobecnych, przemocowych lub duchownych, którzy nie są zbyt dobrymi wzorami. Taka diagnoza wynika z twoich prywatnych obserwacji? A może nawiązujesz do współczesnych refleksji nad kryzysem męskości?

– Wszystkie wielkie religie są właściwie o braku ojca. Od czasów starożytnych ich wyznawcy starają się przewidzieć oczekiwania wielkich patriarchów i im sprostać. Bóg za każdym razem jest jednak milczącym monolitem. Skoro się nie odzywa, to może się obraził? Jak wybuchał pożar, to nasi przodkowie sądzili, że pewnie Bóg jest na nich zły, a jak świeciło słońce, spadł deszcz i urosło zboże, myśleli, że patrzy na nich przychylnie. Każda religia mówi więc o deficycie relacji z ojcem i stąd wziął się ten wątek w filmie.

Wszystkie wielkie religie są właściwie o braku ojca.

Zagłębiałeś się bardziej w realia współczesnego Kościoła, żeby wiarygodnie oddać świat małej parafii na ekranie?

– Znam realia Kościoła całkiem nieźle. Wywodzę się ze społeczności o silnie katolickiej tradycji. Nie mógłbym wręcz funkcjonować wśród znajomych z rodzinnych stron bez tego religijnego elementu, który jest tam ważną częścią życia. Nie chciałem jednak bardzo konkretnie odnosić się do problemów Kościoła, bo nie tworzę reportaży ani filmów dokumentalnych. Poza tym to nie jest moje zadanie jako twórcy. Jedno, na czym mi zależało, to pokazanie, że wszyscy są bezradni w Kościele jako wielkiej, zinstytucjonalizowanej strukturze. Kościół jako organizacja pędzi do przodu i trudno go zatrzymać. W „Ministrantach" żadna postać nie jest więc zła z zasady – no, może zły jest ojciec Dominiki, ale u podstaw jego przemocowego zachowania też pewnie leżą deficyty. W tym kontekście ciekawe są ostatnie słowa proboszcza do Filipa. Można je zinterpretować tak, że w kościelnej strukturze nie ma miejsca na ekstremizmy. Bo zachowanie chłopaka staje się ostatecznie radykalne.

Ale słyszymy kazanie rekolekcjonisty, które zahacza o radykalizm. Z ambony padają hasła, że jesteśmy ostatnim bastionem chrześcijaństwa, że zaraz przyjdzie na nas ciemność ze Wschodu.

– Myślę, że ekstremizmy biorą się właśnie ze zbyt dosłownego odczytania pewnych wskazań. Warto jeszcze zwrócić uwagę na fakt, że mamy szerszy obraz Kościoła, który przebija się do mediów, ale mamy także mniejsze parafie i lokalne społeczności. To są dwa różne światy.

Potrzebuję odpowiedniej perspektywy, którą daje mi spojrzenie ludzi z niższych szczebli drabiny społecznej.

Można to porównać wyłącznie do sceny politycznej, którą tworzą rząd i parlament oraz lokalne samorządy. Reprezentanci tej samej partii na szczeblu krajowym i lokalnym będą formułować dwa kompletnie wykluczające się przekazy. W Kościele wygląda to podobnie.

Filip i jego koledzy bardzo dosłownie traktują biblijne nauki, co może być niebezpieczne i skończyć się uproszczoną wizją świata. Czy chrześcijańskie idee są aktualne i potrzebne poza Kościołem? A może trochę za łatwo porządkują rzeczywistość, tworzą zbyt jaskrawe podziały?

– Chciałbym znać odpowiedź na to pytanie. Teraz mogę podsunąć tylko pojedyncze tropy. Celowo pominę Stary Testament, który nazwałbym raczej pismem historycznym, kroniką pewnej społeczności. Myślę natomiast, że Nowy Testament stanowi rodzaj filozofii. To filozofia dobra, otwarcia na drugiego człowieka, która z pewnością jest cenna. Pytanie brzmi, czy człowiek w swojej czysto biologicznej naturze ma zapisany rodzaj idealizmu i humanizmu. Nad tą kwestią obecnie się zastanawiam, ponieważ czytam dużo książek o kapitalizmie – kapitalizm interesuje mnie jako zjawisko, które jest odpowiednikiem religii. Uważam, że naturalną właściwością gatunku ludzkiego jest podążanie za kapitalistycznymi regułami, tzn. nieskończone gromadzenie środków i zasobów. Zwłaszcza kosztem innych. W tym kontekście chrześcijańskie idealistyczne przesłanie staje się bezbronne wobec rzeczywistości, ponieważ wyklucza się z kapitalizmem. Co więcej, sądzę, że kapitalizm jest humanistyczny dopiero wtedy, gdy humanistyczna postawa sprzyja jego rozwojowi, gdy troska o słabsze jednostki przyniesie zysk. To jest dopiero radykalny system.

Czyli humanistyczna myśl zapisana w Nowym Testamencie byłaby potrzebna, żeby zrównoważyć ciemne strony kapitalizmu?

– Może stąd bierze się potrzeba przynależności religijnej, że musimy sobie jakoś zrekompensować niedoskonałość natury ludzkiej i kapitalizmu. Bo jaką wartość ma wspólnota w przełożeniu na pieniądze? Żadną. Grupa ludzi, z którymi możemy się utożsamić, ponieważ wiedziemy podobny los lub podobnie tłumaczymy sobie negatywne zjawiska, daje nam wentyl bezpieczeństwa. Moim zdaniem to wspólnota daje ratunek przed przytłaczającą rzeczywistością.

Wojciech Tutaj

eprasa.pl 75f64d8cea

KURTYNA W GÓRĘ

Hipisi i następcy



Nigdy nie byłem hipisem, zawsze z pewnym dystansem obserwowałem ruch, w którym bezinteresowność sąsiadowała z naiwnością, a otwartość z zawziętą niechęcią do świata. Mimo to dostrzegałem nie tylko wywrotową, ale i twórczą siłę ruchu, który odcisnął piętno na naszym myśleniu o świecie. Tę myśl, wydaje się, mieli za przewodnią twórcy spektaklu „Era Wodnika" w Dramatycznym, co poświadcza podążanie głównego bohatera, młodego aktora (Paweł Tomaszewski), śladami ojca, który przed laty znikł z jego życia, pozostawiając zawstydzające ślady po uderzeniu w twarz i ucieczce od rodziny. Bohater chce zrozumieć ojca, pojąć istotę ruchu, ale ponieważ nie bardzo wiemy, kim jest, jego opowieść toczy się nieskładnie, a chwilami niemrawo. Zresztą i pozostałe postacie rysują się mgliście, toteż całość tej historii – a zwłaszcza część o dzieciach kwiatach PRL – brzmi mało wiarygodnie.

Spektakl broni się widowiskowo w drugiej części, znakomita jest też partia Krzysztofa Szczepaniaka, który opowiada o nowym bożku współczesności, czyli gospodarce. Gorzko-zabawnie brzmią rozterki Gandhiego (Mateusz Weber) i Johna Lennona. Trudno jednak dociec, jakie nieznane i niebanalne strefy mitu hipisowskiego „Era Wodnika" odkrywa. Dlaczego bogini wyleguje się na ogromnym grzybie? Dlaczego, skoro spektakl miał ukazywać następców dzieci kwiatów, ani słowa w nim o Ostatnim Pokoleniu? Wygląda na to, że scenarzysta zadowolił się powierzchownymi obrazkami, naskórkowymi obserwacjami, komiksowo-muzycznym pejzażem doświadczenia niegdysiejszych buntowników. To chyba za mało jak na złożoną obietnicę ukazania tego, „co zostało z ich marzeń o wolności, wspólnocie, duchowym przebudzeniu".

Parę lat temu Krystian Lupa w „Imagine" podjął próbę rozliczenia generacji dzieci kwiatów i odpowiedzi na pytanie, dlaczego ich marzenie o świecie bez wojny i głębokich podziałów okazało się ułudą. Mocna to była przestroga przed odrodzeniem się demonicznych sił przemocy, niczym komentarz do wojny rozpętanej przez Putina. „Era Wodnika" nie idzie tym tropem.

Tomasz Miłkowski

Jarosław Murawski, „Era Wodnika", reżyseria Małgorzata Warsicka, Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy, spektakl 14 października 2025

BYLIŚMY



Ptaki krzyczą nieustannie

7 listopada w Ełckim Centrum Kultury miała miejsce premiera monodramu „Ptaki krzyczą nieustannie" w reżyserii Michała Telegi. Inspiracją jest historia Günthera Niethammera – ornitologa, naukowca, jednocześnie esesmana z Auschwitz, opisana przez Beatę Dżon-Ozimek i Michała Olszewskiego. W ich książce w dialog wchodzą przeszłość i współczesność, nauka i sumienie, piękno natury i okrucieństwo ludzkich czynów, reżyser buduje przestrzeń sceniczną na styku obrazu, dźwięku i słowa. W tym środowisku obserwujemy aktora, przejmującego Grzegorza Sierzputowskiego. Monodram łączy teatr, performance i sztukę wideo. Twórcy stawiają pytania o banalność zła, granice empatii i odpowiedzialności. Czy można prowadzić badania naukowe w cieniu takiego cierpienia? Czy historia może nas jeszcze czegoś nauczyć? *(bdo)*

NA EKRANACH

Bugonia,

reż. Yórgos Lánthimos, prod. USA/Korea Południowa/Irlandia/Kanada/Wielka Brytania, już w kinach

Najnowszy film reżysera m.in. „Biednych istot" i „Faworyty" to kino pełne kontrastów. Walka „dobra" ze „złem" miesza się tu ze zderzeniem klasy niższej z wyższą. „Bugonia" opowiada o szefowej koncernu (Emma Stone) porwanej przez dwóch kuzynów. Powód? Nie interesują ich pieniądze, oni uważają, że ich ofiara jest kosmitką. No i się zaczyna… „Bugonia" to w jakimś stopniu „Eddington" Ariego Astera na bis. Niektóre pomysły





reżysera są porywające (szczególnie warto zwrócić uwagę na zakończenie), tyle że przydługa ekspozycja wpływa na dynamikę filmu, do tego widać, że twórca zaczyna się powtarzać. I nie powinno to nikogo dziwić, co roku mamy jego kolejny film. Panie Lánthimos, pański najnowszy projekt to wciąż jazda bez trzymanki, niezła, ale przyda się panu kilka dni, a może i tygodni urlopu. Tak będzie lepiej dla wszystkich. *Jan Tracz*

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

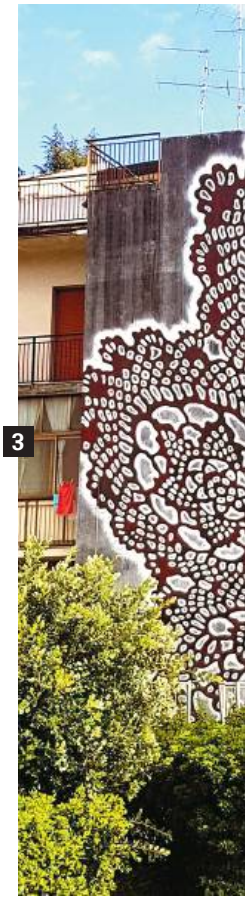
FOT. KAROLINA JÓŹWIAK, ŁUKASZ KLIMOWICZ, MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl 75f64d8cea



1

1. **W pracowni,** obrazy z serii Illegals, 2022--2025. Warszawa.
2. **Halmstad, Szwecja,** 2023. Na zamówienie urzędu miasta.
3. **Valverde, Sycylia,** 2018. Dla Emergence Festival.
4. **Ploeszti, Rumunia,** 2025. Dla Artown Now Festival.
5. **Cincinnati, USA,** 2022. Dla Blink Festival.
6. **Aberdeen, Szkocja,** 2025. Dla NuArt Festival.
7. **Bradford, Wielka Brytania**, 2024. Dla Bradford 2025 UK City of Culture.



3

Koronkowa biżuteria miejska



2



4

NeSpoon to polska artystka działająca na styku urban artu, ceramiki i malarstwa. Jej najbardziej znanym projektem jest „Harmony" – urban art inspirowany sztuką koronkarską. Korzystając z ograniczonej palety barw z dominującą bielą, NeSpoon tworzy wielkoskalowe murale, nielegalne graffiti szablonowe, efemeryczne instalacje site-specific i obiekty ceramiczne, zwane biżuterią miejską, których jest pionierką. Jej prace zdobią przestrzenie publiczne ponad 100 miast w 45 krajach. Można je było zobaczyć m.in. w Muzeum Louvre-Lens, w Parlamencie Europejskim czy w pawilonie polskim podczas Expo 2020 w Dubaju.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl/675f64d3cea



5



6





7



eprasa.pl 75f64d8cea

ZIELONA STRONA MOCY

Joanna Jurga

My, miastowi, chcemy widzieć drzewa za oknem, słyszeć śpiew ptaków w ich koronach, mieć gdzie wyjść z psem na spacer i móc nacieszyć oko kwietną rabatą na skwerku. Lubimy łąki kwietne, pergole, skalniaki i zielone fasady. Część z nas jest nawet świadoma tego, że w upalny dzień w cieniu drzew jest o 6 st. chłodniej i że zieleń w naszym otoczeniu to nie tylko dom dla wielu tysięcy gatunków istot nieludzkich, ale to także lepsza jakość powietrza, naturalne panele akustyczne, naturalne regulatory wilgoci w gruncie czy zapory przeciwpyłowe. (...)

Jednak mimo tej teoretycznie powszechnej wiedzy na temat dobroczynnego działania roślin w naszym otoczeniu zachowujemy się jak twórcy bonsai (przepiękna japońska sztuka ogrodnictwa w mikroskali), dopuszczając ją tylko w wydaniu przez nas zaakceptowanym, czyli: drzewa – tak, pod warunkiem że nie zabierają nam miejsc parkingowych dla naszych ukochanych samochodów, ptaki – tak, pod warunkiem że nie zanieczyszczają odchodami naszych ukochanych samochodów. (...).

•

Do dobrego, zdrowego życia w mieście potrzebujemy jego zielonych płuc: szpalerów drzew, zielonych skwerów, a nawet przypadkowych krzaków, chwastów i butwiejących liści. I mamy wiele przykładów metropolii, których zielone rozwiązania możemy naśladować. Miasta, uznawane za najlepsze do życia, zapraszają mieszkańców do licznych parków i ogrodów miejskich, a także na bulwary, zielone dachy czy nawet na ścieżki przyrodnicze, spełniające nie tylko funkcje rekreacyjne, ale i edukacyjne.

Do najbardziej zielonych miast na Starym Kontynencie zalicza się Wiedeń, którego ponad połowę powierzchni zajmują tereny zielone: piękne parki, ogrody i lasy miejskie. Zielony vibe ma także Oslo, otoczone lasami i fiordami, z doskonałym dostępem do przyrody. Lublana



Do dobrego życia w mieście potrzebujemy szpalerów drzew, ale też przypadkowych krzaków i chwastów

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 75f64d8cea

– zielona stolica Europy 2016 – słynie z rozbudowanej sieci ścieżek rowerowych i pieszych oraz zjawiskowych nadrzecznych terenów spacerowych, harmonijnie łączących przyrodę z życiem miejskim. Nie mniej popularne są Kopenhaga – miasto zielonych skwerów i nadrzecznych promenad, przyjazne rowerzystom i pieszym oraz Helsinki – stolica otoczona lasami i archipelagiem wysp, z pięknymi parkami i ogrodami botanicznymi. Uniwersyteckie miasto Växjö (Szwecja), znane z ambitnych celów w zakresie zrównoważonego rozwoju i ekologii, nie bez przyczyny otrzymało tytuł „Najzieleńszego Miasta w Europie" – połowa jego powierzchni jest pokryta lasem. To także pierwsze nowoczesne miasto, w którym niemal 50% nowych budynków komunalnych zostało wykonanych… z drewna.

W wielu krajach wdrażane są badania wokół wykorzystania dźwięków natury, takich jak szum płynącej wody, do zagłuszania miejskiego hałasu, np. rozmów czy zgiełku ulicy. Dowiedziono już, że maskowanie dźwięków wpływa na uczucie ulgi akustycznej. Dobrym przykładem jest tu Paley Park w Nowym Jorku, który w elegancki sposób rozwiązuje problem braku dostępu do zieleni i hałasu w miejskiej dżungli. W 1967 roku pustą działkę na Manhattanie przekształcono w niewielki park publiczny (tzw. park kieszonkowy). W tym przypadku przestrzeń została zaprojektowana przez studio Zion & Breen tak, aby hałas ulicy był zagłuszany przez szum wody z wodospadu na drugim końcu działki. Co więcej, wolno stojące krzesła pozwalają zbliżyć się do wodospadu i dowolnie regulować poziom słyszalnego hałasu, w sposób naturalny sprzyjają też interakcjom społecznym. (…)

•

Na architektoniczne salony na trwałe wprowadziła roślinność biofilia. Za pioniera i głównego propagatora tego podejścia uważa się Edwarda O. Wilsona. Ten amerykański biolog i myśliciel w 1984 r. opublikował pracę „Biophilia", w której zdefiniował to pojęcie jako wrodzoną ludzką tendencję do poszukiwania więzi z naturą. Wilson argumentował, że kontakt z naturą jest niezbędny do zachowania zdrowia psychicznego i fizycznego człowieka, a także do jego rozwoju intelektualnego i duchowego. Podejście biofilijne kładzie nacisk na włączenie elementów natury do środowiska zabudowanego.

Bosco Verticale w Mediolanie to przykład, jak wprowadzać zieleń do budynków mieszkalnych w miastach, korzystając z możliwości technologii.

Jedną z wielu chorób cywilizacyjnych stał się analfabetyzm przyrodniczy.

W praktyce przejawia się w tworzeniu zrównoważonych i harmonijnych przestrzeni, które integrują komponenty natury, takie jak rośliny, naturalne światło, woda czy organiczne materiały, aby podnieść dobrostan ludzi i poprawić ich relacje z otoczeniem. Brzmi całkiem… naturalnie, wręcz jak oczywista oczywistość. Zawsze trochę mnie bawi, że rzeczy pojmowane intuicyjnie, zrozumiałe same przez się, muszą mieć swoją akademicką nazwę i że ktoś musi nam o nich przypomnieć, gdy za bardzo się rozpędzimy w pogoni za nowoczesnością i szeroko pojętym transhumanizmem.

Główne założenia biofilii w architekturze odnoszą się właściwie do samej idei architektury i obejmują w głównej mierze bezpośredni kontakt z naturą (wprowadzenie do wnętrz roślin, światła dziennego, wody, naturalnych materiałów i zapachów) oraz pośredni (wykorzystanie kształtów, wzorów i kolorów inspirowanych naturą, np. organiczne kształty, fraktale, kolory ziemi).

Kolejnym ważnym założeniem jest tworzenie przestrzeni, które odzwierciedlają zmienność natury, np. zmieniające się oświetlenie, ruch powietrza czy jej dźwięki. Istotne będzie tu również uwzględnienie lokalnego kontekstu przyrodniczego i kulturowego, a także zastosowanie materiałów oraz gamy kolorystycznej charakterystycznej dla danej lokalizacji geograficznej (oznacza to dobór barw zgodny z naturalną paletą regionu i dostosowany do kąta padania promieni słonecznych).

Wykorzystanie powyższych zasad przynosi wiele korzyści. Po pierwsze, poprawia jakość powietrza i zdrowie fizyczne mieszkańców, pomagając w redukcji stresu, obniżeniu ciśnienia krwi oraz zachęcając do podejmowania aktywności fizycznej na zewnątrz. Korzystnie wpływa również na zdrowie psychiczne – podnosi nastrój oraz zwiększa poczucie szczęścia i satysfakcji z życia. Z kolei w pracy czy nauce zwiększa produktywność i kreatywność ludzi, wyostrzając ich koncentrację oraz stymulując twórcze myślenie. Ponadto sprzyja wzmocnieniu więzi społecznych, tworząc przestrzenie, które zachęcają do interakcji i współpracy. Na koniec, wpływa na zrównoważony rozwój, pomagając oszczędzać energię, wodę oraz promując używanie ekologicznych materiałów.

I pewnie nie zdziwi was to, że na świecie mamy już całkiem sporo realizacji utrzymanych w tym biofilijnym nurcie. Najgłośniejsze są chyba dwie wieże w dzielnicy Porta Nuova w Mediolanie, nazwane Bosco Verticale. Kompleks ten, oddany do użytku w październiku 2014 r., jest pokryty bujną roślinnością i przypomina trochę wiszące ogrody albo pionowy las liczący 900 drzew w centrum miasta. Projekt, bez wątpienia innowacyjny i wizualnie bardzo atrakcyjny, wzbudził jednak wiele kontrowersji, w tym obawy związane z niekontrolowaną wilgocią w budynkach oraz… potencjalną inwazją owadów.

(…) Jeśli chcemy cieszyć oko i koić nerwy widokiem bujnej roślinności, musimy zgodzić się na obecność owadów w naszym ekosystemie. Nie da się grać w zielone, nie akceptując naturalnych zasad tej gry. A szanownym krytykom mediolańskich leśnych wież donoszę, że ich mieszkańców nie atakują pszczoły, a mieszkań nie pokryły pajęczyny. Bosco Verticale stanowi imponujący przykład tego, jak wprowadzać zieleń do budynków mieszkalnych w miastach, korzystając z możliwości, jakie stwarza współczesna technologia, która pozwala na robienie tego w pionie. Wykorzystane drzewa i krzewy filtrują powietrze, redukują hałas, zapewniają

eprasa.pl 75f64d8cea

siedliska dla ptaków i owadów, udowadniając, że antropocentryczne nie zawsze znaczy tylko egoistyczne.

Drugim moim ulubionym przykładem jest Szpital Khoo Teck Puat w Singapurze – z ogrodami na dachu, wodospadami i zielonymi ścianami, które tworzą terapeutyczne środowisko dla pacjentów i personelu. To jeden z czołowych przykładów przestrzeni i obiektów zaprojektowanych w duchu Healing Environment, czyli środowiska leczniczego. Jest ono definiowane jako takie, które ma działanie wspierające proces zdrowienia. Badania pokazują, że dobrze zaprojektowane środowisko szpitalne wspiera pacjentów i ich rodziny w radzeniu sobie ze stresem związanym z chorobą, hospitalizacją, wizytami lekarskimi, procesem leczenia, a czasem żałobą. Przyspiesza powrót do zdrowia, skraca czas hospitalizacji, zmniejsza zużycie leków, łagodzi ból i poprawia samopoczucie. Na poziomie organizacyjnym terapeutyczne środowisko może pomóc w ograniczeniu kosztów poprzez poprawę wyników leczenia pacjentów, skrócenie czasu pobytu w szpitalu oraz zwiększenie rekrutacji personelu, jego satysfakcji i produktywności.

Co ciekawe, nawet pracodawcy o tak złej sławie jak Amazon potrafią inwestować w przestrzenie, które będą miały dobroczynny wpływ na pracowników (głównie wyższego szczebla). Amazon Spheres w Seattle to siedziba Amazona z trzema szklanymi kopułami wypełnionymi roślinami z całego świata, tworzącymi unikatową przestrzeń pracy inspirowaną naturą. Prawdziwy przykład wykorzystania neuroarchitektury w praktyce… dla wybranych.

•

Jedną z wielu chorób cywilizacyjnych, obok depresji czy cukrzycy, stał się także analfabetyzm przyrodniczy, czyli całkowity brak umiejętności pojmowania języka natury i posługiwania się nim – orientacji i nawigacji w terenie, rozpoznawania gatunków zwierząt i roślin czy pojmowania reguł cykliczności w przyrodzie. Zatraciliśmy też rozumienie tego, co natura nam robi i dlaczego jest dla nas tak ważna.

W krajach skandynawskich, gdzie śnieg, lasy i fiordy są naturalnym dopełnieniem szkolnej ławki, edukacja przyrodnicza ma swoje szczególne znaczenie. Dzieci uczą się świata nie z podręcznika, ale własnymi zmysłami – dotykając kory drzew, rozpoznając ślady zwierząt w śniegu czy obserwując, jak zmieniają się pory roku nie w teorii, lecz w realu. Część zajęć odbywa się na łonie natury, bo Skandynawowie doskonale rozumieją, że aby naprawdę nauczyć się przyrody, trzeba w niej być, a nie tylko o niej czytać.

To podejście wynika z filozofii *friluftsliv* – głęboko zakorzenionej w północnych społecznościach idei życia na świeżym powietrzu, blisko natury, będącej kluczowym elementem edukacji i codziennego życia. Gdy od najmłodszych lat żyje się w bliskości i szacunku do przyrody, naturalnie kształtuje się z nią więź oraz umiejętność harmonijnego współistnienia ze światem – coś, co my stopniowo tracimy.

Może warto podnieść głowy znad książek i ekranów, zanim na dobre przestaniemy rozumieć mowę lasu? Ten organiczny związek z naturą nie kończy się jednak na edukacji – przenika również do skandynawskiej architektury, która harmonijnie wpisuje się w krajobraz, zamiast go dominować. Budynki, często wykonane z lokalnego drewna i kamienia, odzwierciedlają surowe piękno otaczającej przyrody, a wielkie przeszklenia pozwalają chłonąć jej surowe piękno i naturalne światło. To podejście wynika nie tylko z estetyki, ale też z głębokiego przekonania, że człowiek i natura powinni współistnieć w równowadze, architektura ma być zaś jej naturalnym przedłużeniem, a nie konkurencją.

Dlatego warto docenić tendencję, że coraz więcej architektów i projektantów chwyta biofilijny *vibe* i rozmyślnie wprowadza naturalne elementy do środowiska zbudowanego. W ten sposób powstają wokół nas przestrzenie bardziej zrównoważone, zdrowe i przyjazne człowiekowi, co pokazuje, że zmiana narracji i kolektywnej świadomości potrafi zmieniać jakość życia dużych grup ludzi.

Kto nie wierzy, niech koniecznie odwiedzi Bibliotekę Uniwersytetu Warszawskiego (BUW) na warszawskim Powiślu, która została oddana do użytku 5 grudnia 1999 r. i jest uznawana za jeden z najlepszych przykładów architektury postmodernistycznej w Polsce. BUW słynie nie tylko z bardzo dobrej przestrzeni do nauki i bogatych zasobów książkowych, ale również, albo przede wszystkim, z jednego z największych i najpiękniejszych ogrodów dachowych w Europie. Składa się on z dwóch części: górnej (o powierzchni 2 tys. m kw.) i dolnej (o powierzchni 15 tys. m kw.), gdzie główną atrakcję stanowią staw, fontanna oraz granitowe rzeźby Ryszarda Stryjeckiego z cyklu „Szkic sytuacyjny", nawiązujące do motywów kosmologicznych. Jest to jedyny taki teren zielony w Warszawie, który nie tylko daje szansę obcowania z przeróżnymi gatunkami roślin, ale także oferuje widok na prawobrzeżną część stolicy. Ogród BUW jest wykorzystywany jako sceneria do koncertów i happeningów, kina letniego i gier miejskich. Stał się ulubionym miejscem studentów i mieszkańców na spacery, randki, odpoczynek na trawie czy sesje ślubne. Co dowodzi, że tereny zielone wkomponowane w bryłę budynku nie tylko poprawią jego walory wizualne czy ekologiczne, ale również tworzą tak ważną przestrzeń integracji społecznej. (…)

Projektując przestrzenie, które harmonijnie wpływają na zmysły, dają poczucie bezpieczeństwa i otwierają nas na kosmos, możemy zupełnie inaczej spojrzeć na to, jak „mieszkamy" na tej planecie.

Bibliotekę Uniwersytetu Warszawskiego z jednego z największych i najpiękniejszych ogrodów dachowych w Europie.



Fragmenty książki Joanny Jurgi *Hotel Ziemia. Żyć i mieszkać dobrze*, Powergraph, Warszawa 2025

eprasa.pl 75f64d8cea

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Usuwam ze znajomych raczej pragmatycznie, najczęściej zmarłych, aby zrobili miejsce żywym, bo dawno już się obijam o fejsbukowy limit 5 tys. Trzeba mnie naprawdę zirytować w stopniu nieodwracalnym, abym wykluczył z grona znajomych kogoś z aktywnym kontem, właściwie to najpierw samemu trzeba się wykluczyć z grona osób cywilizowanych. Takoż najczęściej i najchyżej oczyszczam swoją listę społecznościowych ziomków 11 listopada, wtedy bowiem wszyscy nacjonaliści wyłażą ze swoich kątów, wyciągają z kanciap sztandary i przestają się ukrywać z poglądami. Owszem, profilaktycznie zostawiam sobie gagatków od lat manifestujących wartości, których sam nie wyznaję – nie chodzi wszak o to, by się zamykać w ideologicznej bańce i pić sobie z dzióbków, lubię mieć wgląd także w umysły zaczadzone, zwłaszcza że w tym czadzie z grubsza połowa Polski tkwi, oddycha nim i jakoś nie pada trupem. Czyszczę moje towarzystwo w soszialach z tych, którzy w noce i dni powszednie wiodą żywot skromnych everymanów, nie pyszczą na imigrantów, nie chcą wieszać Tuska, nie wymachują krucyfiksami i zdają się człekami całkiem poczciwymi, ale raz do roku w masie biało-czerwonej brunatnieją, równają marszowy krok, odpalają race i nienawistnym tonem krzyczą o miłości do ojczyzny. W dodatku na pytania zaskoczonych krewnych i znajomych, co im odbiło, że pojechali z nackami na pochód, odpowiadają mantrą prawicowej propagandy: „To wspaniała rodzinno-patriotyczna inicjatywa, na tym marszu byli w głównej mierze rodzice z dziećmi".

To, że były tam dzieci, nie świadczy o familijnym charakterze wydarzenia: niektórzy fani horrorów nie mają komu podrzucić dzieciaków, więc zabierają je ze sobą do kina na slashery. Alkoholicy urządzają jak najbardziej rodzinne libacje, w których dzieciaki uczestniczą także jako kurierzy na melinę, kiedy wóda lub siły domowników się skończą. Rodziny z dziećmi w dawnych czasach setnie się bawiły na publicznych egzekucjach. A w takiej Ugandzie morderczą i ludobójczą Armię Bożego Oporu tworzyły wyłącznie dzieciaki. Generalnie dzieci są z natury okrutne, nie ma się co nimi zasłaniać. Jeśli socjalizacja naszych milusińskich wiodła będzie 11 listopada przez most Poniatowskiego, to nam wyrosną w najlepszym razie na kibolstwo zaciężne, gustujące w ustawkach i racowiskach, w najgorszym zaś – na uzbrojonych faszystów.

Pomnę, jak niegdyś znajomy operator nakręcił „Niebieskie Chachary", film o kibicach Ruchu, w którym i mnie się zdarzyło wystąpić w mniejszościowym charakterze tzw. normalsa. W najbardziej wstrząsającej scenie tego dokumentu ojciec wpaja małoletniemu dzieciakowi, że ma szanować tradycję, ergo pielęgnować przechodzącą z pokolenia na pokolenie nienawiść do Górnika Zabrze. Takie to rodziny z dziećmi w głównej mierze tworzyły patriotyczną atmosferę między rondem Dmowskiego a Stadionem Narodowym.

Marsz idzie na wschód, bo i Wielka Biała Polska coraz bardziej ma się ku Wschodowi, na głos tego nie powie, ale imponuje jej Putinowski totalitaryzm, chętnie by się przyłączyła do jakiejś krucjaty przeciw Brukseli, zgniłej i bezbożnej Unii Europejskiej. Kolejne bożyszcza prawackiego tłumu uciekają pod połę Orbánowskiego szynela, zatem sojusz z Moskwą wcale nie byłby taki zły, trzeba tylko tych ruskich jakoś przekonać, że Polsza nie zagranica, jak kurica nie ptica, że w gruncie rzeczy my tacy sami, w wódzie i krwi kąpać się lubim. Lecz tak naprawdę ten tłum ciągnie do stadionu, marzy mu się Polska jako jeden wielki Stadion Narodowy, miejsce nieustannych pojedynków, walk i zmagań, którym można towarzyszyć chóralnym wsparciem pośród „atrakcji patriotycznych" – narodowego kiczu i tandety, patosu i tromtadracji.

Marsz na wschód

Nawrocki w tym tłumie czuł się jak śledź w ławicy, dziarsko i bezpiecznie, aż mu się szczęka uwydatniła, głos wzmocnił i przekaz wyostrzył. Największym szczęściem człowieka ma być honorowe oddanie życia za Ojczyznę. Bogu to się spodoba, już czeka u bram niebieskich, aby przyjąć na wieczne all inclusive prawdziwych patriotów, już trzymają aniołowie powitalne sześciopaki i kebaby dla bohaterów, którzy będą odtąd z góry przyjmować cześć i chwałę.

A mnie się tzw. duma narodowa zdaje niebezpiecznym objawem zaburzenia osobowości, kiedy jednostka wyrzeka się własnej podmiotowości na rzecz masy, plemienia, które legitymizuje jej człowieczeństwo, a nawet hołubi wyłącznie z racji obywatelstwa. Na tę dumę nie trzeba w żaden sposób zapracować, to duma nie z Polski, ale z „bycia Polakiem", wystarczy się urodzić z matki Polki i ojca Polaka, podrosnąć nieco i już można wrzeszczeć: „Jeden naród – silna Polska!", a w dołku aż się słodko robi, jakby kto pachwiny lizał. To jest ten patriotyczny dreszcz masowy: na koszulkach „Patria nostra", na czapkach „Polonia semper fidelis", a pod biało-czerwonymi szalikami równie arcypolskie hasła w rodzaju „Gott mit uns" i jakże rodzime symbole krzyża celtyckiego.

Najgorsze, że cały ten militarystyczny sztafaż jest po to, żeby było z kogo ulepić armię gotową stawić czoła przeciwnikom. Bo gdyby wszyscy byli impregnowani na „dumę narodową" tak jak ja, bylibyśmy krajem zdemilitaryzowanym, pacyfistycznym, więc łatwą ofiarą dla drapieżników. A świat bez wojen to tylko w „Imagine" Lennona, skądinąd znienawidzonej przez wszystkich nacków, a przez durnego komentatora sportowego na zeszłorocznych igrzyskach nazwanej manifestem komunistycznym. ■

eprasa.pl 75f64d8cea

Tomasz Skowronek



Wojny Trumpa z makaronem

Popyt na makaron premium w USA rośnie, ale Amerykanie będą musieli obejść się smakiem

Rummo – marka makaronów odznaczająca się beżowymi opakowaniami w stylu retro – na dobre zagościła na półkach europejskich supermarketów. Sukces odniosła nie tylko w Europie. „Włoski makaron, zwłaszcza ten z południa, jest dla reszty świata niczym szampan", powiedział z dumą na łamach „La Repubbliki" Cosimo Rummo, prezes firmy, która siedzibę ma w Benewencie niedaleko Neapolu. Udzielenie wywiadu rzymskiemu dziennikowi nie było jednak przechwałką. Rummo chciał raczej bić na alarm.

Rummo jest jednym z 19 włoskich producentów makaronu, którzy od stycznia 2026 r. mogą zostać objęci cłami w wysokości 107% na eksport do Stanów Zjednoczonych. Cosimo Rummo ostrzega, że gdyby tak się stało, nie mogliby eksportować wyrobów do USA, więc „Amerykanie musieliby jeść makaron produkowany na miejscu".

W innym wywiadzie w podobnym tonie wypowiada się Antonio Rummo, reprezentujący założycieli marki w szóstym już pokoleniu. „Popyt na makaron premium w USA rośnie – mówi. – Konsumenci cenią go za tradycyjną metodę wytwarzania, która gwarantuje perfekcyjne ugotowanie go al dente, dlatego sprzedaż makaronu Rummo stale rośnie. Nasza marka rozwijała się wyjątkowo szybko w ciągu ostatnich sześciu lat, co nas zaskoczyło, ale jesteśmy z tego bardzo dumni". Cła nałożone przez prezydenta USA mogą jednak położyć kres tej dobrej passie.

Jak do tego doszło?

„Amerykańska decyzja ma źródło w dochodzeniu wszczętym przez Departament Handlu Stanów Zjednoczonych w 2024 r., po publikacji raportu otrzymanego od niektórych lokalnych producentów", wyjaśnia Antonio na łamach „Corriere della Sera". Dochodzenie objęło 19 włoskich marek oskarżonych o dumping. To praktyka sprzedaży produktu poniżej wartości rynkowej, stosowana po to, by szkodzić konkurencji. W tym przypadku stała się bronią polityczną. Amerykańscy inspektorzy wybrali dla przykładu dwie firmy, La Molisana i Garofalo, i sporządzili kompleksową analizę ich kosztów i cen sprzedaży.

Śledztwo celowo było wymierzone w La Molisanę i Garofalo ze względu na wielkość ich sprzedaży w USA, lecz w jego wyniku dostało się jeszcze kilku czołowym włoskim markom, w tym popularnej Barilli i Rummo. Barilla – mniej niż konkurencja zaniepokojona skutkami potencjalnych nowych taryf, ponieważ od lat ma fabryki w Ameryce i w związku z tym jest mniej narażona na ryzyko – w oświadczeniu nazwała jednak takie cła „karą dla całej branży" i zapowiedziała złożenie protestu.

Presja cła

Włoscy producenci żywności liczyli na ochronę swoich wyrobów

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 75f64d8cea

po niedawnym porozumieniu między USA i UE, które obniżyło cła ogólne do 15%. Bliska relacja premier Włoch Giorgii Meloni z Donaldem Trumpem również dawała nadzieję, że włoski makaron nie będzie objęty sankcjami. Ale nadzieja zgasła. Włoskie media zaczęły pisać o „wojnie Trumpa z makaronem". Krytycy tej decyzji twierdzą, że cła mają wywierać presję na włoskie firmy, aby te zakładały fabryki w USA, i że to powtórzenie strategii stosowanej w innych branżach, np. farmaceutycznej.

Firmy takie jak La Molisana i Garofalo, które mają długą historię sprzedaży we Włoszech, nie zamierzają jednak przenosić produkcji za granicę. „Jesteśmy obecni w Gragnano od 1789 r. i nie zamierzamy się przenosić", powiedział Emidio Mansi, dyrektor ds. marketingu w Garofalo. „To, co do niedawna wydawało się najsolidniejszą osią polityki Zachodu, relacja między Meloni a Trumpem, grozi kryzysem równie nieoczekiwanym, co znaczącym pod względem kulinarnym. Impulsem nie była Ukraina ani wzrost wydatków wojskowych narzucony przez Trumpa za pośrednictwem NATO, ale makaron", zauważa rzymski dziennik „Il Manifesto".

Francesco Lollobrigida, włoski minister rolnictwa, spotkał się z ambasadorem Włoch w USA Markiem Peronacim, aby „przyjrzeć się działaniom podjętym w celu ochrony naszego eksportu". Zaskoczony nagłym kryzysem włoski rząd zapewnił, że jest „w stałym kontakcie z urzędnikami z USA", również w sprawie innych cennych towarów made in Italy, którym grozi nałożenie ceł, takich jak wina, ser pecorino romano i oliwa z oliwek. „Najwyraźniej skuteczność działań dyplomatycznych na razie jest niezadowalająca, skoro jedyną reakcją Ameryki było potrojenie ceł", zauważa kąśliwie lewicowy rzymski dziennik.

Reakcje na groźbę wprowadzenia 107% cła na makaron były natychmiastowe. Luigi Scordamaglia ze stowarzyszenia przedsiębiorców spożywczych Filiera Italia nazwał decyzję „niedopuszczalną" i „wymuszoną w trudnym momencie". Podkreślił, że będzie ona faworyzować producentów makaronu w USA i zarazem karać eksporterów włoskich. Scordamaglia wezwał do jej natychmiastowego wycofania. Minister Lollobrigida potępił „nadmiernie protekcjonistyczny mechanizm wprowadzony bez żadnego uzasadnienia" i potwierdził zaangażowanie rządu oraz ministerstwa spraw zagranicznych w ochronę włoskiego eksportu.

Wprowadzenie supercła oznaczałoby konieczność wprowadzenia cen dumpingowych na rynku krajowym. We Włoszech zagrożony jest cały łańcuch dostaw, w tym tereny wiejskie, gdzie uprawia się 60% pszenicy durum potrzebnej do produkcji makaronu. „Ten sektor już teraz boryka się z problemami – zauważa Antonio Boselli, prezes regionalnego związku rolników Confagricoltura Lombardia. – Sama Lombardia produkuje pszenicę durum na ponad 10 tys. ha".

Rummo, producent makaronu, od stycznia 2026 r. może zostać objęty cłem w wysokości 107%.

Confagricoltura apeluje do włoskiego rządu o zajęcie zdecydowanego stanowiska w sprawie supercła: „Taka decyzja – argumentuje prezes krajowego stowarzyszenia Massimiliano Giansanti – miałaby reperkusje dla całego łańcucha dostaw pszenicy i makaronu, ze szkodą dla przedsiębiorstw, pracowników i wszystkich konsumentów. Włoscy przedsiębiorcy odpowiedzialni za rolno-spożywczy łańcuch dostaw zawsze postępowali uczciwie na rynkach międzynarodowych".

Supercło krytykowane jest także na szczeblu politycznym – brak konkretnych działań na rzecz ochrony włoskich firm potępia senatorka Italia Viva Silvia Fregolent, a przewodniczący Partii Demokratycznej Stefano Bonaccini pyta: „Trump robił to, co było dla niego wygodne, ale jakich interesów broniła w imieniu Włoch Meloni, kiedy pojechała do Waszyngtonu?".

Elly Schlein, sekretarz PD, też postrzega ten krok administracji USA jako wymuszanie na włoskich firmach przeniesienia produkcji do Stanów. „Cel Trumpa jest jasny – powiedziała, dodając: – Doprowadzi to do dalszego zubożenia przemysłu w naszym kraju i poważnych zagrożeń dla zatrudnienia".

Włochy kontratakują

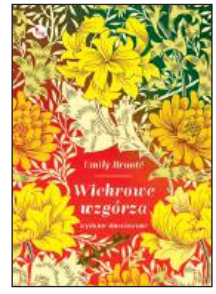
Całe środowisko jednoczy się w sprzeciwie wobec amerykańskiej decyzji i apeluje o pilne działania w celu ochrony eksportu (w 2024 r. sama sprzedaż do Stanów Zjednoczonych sięgnęła 671 mln euro) i reputacji produktów made in Italy. Stowarzyszenie Coldiretti mówi o „śmiertelnym ciosie", który będzie miał wpływ na inflację, zuboży amerykańskich konsumentów i otworzy drogę do nieuczciwej konkurencji ze strony tych producentów, którzy wypuszczają towary o włosko brzmiących nazwach. Włoski Związek Żywnościowy z kolei nazywa cło „obrazą dla włoskiego produktu par excellence, decyzją bardziej polityczną niż techniczną". Coldiretti zaznacza, że USA są największym wytwórcą marek „brzmiących włosko". „Rynek imitacji włoskich produktów wart jest globalnie ok. 120 mld euro, z czego 40 mld euro przypada na Stany Zjednoczone". Ma to wpływ na cały włoski przemysł spożywczy.

Rząd premier Meloni złożył w tej sprawie skargę zarówno do Waszyngtonu, jak i do Komisji Europejskiej. „Komisja w ścisłym kontakcie z włoskim rządem współpracuje ze Stanami Zjednoczonymi w ramach tego dochodzenia i będzie interweniować, jeśli zajdzie potrzeba", powiedział 13 października 2025 r. Olof Gill, rzecznik KE ds. handlu. Bruksela może wnieść sprawę przeciwko USA do Światowej Organizacji Handlu – korzystne orzeczenie pozwoliłoby urzędnikom podjąć działania zaradcze.

Jaka więc będzie przyszłość jednego z symboli Włoch, sektora, który produkuje ponad 4 mln ton makaronu rocznie, z czego 60% idzie na eksport? Addio, spaghetti, linguine, rigatoni? ■

eprasa.pl 75f64d8cea

JOLKA



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 24 utworzą końcowe hasło.

- mitologicznie o pięknisiu
- dziewczynka z „Elementarza" Falskiego
- i kontynent, i postać u Sienkiewicza
- błotnisty i zarośnięty staw, bagno
- farbowanie tkanin, wielkanocnych jajek
- płaksa, mazgaj
- brak zmartwień, nieprzejmowanie się
- otrzymuje organ, szpik
- z selerowatych, silnie trujący
- gdy z nią kawał, to stary
- …w plecy – zdradzieckie działanie
- punkrockowy zespół z Krzysztofem Grabowskim
- kwota dla posła, pracownika w podróży
- dobranockowy Piaskowy
- cudak, ekscentryk
- od wewnętrznego w PRL był Pewex
- raper, zagrał w „8. mili"
- ambulans pogotowia
- najistotniejsza treść, natura danej rzeczy
- futrzana pelerynka
- „…wzywa 007", zeszytowa seria kryminalna
- nad jego zatoką australijski port Bunbury
- Kunicka albo Frąckowiak
- Hillary, Messner lub Wielicki
- jeden z największych skorupiaków
- składana podczas tarła
- spadnięcie kropli
- gdy awans za awansem
- chroni głowę budowlańca, rowerzysty
- stado owiec na wypasie w górach
- raczyniec lub wełnistoszczypce
- „Poszłabym ja na… świata"
- majątek zdobyty ciężką pracą
- pluszak na szczęście
- cherlak, chudzina
- drzewo gubiące igły na zimę
- odstrasza mole
- Strauss od „Marsza Radetzkiego" dla Straussa od operetek
- znawca nazw geograficznych i osobowych
- przesuwane po planszy w warcabach
- pod psem lub w kratkę
- grządka z różami, hortensjami
- stryj Gustawa w „Ślubach panieńskich"
- „…Smoka", prequel „Gry o tron"
- miasto nad Rudą i Nacyną
- niewielka, podłużna forma do pieczenia
- bryłka złota
- scenka kabaretowa
- pustynne – gryzonie, mułowe – ryby
- posag św. Kingi
- pierwiastek Ag
- …Schengen w Unii
- inaczej wróble towarzyskie
- dokument ze szpitala
- np. schodzenie z drogi czarnemu kotu
- magazyn, składnica
- …Zagłady, gdzie północ to kres ludzkości
- naklejany na list
- …Saldaña z oscarową rolą w „Emilii Pérez"
- śmiałek, chwat

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1248". Do rozlosowania książki „Wichrowe wzgórza" ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 23 listopada 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1245" z nr. 44: *Dostatek młodego nie naprawi.*
Nagrody otrzymują: Helena Borska z Poznania, Ewa Cichońska z Pyskowic, Irena Koczot-Markiewicz z Dobrzan.

eprasa.pl 75f64d8cea

Ojczyzna, która płaci

11 listopada na naszych placówkach był znakomity, imprezy były udane, a ludzie zadowoleni. Z jednego przynajmniej powodu – otóż 1 stycznia 2025 r. weszła w życie znowelizowana ustawa o służbie zagranicznej. Weszła i zmieniła to, co najważniejsze – mnożniki służące do ustalenia dodatku służby zagranicznej. Mnożniki dotyczą dziesięciu grup stanowisk, od ambasadora po personel pomocniczy. Są podane w formie widełek, od – do. Ale przede wszystkim dają szansę na dobre zarobki na placówce.

Oto zmieniający się świat – w czasach Polski Ludowej nawet najmarniejsze zarobki, ale na placówce, były wielką sumą. Potem to zaczęło się zmieniać. I od jakiegoś czasu wyjazd na placówkę przestał być czymś atrakcyjnym. Nie tylko dlatego, że gdy wyjeżdżał mąż, żona musiała rezygnować z pracy w Polsce, często dobrze płatnej. Same zarobki na placówce, zwłaszcza w tzw. krajach niebezpiecznych, mało komu imponowały, po prostu taka praca przestała się opłacać. Radosław Sikorski to zmienił, przeforsował nowelizację ustawy, wylobbował pieniądze na dyplomację.

Wiceminister Władysław Teofil Bartoszewski mógł więc mówić w Sejmie: „Na placówkach, a niektóre z nich należą do placówek niebezpiecznych, działają wręcz w sytuacjach, można powiedzieć, wojennych, jak np. na Ukrainie – skończyły się wieloletnie problemy z wakatami, ponieważ dodatki, które nastąpiły, które zostały wprowadzone, stworzyły takie warunki finansowe, że nie mamy żadnych problemów ze znalezieniem personelu gotowego pojechać na placówki, gdzie panują bardzo trudne warunki. Problem, który przez wiele lat funkcjonował, teraz zniknął. Jest to dosyć istotne, ponieważ problem ten funkcjonował za wszystkich poprzednich rządów. Nie mogliśmy sobie z tym poradzić, a teraz zniknął. Służba zagraniczna, również ta wykonywana na trudnych placówkach w rozmaitych częściach świata, odzyskała swoją atrakcyjność, co sprzyja podniesieniu poziomu pracy”.

Tak oto dowiedzieliśmy się, że ochota do służenia ojczyźnie ma swoją cenę. I to Radosław Sikorski w miarę dokładnie ją określił. I że 3275 urzędników, których MSZ zatrudnia na zagranicznych placówkach – a tych jest ich 164, w tym 95 ambasad – dobrze ten rok zapamięta.

Dla porządku dodajmy, że w centrali MSZ zatrudnionych jest 1858 urzędników. Imponujący przyrost w porównaniu np. z czasami Krzysztofa Skubiszewskiego, gdy w siedzibie MSZ zatrudniano 460 dyplomatów…

Ale rok 2025 pamiętany będzie też z innych powodów – zakończona została wreszcie budowa ambasady w Berlinie. A czy w roku 2026 jakiś podobny sukces jest możliwy? Chyba tak. Szykowane jest bowiem zakończenie budowy ambasady w Mińsku. Ona również trwa i trwa i nie jest łatwym przedsięwzięciem. Chodzi tu nie o pieniądze – czy raczej ich brak, co hamowało budowę w Berlinie – lecz o same warunki. Materiały budowlane przywożone są z kraju, granica polsko-białoruska nie zawsze jest otwarta, więc te sprawy się przeciągają. Wszystko jednak ma się zakończyć w najbliższych miesiącach. Wtedy ruszyć ma przebudowa i adaptacja ambasady polskiej w Waszyngtonie. I bardzo jest ciekawe, kiedy to przedsięwzięcie się skończy…

Attaché



Jane Goodall zrewolucjonizowała podejście do dzikiej przyrody i stała się najbardziej szanowaną znawczynią szympansów. Zmarła w wieku 91 lat. Uroczystości pogrzebowe odbyły się w Katedrze Narodowej w Waszyngtonie 12 listopada 2025 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 75f64d8cea







PENETRACJE

press **ANDRZEJ SKWORZ,**
REDAKTOR NACZELNY

Nie szydziłem z posła Franciszka Sterczewskiego, który popłynął w Globalnej Flotylli Sumud do Strefy Gazy, choć jego dramatyczne nagranie trudno było traktować z pełną powagą. Ale życzenia Jana Hartmana, by za karę trafił do palestyńskiego więzienia, też poważne nie były. Poważny jest za to problem, który ta sytuacja ujawniła. Albowiem reakcja „Polityki", która odcięła się od swojego felietonisty za głupi wpis w mediach społecznościowych, była nie tylko niepoważna, ale i groźna. Po raz kolejny wyszło na jaw, że wydawca ulega presji internetowego hejtu. To paradoks – można cieszyć się, że media tradycyjne zmieniły narrację w sprawie Gazy pod wpływem internetu, i jednocześnie martwić się, że te same media kapitulują wobec jego emocjonalnej furii.

DUŻY FORMAT **JACEK HARŁUKOWICZ,**
DZIENNIKARZ

Piotr T. ściągał do banku kolejnych „harcerzy", w tym swojego przyjaciela Michała Kuczmierowskiego, wspólnie z którym wiosną 2010 r. ustawili przed Pałacem Prezydenckim drewniany krzyż. Kuczmierowski – magister filozofii po Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego – w BZ WBK objął stanowisko menedżera rozwoju biznesu. Samego Piotra T. Morawiecki uczynił zaś członkiem zarządu fundacji BZ WBK, która podlegała wyłącznie prezesowi banku, a jej budżet sięgał 25 mln zł rocznie. Z tych środków przyszły premier wraz z T. jeszcze przed rokiem 2015 dofinansowywali przedsięwzięcia historyczno-patriotyczne i konserwatywne, co zwróciło uwagę środowiska PiS… Michał Kuczmierowski jako wieloletni oddany i lojalny żołnierz Morawieckiego miał być odpowiednio wynagradzany. W rozmowach oburzał się, że ludzie nie rozumieją, jak ważna dla Polski i obozu PiS była akcja z postawieniem krzyża na Krakowskim Przedmieściu. Że to dzięki takim ludziom jak on Jarosław Kaczyński w końcu zdobył władzę.

zwierciadło **WOJCIECH SZCZĘSNY,**
PIŁKARZ

W filmie jest fragment spotkania z Arsène'em Wengerem, trenerem, który prowadził mnie w Arsenalu Londyn, a my spędziliśmy ze sobą kilka godzin, poszliśmy na obiad, szczerze pogadaliśmy. To był dla mnie ważny i emocjonalny dzień. Zależało mi na wyczyszczeniu sytuacji. Nikt nie miał na mnie takiego wpływu w całej mojej karierze jak Arsène Wenger. Chciałem mu podziękować. Osobiście, a nie przez SMS czy wiadomość na Instagramie. Arsène był na mnie zły, miał prawo. Ale obraził się trochę za bardzo. Przestał obiektywnie oceniać moje umiejętności, a skupił się na zachowaniu poza boiskiem. Tak uważam. Wiele mu zawdzięczam, ale też jest odpowiedzialny za moment mojego największego zwątpienia w siebie. Czułem satysfakcję, gdy powiedział przed kamerami, że to mógł być błąd, gdy postawił na mnie krzyżyk. Potrzebowałem kopa w tyłek. Wtedy czułem, że ktoś mi złamał serce, a z perspektywy czasu widzę, że dostałem w kość, żeby pójść do przodu. Bez takich trudnych lekcji nie byłbym w miejscu, w którym dziś jestem.

Twój STYL **ANNA MARIA JOPEK,**
WOKALISTKA

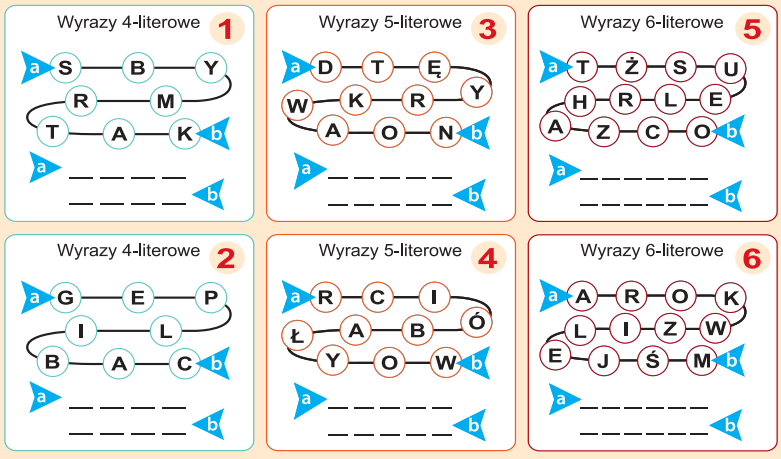
Internet jest fenomenem zrzeszającym ludzi, ale i jednym z głównych powodów samotności. Na Instagramach, Facebookach negatywne cechy, jak pycha, chciwość, cynizm, które kiedyś byłyby powodem do wstydu, teraz triumfują milionem lajków. Nie rozumiem tego. Dawniej aspirowaliśmy do naszych mistrzów. Ich mądrość wymagała zrozumienia. Marzyliśmy więc, żeby należeć do tej garstki, która rozumie. Elitarność była wyróżnieniem. Dziś jest odwrotnie, wszyscy chcą popularności, to jedno się liczy. Treści, obrazy. Ludzie modyfikują się na zdjęciach. A potem to samo robią w życiu. Przybierają maski.

FOT. PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, KRAINA MEMAMI PŁYNĄCA (2)

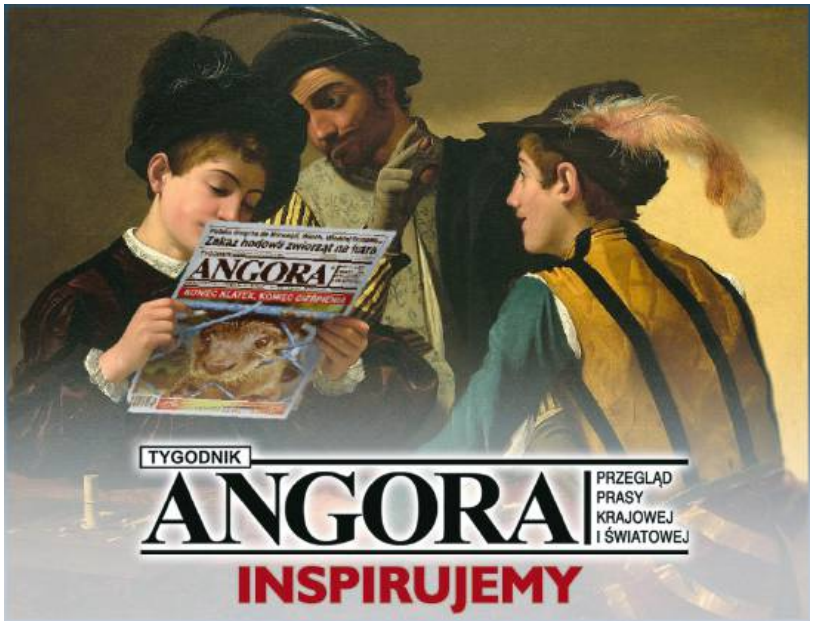
eprasa.pl 75f64d8cea

W DWIE STRONY

Poruszając się wzdłuż linii (raz w jedną, raz w drugą stronę) i przeskakując niektóre litery, odczytaj w każdym diagramie dwa wyrazy.



ROZWIĄZANIA: SMAK, TRYB, PLAC, BIEG, DYWAN, OKRĘT, CIAŁO, WYBÓR, ŻELAZO, CHRUST, ROZEJM, ŚLIWKA



Aby język giętki...

WOJCIECH SMARZOWSKI O KSIĘŻACH

Księża wciąż pętają się po szkołach, a dopóki wiara będzie ważniejsza od edukacji, to w Polsce nic się nie zmieni.

PROF. PRZEMYSŁAW SADURA O POLITYCZNEJ MIJANCE

Nie byłbym zdziwiony, gdyby połączone poparcie partii Mentzena i Brauna było większe niż poparcie PiS.

DR KATARZYNA BĄKOWICZ O BOGDANIE RYMANOWSKIM

Umieszczenie Rymanowskiego na okładce „Newsweeka" było błędem, nadaniem ważności człowiekowi, który złamał zasady etyki w zawodzie wymagającym tej etyki szczególnie.

MARIUSZ JANICKI O KAROLU NAWROCKIM

To prosta, jednoznaczna prawica, trochę stadionowa, trochę marszowa, w każdym razie mocno odległa od idei liberalno-demokratycznego państwa.

KATARZYNA JANOWSKA O „ZAMACHU NA PAPIEŻA" PASIKOWSKIEGO

Nie mogłam uwierzyć, że twórca kultowych „Psów" jest w stanie nakręcić tak zły film.

KUBA WOJEWÓDZKI O TOMASZU KAMMELU

Gdziekolwiek pójdzie, to zawsze ląduje w partyjnej telewizji.

RADOSŁAW JANUKIEWICZ O CZESŁAWIE MICHNIEWICZU

Bardzo toksyczny człowiek. Skądkolwiek odchodził, zostawiał po sobie smród.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł i.morzol@tygodnikprzeglad.pl
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

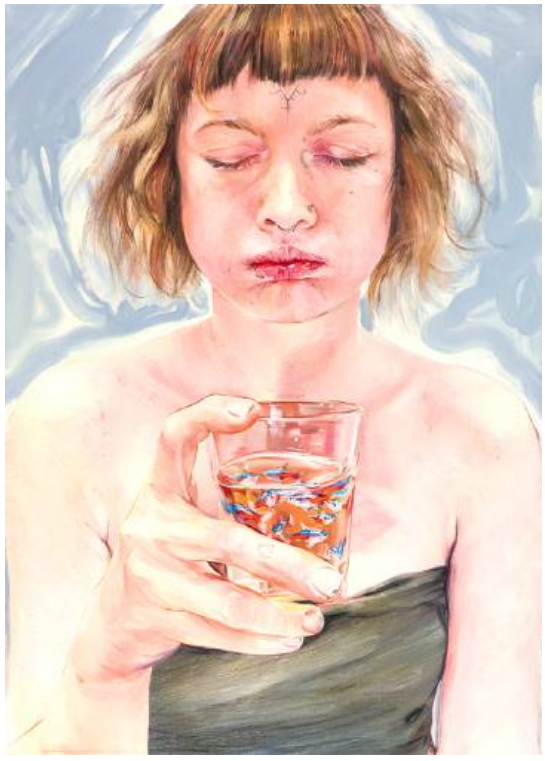
Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl 75f64d8cea



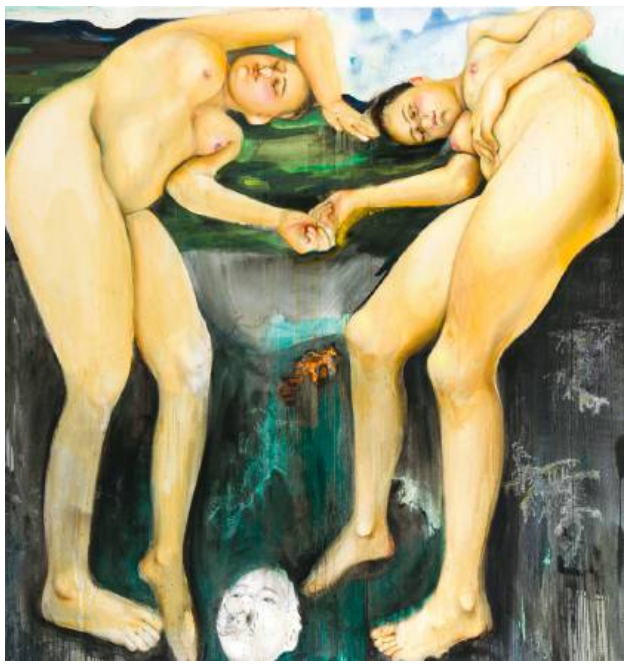
Agata Kus, Głębiej



Katarzyna Kukuła, Wielki wybuch

Ta wystawa zaprasza do zanurzenia się w świat emocji, intuicji, wyobraźni i pamięci – w przestrzeń między jawą a snem. Prace tworzą portret młodego pokolenia artystek i artystów, którzy dojrzewali w rzeczywistości pełnej kryzysów i napięć, a mimo to – lub właśnie dlatego – w sztuce poszukują nie tylko formy, lecz także sensu i bliskości. Malarstwo staje się tu medium otwartym i elastycznym, zdolnym uchwycić to, co ulotne: emocjonalne półtony, stany wewnętrzne, subtelne relacje między światem zewnętrznym a osobistym doświadczeniem. Różnorodność formalna – od klasycznych płócien po prace z tekstyliów, ceramiki czy przedmiotów codziennego użytku – ukazuje odwagę eksperymentu i potrzebę redefinicji granic obrazu.

Muzeum Narodowe w Gdańsku Oddział Zielona Brama
Długi Targ 24
do 22 marca 2026



Zuzanna Szary, Gigantki

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Krzysztof Gil, Trzecie życzenie

eprasa.pl 75f64d8cea

TEATR CAPITOL

NAJLEPSZE KOMEDIE • PIKANTNE FARSY • GWIAZDORSKIE OBSADY

GRAMY W CAŁEJ POLSCE!

UNE IDEE GENIALE

GENIALNY POMYSŁ

Autor SÉBASTIEN CASTRO

Przekład BARBARA GRZEGORZEWSKA

Reżyseria WOJCIECH ADAMCZYK



POLSKA PRAPREMIERA
LISTOPAD 2025

JACEK BOŃCZYK WOJCIECH BRZEZIŃSKI PAULINA CHAPKO PIOTR GRABOWSKI PAULINA HOLTZ
JOANNA JEŻEWSKA PAWEŁ KOŚLIK BARBARA KURDEJ-SZATAN MAGDALENA WÓJCIK

• KUP BILET TEATR CAPITOL • www.teatrcapitol.pl

Patroni Medialni

Partnerzy Teatru

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 75f64d8cea

Srebrny Niedźwiedź
75 Internationale Filmfestspiele Berlin
Grand Prix Jury



BŁĘKITNY SZLAK

IRONICZNA I DOWCIPNA OPOWIEŚĆ
O WALCE O WOLNOŚĆ I SZCZĘŚCIE

W KINACH OD 21 LISTOPADA

AURORA

eprasa.pl 75f64d8cea